M.B.
im.
L.W.
w Łodzi

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
Odgłosy

NUMER 43 (1543) ROK XXX 24 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

■ Jak zdobyć prawo jazdy? — str. 6
■ O czym zapomniał prezes WOPR? — str. 7
■ Źle się dzieje na koloniach — str. 11
■ Społeczeństwo pozbawiono inteligencji — str. 12
■ Co robią nasi rodacy w Peru? — str. 13

Chłop pracuje na świeżym powietrzu, zarówno w pogodę, jak i w niepogodę i dlatego inaczej choruje, ale choruje.

# Chłopskie zdrowie

RYSZARD BINKOWSKI

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

**Zanim** doszło do objęcia powszechnymi świadczeniami ochrony zdrowia całej ludności rolniczej, minęło wiele czasu. Najpierw z bezpłatnych świadczeń korzystały tylko pewne grupy ludności wiejskiej, np. dotknięte szczególnie groźnymi chorobami. Później wprowadzono system zniżek i ulg dla rolników małorolnych i osadników w Bieszczadach.

Od 1 stycznia 1972 roku powszechną opieką lekarską objęto całą ludność wiejską, dzięki czemu rodziny chłopskie nabyły prawo do bezpłatnych świadczeń w zakresie opieki zdrowotnej — otwartej, zamkniętej i doraźnej — a także do leczenia uzdrowiskowego i opieki społecznej. Chłopi uzyskali także prawo do ulgowych opłat za leki i środki pomocnicze.

Na mocy ustawy z 1982 roku rolnicy i ich rodziny objęci zostali ubezpieczeniem społecznym i w ten sposób nastąpiło wreszcie zrównanie świadczeń dla ludności miast i wsi. Jednakże ze względu na specyfikę środowiska wieś do dziś nie może w pełni korzystać ze swych uprawnień, a składa się na to wiele przyczyn, o czym będzie jeszcze mowa.

Nie można stwierdzić jednoznacznie, że przed wprowadzeniem bezpłatnej opieki zdrowotnej wieś była całkowicie tej opieki pozbawiona. Przede wszystkim — jak twierdzi **Zdzisław Ignaczak**, wiceprezes WK ZSL w Łodzi — w latach 60. rozwijał się na wsi społeczny ruch oświatowo-zdrowotny, czyli tzw. higienizacja wsi. Niestety, gdy w latach 70. zaczęliśmy rosnąć w potęgę za dewizy, higienizację uznano za anachronizm w obrazie „drugiej" Polski. Dzisiaj, przy współudziale ZSL, ZMW, ZHP i Kół Gospodyń Wiejskich, ruch higienizacji ma szanse na odrodzenie.

Poza tym dawniej — według Zdzisława Ignaczaka — mieszkańcy radzili sobie w ten sposób, że w wielu wsiach zakładali spółdzielnie zdrowia. Z inicjatywy działaczy ludowych taką spółdzielnię założono m. in. w Kurowicach, gm. Brójce.

Skoro więc chłop jest ubezpieczony społecznie, skoro jest w ruchu i pracuje na świeżym powietrzu, to powinien być:

### zdrowy jak koń

Kłopot w tym, że konie także chorują. A tym bardziej rolnicy zamieszkali w najmniejszym województwie, o najwyższej gęstości zaludnienia — 750 osób/km kw. przy średniej krajowej 118 osób na km kw. W tej najbardziej zurbanizowanej aglomeracji mieszka ok. 1150 tys. mieszkańców, w tym na wsi zaledwie ok. 100 tys. Ale ta garstka ludzi **cierpi na podobne schorzenia, co ludzie z miast.** I nic dziwnego, skoro aglomeracja łódzka znajduje się na szarym końcu, jeśli idzie o ochronę środowiska. Zajmujemy ostatnie miejsce pod względem ilości ścieków odprowadzanych do wód w stanie nie oczyszczonym. „Przodujemy" również pod względem zanieczyszczeń pyłowych oraz gazowych. W Łódzkiem notuje się najniższą płodność kobiet, maleje przy-

5

Coraz więcej małych klubów rezygnuje z sekcji piłki nożnej

## Każdy ma swojego „wujka"

str. 4

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

Czy butelka krajowego wina będzie kosztowała 600 zł?

# Wymarzły sady, ale Łódzka Wytwórnia Win pracuje pełną parą

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Zima 1986/1987 była ostatnią dla 13 milionów jabłoni, dla zdecydowanej większości moreli i brzoskwiń, dla połowy śliw i grusz. Drzew nie wykończyła tylko niska temperatura. Grudzień 1986 roku był wyjątkowo łagodny. Drzewa owocowe nie zdążyły się zahartować. Arktyczne powietrze dokonywało dzieła zniszczenia. W lutym 1987 r. za wcześnie poprawiła się pogoda. Fala dwudziestostopniowych mrozów uderzyła wtedy, kiedy po pokrywie śnieżnej pozostało praktycznie wspomnienie. To był koniec dla sadów i ogrodów. Najbardziej ucierpiały te na Mazowszu, Podlasiu oraz na Lubelszczyźnie.

### Czarne chmury nagromadziły się nad winiarzami.

Wszak produkcja rodzimych win opiera się przede wszystkim na jabłkach. Zbiory są natomiast niższe od ubiegłorocznych — 600—700 tys. ton wobec 1.920 tys. ton w 1986 r. Zwiastunem kryzysowej sytuacji w **Łódzkiej Wytwórni Win** były śladowe ilości dostarczanego soku z białych i czerwonych porzeczek, agrestu i śliwek.

Zresztą ten początek sezonu przetwórczego wcale nie był jeszcze taki najgorszy. Luki w skupie winiarze połatali zapasami ubiegłorocznymi, ale to już nie to samo co świeże owoce. Rezerwa z konieczności jest skażona chemicznym środkiem konserwującym — dwutlenkiem siarki. Niedostatek niektórych owoców wyrównano także dzięki większemu skupowi truskawek i czarnych porzeczek. Ale żeby mieć pełny obraz sytuacji, wystarczy porównać dwie cyfry. W sezonie wytwórnia zużywa 3300 ton moszczu, czyli soku jabłkowego, a tylko 300 ton z innych owoców.

1 września 1987 r., gdy rozpoczynał się wielkoprzemysłowy skup jabłek — do **Łódzkiej Wytwórni Win** dotarły jak co roku transporty moszczu. Zupełnie jakby nic się nie stało! Jest to tym bardziej szokujące wobec faktu, iż ceny wzrosły w porównaniu z 1986 r. o **400 procent.** Od połowy 1987 roku do końca września ustabilizowały się — odnotowano 5-krotne przebicie. Zaopatrzeniowcy wyrzucali pieniądze — powiedziałby ktoś niewtajemniczony w kulisy sprawy — przecież wytwórnia ma zmagazynowane zapasy. Zakonserwowany surowiec mógłby przez długi czas w pierwszym pokryzysowym sezonie zapewnić ciągłość wytwarzania alkoholi. Takie zabezpieczenie przewidziano właśnie na wypadek klęski żywiołowej.

5

# Odgłosy

**Adres redakcji:** 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.

**Zastępca redaktora naczelnego:** Edmund Lewandowski.

**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.

**Kierownik działu literackiego:** Henryk Pustkowski

**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.

**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska,
**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.
**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński.
**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby, fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę orzvjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 3258. H-10.


# „Głos Robotniczy" już w centrum prasowo-telewizyjnym

Czasami, gdy wsiadam do taksówki i proszę, aby mnie zawieziono na róg ulicy Henryka Sienkiewicza i Gabriela Narutowicza, kierowca odwraca się i domyślnie pyta:

— Do telewizji?

— Nie — odpowiadam — w wieżowcu już od kilku lat mieści się prasa, a telewizja zajmuje budynek obok. Tylko antena jest na górze.

Ale telewizja w budynku przy rogu ulic Narutowicza i Sienkiewicza mieści się od 30 lat, a prasa przeniosła się tam z ulicy Piotrkowskiej dopiero 3 lata temu. I to na początku wcale nie z Piotrkowskiej, ale z rogu al. Adama Mickiewicza i ulicy Wólczańskiej, gdzie w czterech pokojach z kuchnią i łazienką mieściły się „Odgłosy". Wcale się nie chwaląc to nasza redakcja była pierwsza.

Stało się to 19 stycznia 1985 roku. Była skromna uroczystość. Tak narodziło się CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNE. Pamiętam, że wówczas dyrektor Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, dziś korespondent telewizji w Paryżu, Michał Walczak witał prasę w nowym miejscu, jako najstarszy lokator „przyległości" do wieżowca, na którego dachu widnieje antena telewizyjna.

Za nami poszli inni. Do wieżowca wprowadzili się — wymieniam kolejno, jak zajmowali piętra w wieżowcu, a nie jak się wprowadzali: Krajowa Agencja Wydawnicza — piętra X i XI, „Karuzela" — piętro IX, „Express Ilustrowany" — piętro VIII i VII, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe — od VI do III. Jak z tego wynika nasza redakcja znajduje się na piętrach XIII i XII. Piętro II przejął Łódzki Ośrodek Telewizyjny, a na piętrze I znajduje się ośrodek nauki języków obcych. Teraz piętro IV w wieżowcu i przylegającym do niego budynku „Otexu" zajął „Głos Robotniczy". Na ulicy Piotrkowskiej pozostał jedynie „Dziennik Łódzki".

Łódzkie CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNE powstaje powoli i z trudem. Przejęcie budynku „Otexu", który z wieżowcem i budynkiem zajmowanym przez ŁOT stanowią całość, nie udało się. Dla „Dziennika Łódzkiego" i służb obsługujących prasę przeznaczono budynek zajmowany obecnie przez „Len Polski". Ale kiedy „Dziennik Łódzki" znajdzie się na ulicy Henryka Sienkiewicza? Trudno powiedzieć. Byłoby dobrze, aby ta konieczna przeprowadzka nie ciągnęła się w nieskończoność!

Centra prasowo-telewizyjne nie są naszym wymysłem. Istnieją w wielu miastach świata i spełniają tam swą rolę. Istnienie takiego centrum spełnia ważną rolę kulturotwórczą w mieście i regionie. W Łodzi też tak powinno być.

Uroczystość powitania kolegów z „Głosu Robotniczego" w CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNYM odbyła się 20 października 1987 roku. Udział w niej wzięli: I sekretarz KŁ PZPR **Józef Niewiadomski**, sekretarz KŁ PZPR **Grzegorz Misiewicz**, dyrektor Zespołu Wydawniczego ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch" **Marek Rosiecki**.

L. WŁODKOWSKI

# Przegląd prasy

W historii ludzkości wyróżnia się trzy eksplozje demograficzne spowodowane kolejno przez rewolucje: mezolityczną, neolityczną i przemysłową. Każdy skok w rozwoju techniczno-ekonomicznym przynosił gwałtowny wzrost liczby ludności.

Milion lat temu na całym świecie żyło niespełna 100 tys. ludzi. W środkowej epoce kamienia (35 tys. lat p.n.e.) nastąpił wzrost do 4 milionów. Pod koniec okresu neolitu (około 5 tys. lat p.n.e.) było już blisko 80 milionów osób.

Od początku naszej ery do połowy XVIII wieku notowano bardzo powolne tempo przyrostu ludności. W owym czasie rozwój demograficzny był zahamowany najazdami barbarzyńców, wojnami, klęskami głodu i epidemiami. Szczególnie duże żniwo zebrała tzw. czarna śmierć (1347—1350).

Począwszy od XVIII wieku do chwili obecnej ludność wzrasta w niezwykle gwałtowny sposób. W roku 1830 osiągnięty został pierwszy miliard; a dziś mamy już 5 miliardów.

Przewiduje się, że w drugiej połowie przyszłego stulecia ludność świata ustabilizuje się na poziomie około 10 miliardów. Wtedy mieszkańcy Europy, ZSRR, Ameryki, Japonii, Australii i Nowej Zelandii stanowić będą tylko jedną szóstą ogółu ludności, zamiast jednej czwartej aktualnie.

Powyższe dane pochodzą z materiału przedrukowanego w miesięczniku „PREZENTACJE" (nr 7—8). Natomiast w piśmie „CZŁOWIEK i ŚWIATOPOGLĄD" (nr 7) znalazłem ciekawe informacje

## O SYTUACJI KATOLICYZMU.

Udział katolików w ludności świata sięga 18 procent. Stan ten utrzymuje się od dłuższego czasu. Zmienia się jedynie rozmieszczenie geograficzne katolików. Michał Horoszewicz pisze:

**Miejsce Kościoła katolickiego wśród religii świata jest dziś takie samo, jakie było na początku tego stulecia i jakie niewątpliwie będzie u jego schyłku: pierwsze. Niczego nie zmieni tam fakt, że do obecnego pułapu katolicyzmu zbliża się islam — wszak nie dysponuje on realną zwartością ponadpaństwową, nie stanowi zorganizowanej wspólnoty ogólnoświatowej. (...) Należy — dalej — zasygnalizować kwestię znamienną i szczególną. W latach 1899—1900 katolików w Europie było 180 mln, co stanowiło 67,8 proc. ogółu katolików sięgającego 265,4 mln. W 1984 r. — odpowiednio — 277,8 mln i 33 proc. ogółu. Tak więc w ciągu 84 lat katolicyzm europejski wzrósł o 54 proc. i dziś nieco przekracza w liczbach bezwzględnych stan ogólnoświatowy z początku stulecia; natomiast radykalnie zmalał (i wciąż maleje) jego udział w katolicyzmie światowym. Na przełomie XIX i XX w. katolicyzm europejski był dwa i pół raza liczebniejszy od całego amerykańskiego, a afrykański był ledwie dostrzegalny wobec azjatyckiego; dziś katolicyzm obu Ameryk jest o 50 proc. „mocniejszy" od Starego Kontynentu, a afrykański zrównał się z azjatyckim i wciąż pnie się w górę".**

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa na jednego kapłana przypadało około 50 (maksymalnie 300) wiernych. A później obciążenie kapłanów wzrastało. Pod koniec XIX wieku wynosiło 738 wiernych, w 1957 r. już 1360, a w 1984 roku 2069 osób na kapłana. W stosunku do liczby wiernych stan kapłański relatywnie maleje, ale nie grozi to w najbliższym czasie dramatycznymi dla Kościoła sytuacjami.

W porównaniu z potężnym Kościołem katolickim ilościowo niewiele znaczą wyznawcy judaizmu. Lecz skądinąd wiadomo, że Żydzi mają ogromne wpływy w świecie i musi się z nimi liczyć nawet papież. Jan Paweł II dąży zresztą do zbliżenia obu wspólnot religijnych.

W tygodniku „KULTURA" (nr 41) rabin z Budapesztu, Peter Kardos, opowiada Romualdowi Karasiowi o Żydach i judaizmie na Węgrzech. Na terenie dzisiejszych Węgier byli Żydzi już w trzecim wieku, czyli na długo przed Węgrami. Obecnie jest ich tam około 60 tysięcy, a przed wojną było około miliona.

Peter Kardos pochodzi z bardzo religijnej rodziny ortodoksów, lecz jest przywódcą neologów. Zapytany przez dziennikarza polskiego —

## CZYM DYSPONUJĄ ŻYDZI

w Budapeszcie? — przedstawił niezły stan posiadania i dużą aktywność religijną społeczności żydowskiej na Węgrzech. Oto jego wypowiedź:

**„Na miejscu dawnego getta czynna jest synagoga Dohane, największa w środkowej Europie. Oprócz niej działa kilkanaście innych bożnic. Na Węgrzech jest piętnastu rabinów. W Szkole Rabinackiej, mającej charakter wyższej uczelni, kształcą się po maturach kandydaci na rabinów nie tylko z Węgier, ale także ze Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Dla ortodoksów mamy mykwę, czyli łaźnię. Są też trzy koszerne restauracje. Dzieci neologów i ortodoksów chodzą do wspólnego przedszkola. Uczą się tam hebrajskiego abc. Mamy też gimnazjum imienia Anny Frank. Ale między tym przedszkolem a szkołą średnią jest pustka, nie ma nic dla młodzieży żydowskiej. Dla dorosłych prowadzi się w Szkole Rabinackiej kursy w zakresie religii i kultury hebrajskiej. W mojej, XIV dzielnicy, której jestem rabinem, dobrą sławą cieszy się szpital żydowski, wspomagany finansowo przez Joint".**

Spośród wielkich religii monoteistycznych — poza judaizmem — rabin z Budapesztu najbardziej ceni chrześcijaństwo w wersji protestanckiej. Nurt reformacji w Kościele chrześcijańskim jest mu bliski z powodu zwrotu ku prostocie. **„Rozumiem ewangelików i kalwinów** — mówi — **odpowiada mi wygląd ich świątyń, prosty, surowy".**

Rabin Peter Kardos pozytywnie ocenia wysiłki papieży Pawła VI i Jana Pawła II mające na celu pojednanie Żydów z katolikami. Co dotąd zrobiono?

**„Z liturgii katolickiej został wykreślony zwrot, iż Żydzi są zdrajcami, gdyż ukrzyżowali Chrystusa. Z liturgii żydowskiej wykreślono zdanie: niech będzie pochwalony Bóg, który nie stworzył nas gojami. Dziś chwali się Boga za to, że stworzył nas Żydami. Z prasy, radia i telewizji dowiaduję się, że Jan Paweł II w trakcie swoich papieskich podróży spotyka się czy to z rabinami, czy to ze społecznością żydowską. Tak działo się w RFN. Takiego czegoś jeszcze nie było w historii, mówiąc krótko. Ta słuszna idea winna być przeniesiona z góry w dół — aż do plebanii. Jest nadzieja, że to byłby krok w kierunku zwalczania antysemityzmu".**

Wspólne działania różnych religii być może powstrzymałyby kryzys moralny we współczesnej cywilizacji. W artykule na łamach „PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO" (nr 41) Jacek Kurczewski pisze, że nie tylko w Polsce zauważa się regres moralny we wszystkich dziedzinach życia. W marcu br. arcybiskup anglikański narzekał na upadek prawdomówności, brak poszanowania cudzej własności, niewywiązywanie się z przyjętych zobowiązań, nieopanowanie popędu płciowego, zanik szacunku dla zdrowia i życia bliźniego.

## JAK JEST W NASZYM KRAJU?

Autor artykułu prezentuje wstępne wyniki badań zrealizowanych przed ostatnią pielgrzymką papieską w Warszawie. Mieszkańcy stolicy mają następujący stosunek do religii: wierzący i praktykujący — 36 proc., wierzący i praktykujący nieregularnie — 27 proc., wierzący, ale niepraktykujący — 17 proc., niewierzący, ale praktykujący — 4 proc., niewierzący i niepraktykujący 16 procent. W istnienie Boga wierzy 77 proc. warszawiaków, w nieśmiertelność duszy — 57 proc., w Sąd Ostateczny — 55 proc., w szatana — 43 procent.

E.L.

## NA WŁASNY RACHUNEK

# „Czcij ojca swego..."

Z pewnością wielu czytelników „Przeglądu Tygodniowego", zwłaszcza należących do starszego pokolenia, przeczytało z zainteresowaniem wywiad udzielony redaktorom tygodnika przez syna niesławnej pamięci Hansa Franka, byłego hitlerowskiego wielkorządcy tzw. Generalnego Gubernatorstwa, czyli tej części Polski, której nie wcielono bezpośrednio do Trzeciej Rzeszy.

Koszmary okupacji śnią się ludziom po nocach i pomimo tego, a może właśnie dlatego wielu z nas odczuwa ciągle niezaspokojony głód nowych faktów o tych czasach, a cóż dopiero, jeśli dostarcza nam ich ktoś z najbliższego otoczenia hitlerowskiego prominenta, jego rodzony syn, który kilka lat wczesnego dzieciństwa spędził jako „panicz" na Wawelu. Ten ktoś jest w dodatku autorem głośnej już w świecie książki, wydanej w RFN: „Mój ojciec morderca".

Ale czy inny aspekt tej sprawy, poza ściśle historycznym, nie jest wart największej uwagi i zastanowienia, aspekt polityczno-moralny? Syn publicznie oskarża i piętnuje nieżyjącego ojca, akceptując tym samym wyrok procesu zbrodniarzy wojennych w Norymberdze, skazujący gubernatora Franka na śmierć. A nie jest to wyrok, z którym by się wewnętrznie pogodziło całe społeczeństwo zachodnioniemieckie.

Czy więc syn, który potępia ojca za zbrodnie popełnione dla dobra ojczyzny (w rozumieniu nacjonalistycznym) nie jest wyrodnym synem i zarazem zdrajcą narodu? To właśnie zarzucili autorowi książki liczni czytelnicy, zwłaszcza z dawnych środowisk prominenckich i nawet troje spośród pozostałego rodzeństwa, z wyjątkiem jednego z braci, który z dalekiego kraju przysłał mu gratulacyjną depeszę. Dezaprobatę wyrażali nawet czytelnicy — jak się zdaje — liberalni, którzy uważali, iż nie należy „prać własnych brudów" przed obcymi, co (jak sądzę) bardziej sprzyja edukacji moralnej społeczeństwa niż obłudne zatajanie prawdy. Bo wywabiać „białe plamy" należy przede wszystkim z własnego sumienia...

Przypuszczam, że odruchowo większość z nas, należących do narodu, który padł ofiarą zbrodni Trzeciej Rzeszy, kieruje swoje sympatie ku autorowi książki, nie mając mu oczywiście za złe ani synowskiej „niewdzięczności", ani też tropienia zbrodni własnego narodu, nam bowiem, z natury rzeczy, łatwiej to przychodzi niż rodakom Franka juniora. Gdyby jednak każdy z nas spróbował się wczuć w jego sytuację i zapytał samego siebie, czy z całą pewnością zdobyłby się na gromadzenie informacji o przewinieniach naszych ojców wobec innych, podbitych narodów.

Otóż właśnie działalność demaskatorska Niklasa Franka zasługuje moim zdaniem na najwyższy szacunek jako świadectwo moralnie wyczulonego sumienia w stopniu wyjątkowo rzadko spotykanym. Budzi również nadzieję, fakt, iż w społeczeństwie zachodnioniemieckim dochodzą do głosu przejawy solidarnego poparcia dla postaw takich, jakie zaprezentował w swej książce Niklas Frank.

Sądzę też, że w nadchodzących lepszych czasach, wolnych (uwierzmy w to) od nienawiści między narodami i od przemocy w stosunkach między państwami (co przecież musi nadejść, jeśli ludzkość ma ocaleć), żadne względy (nawet tzw. patriotyczne) nie będą usprawiedliwiały zbrodni przeciwko ludzkości i ludzie dochodzący prawd niepopularnych nie będą czuć się w społeczeństwie izolowani.

Ale ilu z nas tego doczeka?...

JERZY KWIECIŃSKI

# W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Obywatel Jan Czapka, właściciel 13-hektarowego gospodarstwa we wsi Ciepielów Stary, wciąż wywołuje wokół siebie zamieszanie. W chałupniczych warunkach wytwarza znakomite maszyny i urządzenia. Z tego powodu ma liczne kłopoty, doczekał się nawet zwolnienia z pracy. Wynalazki jego z trudem trafiają do bram krajowego przemysłu — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

— Andrzej Brycht ma obywatelstwo kanadyjskie, ale zamierza wrócić do Polski na stałe. Po szesnastu latach spotkanie z krajem było dla niego w pierwszych chwilach trudne — dużo brudu, sporo odrapanych domów, ale najważniejsi są ludzie, ci zaś, jak oświadczył Andrzejowi Makowieckiemu, nie zawiedli go w żadnym wypadku — artykuł ANDRZEJA KAROLCZAKA.

— Na rowerze, w szerokich spodniach z czarnej satyny, w białej bluzce, stożkowatym kapeluszu i ciemnych okularach wyglądałam jak duża, nietypowa Wietnamka. Pojechaliśmy w południowym kierunku ulicą Bach Mai, przemierzyliśmy 13 kilometrów i znaleźliśmy miejski cmentarz — korespondencja ELŻBIETY SAJEŃCZUK z Hanoi.

— Spacerując rok temu ulicami Paryża zauważyłem w jednej z witryn księgarskich książkę zatytułowaną „Najwybitniejsze postacie XX wieku". Okładkę ilustrowały fotografie trzech osób: prezydenta de Gaulle'a, amerykańskiej aktorki Marylin Monroe i Włodzimierza Lenina — artykuł MARIANA WILKA.

— Ten system olbrzymich, wznoszących się jeden nad drugim, starannie podmurowanych i połączonych schodami tarasów stanowi niemal wyzwanie rzucone Bogu — reportaż RYSZARDA NAKONIECZNEGO z Peru.

— Przystanią w mieszczańskiej Odysei jest burdel, a współczesna Penelopa ulega łatwo popędom i zdradza swego małżonka — esej MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

— Poza tym: „Dzieci Arbatu" ANATOLIJA RYBAKOWA oraz „Dagome iudex" ZBIGNIEWA NIENACKIEGO.

Wszyscy deklarują poparcie dla reformy gospodarczej, ale co takie deklaracje znaczą w praktyce?

# Kto jest przeciw?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie tak dawno — a coś z tego zostało i do dziś — w naszej propagandzie obowiązywała zasada, że każda decyzja, inicjatywy, propozycja partii i rządu spotykała się z powszechną aprobatą. Naród był jednolity moralnie i politycznie i nie mógł być przeciw, nie dopuszczano takiej myśli, że ludzie mogą mieć inne, krytyczne zdanie. Aż życie obaliło taki sposób myślenia i stało się to dość brutalnie i tragicznie. Życie zmusiło nas do realistycznego patrzenia na rzeczywistość, nauczyło dostrzegać sprzeczności, rodzące się konflikty i rozumieć odmienność stanowiska różnych grup ludzi. Nie przypadkiem więc Zbigniew Messner powiedział w Sejmie PRL:

**„Realizacja programu będzie następować w ciągle niełatwych warunkach ekonomicznych, przy zróżnicowaniu sytuacji finansowej przedsiębiorstw i pozycji materialnej poszczególnych grup ludności. Różne też są postawy i oczekiwania społeczne. Różny będzie więc stopień akceptacji programu i różna wola jego realizacji. Z pewnością program ten stanowi wielką szansę rozwojową polskiej gospodarki. Nie wolno jej przepaścić w atmosferze obojętności ani też w jałowych sporach. Tym, którzy program kwestionują, proponujemy merytoryczną polemikę i wspólne poszukiwanie najlepszych rozwiązań".**

Potrzebę przeprowadzenia reform, głębokich, radykalnych i nie tylko gospodarki akceptują wszyscy — no, może niemal wszyscy, zresztą jak to jest z tą akceptacją pokaże referendum — na ogół jednak w deklaracjach. Gorzej jest z praktyką. Tutaj dostrzec można różne procesy hamujące, rozwiązania połowiczne, „zgnite kompromisy", które dziś już niczego nie rozwiązują, niczego nie zmieniają. Można więc powiedzieć, że w praktyce ujawniają się przeciwnicy reform. I dlatego trzeba postawić pytanie:

## KIM SĄ PRZECIWNICY REFORM?

Można byłoby na to pytanie odpowiedzieć bardzo prosto i schematycznie: **konserwatyści.** Ale konserwatyzm jest nie tylko postawą polityczną czy społeczną, jest też cechą natury ludzkiej, cechą charakteru. Każdy z nas chce żyć wygodnie i jeśli nie musi być postępowym, jeśli go do tego życie nie zmusza, to chętnie popada w konserwatyzm, pozostaje wierny starym poglądom, przyzwyczajeniom, rutynie. Stąd bierze się między innymi **postawa wedle której trzeba nasze życie zreformować, ale reformy są konieczne wszędzie tylko nie u mnie.**

Niewątpliwie do przeciwników reform należy zaliczyć wszystkich, których sposób myślenia został ukształtowany w dalekiej przeszłości i którzy pozostali wierni temu sposobowi myślenia i odległemu, dogmatycznemu widzeniu świata. W deklaracjach gotowi są oni przysięgać, że stoją na gruncie materializmu dialektycznego, ale w praktyce **nie potrafią posługiwać się dialektyką.** Dla nich reforma — choć mogą się do tego nie przyznawać — jest herezją i odejściem od modelu socjalizmu. Tylko, że ten model został ukształtowany dość dawno i życie również dość dawno go odrzuciło.

Trzeba jednak uczciwie sobie powiedzieć, że to żaden wyróżnik, gdyż konserwatywnie nastawionych ludzi można znaleźć w każdej grupie społecznej, zawodowej czy nawet towarzyskiej. Również **przynależność klasowa nie chroni przed konserwatyzmem i dogmatyzmem.** Przy tym dogmatyzm nie jest wcale jakąś immanentną cechą komunistów, zdarza się w różnych ugrupowaniach politycznych i różnych partiach na całym świecie. Tak więc konserwatyzm nie wyczerpuje zagadnienia i nie daje odpowiedzi na pytanie: **kim są przeciwnicy reform?**

Można postawić też inne pytanie: czy w ogóle powinniśmy ich szukać? Po co to nam? Myślę, że powinniśmy. A swój pogląd buduję na dwóch przesłankach: pierwszej — że **fiasko reformy gospodarczej i procesu demokratyzacji cofnie Polskę daleko wstecz i może zagrozić nie tylko socjalizmowi w naszym kraju, ale i naszej suwerenności;** drugiej — że bez znajomości tych sił, które mogą zahamować postęp reform, wymuszać ich połowiczność, rozmydlać je i sabotować, bez znajomości tych sił reform nie da się w pełni wprowadzić, co niewątpliwie zagrozi procesowi rozwoju socjalizmu w PRL. Można tu sparafrazować słynne już powiedzenie Michaiła Gorbaczowa: **jeśli nie my zrobimy reformy, to kto, jeśli nie teraz, to kiedy?** Im bowiem dłużej z tym będziemy zwlekali, tym więcej będzie narastało problemów do rozwiązania, tym ostrzej będą się rysowały sprzeczności, które są przecież nieuchronnością każdej rzeczywistości, rezultatem każdego rozwoju. Jeśli tych sprzeczności w porę się nie rozwiąże, to grozi to nieuniknionym konfliktem. Praktyka reformy musi zadać kłam tezie, że w Polsce konflikty polityczne i społeczne wybuchają w cyklu dziesięcioletnim. Ale reforma może stać się praktyką — niełatwą, nikt tego nie ukrywa — jeśli poznamy siły ją hamujące i w porę się im przeciwstawimy, zneutralizujemy ich działania.

## JAKIE PRZYJĄĆ KRYTERIA

aby móc te siły określić? Myślę, że na problem trzeba spojrzeć dialektycznie i przyjąć **kryterium ryzyka.** To znaczy: kto chce ryzykować, opowiadając się za reformą i mając świadomość, że można na tym stracić? Czyli kryterium ryzyka wiąże się z **kryterium zainteresowania.** Kto na reformie zyska, a kto straci?

Na V Plenum KC PZPR Zdzisław Cackowski (członek KC PZPR, rektor Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie) powiedział między innymi:

**„W ostatnich dwóch miesiącach miałem bardzo ciekawe osobiste i społeczne doświadczenie, które uświadomiło mi, że wszyscy albo większość ludzi jest za reformą, za tym, żeby różnicować płace w zależności od pracy i efektów. Prawie wszyscy są za tym. Tyle że na zebraniach. Dopóki znajdujemy się w płaszczyźnie słowno-propagandowej, wszyscy są za. Ale gdy rozchodzimy się z zebrań i mówimy: no, to bierzmy ołówek, policzmy kto co daje i kto co powinien dać, to wtedy odzywa się znowu prawie powszechny głos socjalizmu najprymitywniejszego: wszystkim równo, dla świętego spokoju, a od każdego co łaska".**

A zatem podziały na zwolenników i przeciwników reform przebiegają nie między różnymi grupami, ale w każdej z grup. To stwierdzenie nie posuwa nas jednak naprzód. Nie daje bowiem precyzyjnej odpowiedzi na postawione pytanie: **kto jest przeciw?**

Myślę zatem, że przeciwników trzeba byłoby szukać przede wszystkim w zawodowych grupach **ludzi uprzywilejowanych,** a uprzywilejowani są

## NIE TYLKO CI, KTÓRZY MAJĄ STANOWISKA

Uprzywilejowane są przecież całe grupy zawodowe, to jest te, które mają różne karty i wynikające z nich świadczenia dodatkowe, jak choćby górnicy, energetycy, nauczyciele i tak dalej. Nauczycieli reforma nie powinna ruszyć, ale jeśli płaca ma wynikać z pracy, a poziom płacy ma wynikać z zysku przedsiębiorstwa, to i dodatkowe świadczenia muszą wynikać z dorobku tegoż przedsiębiorstwa. Wszelkie karty powinny zatem stracić swoją moc obowiązującą.

W wyniku konsekwentnie przeprowadzanych reform pewna liczba ludzi straci dotychczasowe zajęcie i będzie się musiała przekwalifikować, a niekiedy być może zmienić nawet miejsce zamieszkania. Trudno wymagać od nich, aby byli entuzjastami reform, jeśli być może w przyszłości na tym zyskają, to początkowo będą przynajmniej reformie niechętni. W elu ludzi, którzy mają dziś dobre posady w centrum, w wyniku jego reform posady te stracą, a być może nawet będą zmuszeni przenieść się z Warszawy na lekceważony do tej pory teren, zwany też niekiedy pejoratywnie prowincją. Czy wśród tych ludzi należałoby szukać zwolenników reform? A przecież powinni to być ludzie rozumni, z dużym doświadczeniem, wiedzą, która to powinna gwarantować rozumienie nieuchronności reform i ich znaczenia dla przyszłości Polski. Byliby oni być może nawet entuzjastami reform, gdyby te dotknęły innych, a ich zostawiły w spokoju.

Dla przyszłości reform w PRL byłoby najlepiej, gdyby światłe zamierzenia idące od „góry" spotykały się z otwartymi oczekiwaniami idącymi od „dołu" i ze sprzyjającą postawą szczebla średniego. Upatruję bowiem główne niebezpieczeństwo dla powodzenia reformy nie w nastrojach społecznych, które są bardzo zróżnicowane i nie zawsze mogą sprzyjać reformie, choćby przez obojętność dla niej, a w postawach tych, których obowiązkiem jest wykonywać polecenia idące „z góry" i przekazywać je dalej do „dołu".

## TUTAJ MOGĄ NAJSILNIEJ WYSTĄPIĆ DZIAŁANIA HAMUJĄCE

Szczebel ten w strukturze naszego życia politycznego i społecznego (włączając w to życie gospodarcze) rządzi się swoimi prawami. A mówiąc dokładnie: **swoim interesem.** Władza i znaczenie tego szczebla polega właśnie na tym, że potrafi on każde — najmądrzejsze i najpotrzebniejsze — zarządzenie rozwodnić, zbagatelizować, wyhamować, przytrzymać, a nawet wręcz nadać mu inny sens. Pośrednicy są niewątpliwie potrzebni, ale też **muszą być precyzyjnie i bezwzględnie kontrolowani. To właśnie na szczeblu pośrednim wielekroć słowa rozmijały się z czynami, a sens najpiękniejszych haseł nabierał karykaturalnego znaczenia. Szczebel pośredni ciągle czuje się potrzebny, bal niezbędny i... bezkarny.**

Byłoby błędem i niedorzecznością negowanie potrzeby istnienia i działania szczebli pośrednich wszelkiego rodzaju i znaczenia. Ale byłoby też poważnym błędem i niedopatrzeniem niedostrzeganie niebezpieczeństwa, jakie w nim tkwi. Z uwagą i uznaniem przeczytałem przemówienie przewodniczącego Rady Państwa Wojciecha Jaruzelskiego wygłoszone na zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Myślę, że wszyscy moi koledzy po fachu przyjęli je z uznaniem i życzliwością. Podejrzewam, że również pomyśleli to samo co i ja, albo podobnie: gdybyż te wszystkie piękne i mądre słowa o roli prasy, radia i TV, o znaczeniu krytyki i tak dalej mogły bez wypaczeń stać się codzienną praktyką.

**„Przyjmujemy krytykę** — mówił Wojciech Jaruzelski — **w środkach masowego przekazu jako zjawisko nie tylko normalne, lecz wręcz niezbędne. Jedyny postulat dotyczy jej jakości i odpowiedzialności. Chodzi o to, aby nie była płytka i niekompetentna, nie goniła za tanią sensacją. Szczególnie jest dziś w cenie odwaga głębokiego penetrowania przyczyn krytykowanych spraw i wydarzeń, sięganie w głąb, do korzeni negatywnych zjawisk. Trzeba zwłaszcza szeroko popularyzować, upowszechniać doświadczenia tych, co chcą i mogą, którym się udaje, a wskazywać i piętnować zarazem tych, którzy w zbliżonych lub nawet takich samych warunkach działają nieskutecznie, wręcz szkodzą".**

Nie mam zamiaru twierdzić, że wszyscy dziennikarze w krytycznym zapale sięgają do korzeni zjawisk. Zdarza się krytyka powierzchowna, niesprawiedliwa, subiektywna, niekompetentna. Ale w reakcję na krytykę nadal stosuje się — żeby nie powiedzieć odwieczne — takie same, sprawdzone i przez to skuteczne, choć w ujemnym znaczeniu — metody postępowania. Różne formy pomijania istoty krytyki albo przez jej przemilczanie, albo przez wyjaśnienia, które tylko zamazują obraz i niczego w istocie nie wyjaśniają.

Swego czasu wymyślono instytucję rzecznika prasowego, który miał być pośrednikiem między instytucją, urzędem, przedsiębiorstwem a dziennikarzami, miał ułatwiać przepływ informacji, a w praktyce stał się czynnikiem ten przepływ hamującym. Coraz powszechniej zdarza się, że rzecznik prasowy utrudnia dostęp do informacji, co jest sprzeczne z samą jego istotą, z rolą jaką mu przypisano, powołując go do życia. Zdarza się i tak, że rzecznik prasowy urzędu administracji państwowej nie wie na przykład, albo udaje, że nie wie, że najwyższą władzą na danym terenie jest rada narodowa, a nie jej urząd wykonawczy. Poza tym — zdarza się też — że rzecznik prasowy bierze na siebie prawo „karcenia" dziennikarzy za krytykę, zamiast na tę krytykę rzeczowo — zgodnie z prawem prasowym — odpowiadać. Rzecznicy prasowi nierzadko stają się czynnikami hamującymi bądź — przez utrudnianie dostępu do informacji — uniemożliwiającymi krytykę. To wszakże tylko jeden przykład tego, jak szczebel pośredni wyhamowuje i rozwadnia słuszne i ważne zalecenia i opinie centrum, czyli „góry".

Nie mam złudzeń, że podobnie dzieje się w partii. Tu też funkcjonują szczeble pośrednie, które mają wszelkie możliwości na to, aby przepływ informacji z „dołu" do „góry" kształtować na swój wzór i podobieństwo, czyli dla siebie wygodnie. Nie mam też złudzeń, że i w partii są przeciwnicy reform. Komitet Centralny PZPR — jak dowodzi temu dotychczasowa praktyka — może podejmować najsłuszniejsze i najmądrzejsze reformy. Ale je realizuje cała partia, to znaczy: powinna realizować, bo w praktyce nie jest z tym dobrze. Nież to wspaniałych uchwał jest tylko zapisem mądrych myśli na papierze, czyli martwym dokumentem. Nież organizacji partyjnych

## UDAJE, ŻE ŻYJE I PRACUJE

nie spełniając swojej roli przewodniej, nie mówiąc już o służebnej.

Nie mam zamiaru nikogo przekonywać, bo jest to oczywiste, choć nie wszyscy mogą tak rozumować, że powodzenie reform w PRL zależeć będzie od zrozumienia ich istoty oraz od postawy i działania nas wszystkich, członków PZPR. Na sali obrad V Plenum KC PZPR obecni byli członkowie Klubu Poselskiego PZPR. I sekretarz KC PZPR, Wojciech Jaruzelski zwrócił się do nich w następujących słowach:

**„Uchwała plenum, nie pozbawiając towarzyszy posłów prawa do poszukiwania lepszych, praktyczniejszych metod i rozwiązań, zobowiązuje ich nie tylko do głosowania, ale do argumentowania i walki o realizację naszych dzisiejszych decyzji".**

Obowiązek ten należałoby — zgodnie zresztą ze Statutem PZPR — przenieść na nas wszystkich: powinniśmy wszędzie, gdzie pracujemy i działamy społecznie popularyzować, bronić i walczyć o linię partii, co wcale nie odbiera nam prawa do poszukiwania innych, lepszych metod, do dyskusji na partyjnym forum nad nimi, a także do krytycyzmu wobec zastanej i zmieniającej się rzeczywistości. Jest to bowiem obowiązek wynikający z przynależności do partii i przyczyniający się do spełniania tej roli przewodniej, jak też prawo członka partii do twórczych poszukiwań, a przez to do współodpowiedzialności komunisty za przyszłość jego kraju.

Najgorszym wszakże wrogiem reform i postępu jest wszelka obojętność, bezmyślność, indolencja, brak wyobraźni i głupota.

# Pasowanie na ucznia w XXXI LO

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Coraz więcej małych klubów rezygnuje z sekcji piłki nożnej.

# Każdy ma swojego „wujka”

## Rozmowa z CZESŁAWEM FUDALEJEM, byłym trenerem GKS Bełchatów

**Jest pan już trenerem od 20 lat.**

— Tak. Jestem trenerem I klasy. Zacząłem pracę trenerską w Łasku. Była to drużyna B klasy. Wprowadziłem ją po 6 latach pracy do III ligi. Do III ligi wprowadziłem też Stal Niewiadów. Dwa zespoły wprowadziłem do II ligi. Ratowałem też przed spadkiem z II ligi Concordię Piotrków Trybunalski. Pracowałem tam wówczas z byłym sędzią piłkarskim Januszem Marcinkowskim i bardzo sobie tę współpracę chwalę. Przed 10 laty pracowałem też przez pewien czas z Leszkiem Jezierskim w ŁKS.

**— I uratował pan Concordię Piotrków przed spadkiem?**

— Concordię uratowałem, ale sam się naraziłem władzom województwa piotrkowskiego. W pierwszym roku Concordia utrzymała się na czwartym miejscu, w następnym — na dziesiątym. Ale był to klub słaby organizacyjnie, nie widziałem możliwości utrzymania się długo w II lidze. I poprosiłem o zwolnienie. Zresztą Janusz Marcinkowski też odszedł. Zostawiliśmy Concordię w II lidze, ale szybko spadła i do dziś nie podniosła się z tego upadku.

**— I tym odejściem naraził się pan władzom? Kiedy to było?**

— Tak. Naraziłem się. Był to rok 1980. Poszedłem do pracy w Lechii Tomaszów Mazowiecki. Po miesiącu pracy, byliśmy akurat na obozie treningowym, odwołano mnie i oświadczono, że władze województwa piotrkowskiego nie życzą sobie, abym pracował na ich terenie po odejściu z Concordii. Działacze Lechii nie byli nic winni, chcieliby abym został, ale wobec władz byli bezsilni. Zapłacili mi do końca roku i musiałem odejść.

**— Wkrótce powrócił pan do tego województwa i objął drużynę GKS Bełchatów.**

— Minęło jednak parę lat i coś się zmieniło również w województwie piotrkowskim. Zresztą gdy GKS awansował do II ligi, to ci, którzy przedtem byli przeciw mnie, teraz mi gratulowali. Czegoś się jednak po tym incydencie z Concordią nauczyłem. Już sam się z pracy w klubie nie zwalniam. Czekam aż mnie zwolnią.

**— No i doczekał się pan. Po awansie GKS Bełchatów do II ligi otrzymał pan — delikatnie mówiąc — wypowiedzenie z pracy w Bełchatowie. Co było powodem?**

— W Bełchatowie pracowałem trzeci rok. Gdy obejmowałem drużynę GKS Bełchatów, a było to na dwa lata przed ich dziesięcioleciem, na zamówienie bełchatowskich działaczy podjąłem się wprowadzenia tej drużyny do II ligi. Miał to być taki prezent na 10-lecie klubu.

**— Z zobowiązania pan się wywiązał. I tak panu podziękowano?**

— Może to panią zdziwi, ale nie mam o to pretensji, chociaż moja sytuacja nie należy do łatwych. Do emerytury mam jeszcze 15 lat. Nic innego, poza trenowaniem piłkarzy, robić nie umiem i nie chciałbym. Jeśli jednak przyjrzeć się obiektywnie sytuacji, jaka powstała w GKS Bełchatów po awansie do II ligi, to musiało się tak, a nie inaczej zakończyć.

**— Dlaczego? Jakie były zarzuty wobec pana?**

— Brak wyników. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie łatwo w II lidze. Na dodatek kalendarz rozgrywek był tak ułożony, że 5 pierwszych spotkań mieliśmy z trudnymi przeciwnikami: Górnikiem Knurów, Włókniarzem Pabianice, Wisłą Kraków, Stalą Mielec i Zagłębiem Sosnowiec.

**— Bełchatowscy działacze tego nie rozumieli?**

— Rozumieli. Prezes GKS Bełchatów był na owych 5 meczach i nie miał do mnie pretensji o złe wyniki. Potem przyszły jednak 2 następne mecze i nic się nie poprawiło. Koniec!

**— A co na to sami zawodnicy? Po pana odejściu wcale nie grają lepiej.**

— Zawodnicy to przeżyli. Przecież nie odszedłem w warunkach konfliktu z drużyną. No, może — jak to sobie teraz przemyślałem — trzeba było wyrzucić jednego lub dwóch i reszta musiałaby się otrząsnąć. Może byłoby inaczej. Ale nie zrobiłem tak i nie ma o czym mówić. Zresztą uważam, że drużynę GKS Bełchatów stać na to, aby zrobić krok do przodu w II lidze, aby utrzymać się w niej. Kłopot wszakże w tym, że nie ma tam rezerw, nie ma kim uzupełniać zawodników.

**— Przepraszam, ale czy nie ma w tym pewnej sprzeczności? Najpierw powiedział pan, że zdawał pan sobie sprawę z tego, że po awansie do drugiej ligi będzie trudno. I było. Teraz pan mówi, że GKS Bełchatów stać na krok naprzód w drugiej lidze. Nie ma w tym sprzeczności?**

— Po roku pracy w GKS Bełchatów doszedłem do wniosku, że drużyna nie ma szans na awans do II ligi, jeśli nie uzupełni się składu przynajmniej 4 zawodnikami.

**— A cóż to za problem dla takiego potentata jak GKS Bełchatów?**

— Myli się pani. GKS Bełchatów — wbrew pozorom — nie jest aż tak bogatym klubem. Jak na III ligę to bełchatowski klub ma dobre warunki i zawodnicy mogą nieźle zarobić, mają odpowiedni sprzęt. Nie ma jednak porównania z klubami śląskimi. Sprowadziliśmy więc zawodników, którzy gwarantowali nam awans do II ligi i akurat byli „na rynku”.

**— Mówiło się, że zakłada pan w Bełchatowie drużynę emerytów.**

— Owszem. Nazwano nas nawet Cosmosem z Bełchatowa. Była to szczególna złośliwość. Ale przed złośliwościami ratowało nas to, że doszliśmy do jednej czwartej Pucharu Polski i dobre wyniki w III lidze. Ale to były dobre wyniki w III lidze, a tej samej drużynie przyszło grać w II lidze. Nie widzę tu sprzeczności, raczej prawidłowość.

**— Własnych wychowanków klub bełchatowski nie miał?**

— Nie, nie miał.

**— W Bełchatowie brakuje młodzieży?**

— Nie, nie brakuje. I klub też chce prowadzić działalność szkoleniową.

**— To co przeszkadza?**

— Można to określić, że wszystko postawione jest na głowie. Bo — proszę zważyć — są grupy szkoleniowe, są instruktorzy, juniorzy weszli nawet do I grupy rozgrywek, grali w 1986 roku z Włókniarzem Pabianice o mistrzostwo okręgu. Ale rezerw dla pierwszej drużyny nie ma. Nowych zawodników trzeba szukać poza klubem.

**— Czegoś tu nie rozumiem. GKS Bełchatów jest klubem młodym, cóż to jest 10 lat. Powinien był zacząć od szkolenia młodzieży. Gdy już byłaby kadra, to wtedy należało myśleć o awansach ligowych. Czyż nie mam racji?**

— To logiczne. Ma pani rację. Ale w Bełchatowie nie bardzo jest gdzie pracować. Klubowi potrzeba trzech boisk treningowych. Koło głównego boiska nie ma miejsca. Dopiero teraz GKS Bełchatów otrzymał od władz miejskich teren w odległości około kilometra od klubu, co jest lokalizacją bardzo dobrą. Kopalnia bełchatowska ma sprzęt i chęci, więc boiska treningowe pewnie będą. Ale to stało się dopiero dzięki awansowi do II ligi.

Poprzednio w Bełchatowie była tylko Skra. Klub miejski, który zmarł śmiercią naturalną. Nie ma więc żadnych tradycji. Stąd między innymi bierze się rozumowanie, że jak wywalczymy awans do II ligi, to łatwiej będzie coś dla klubu załatwić. Taki jest na ogół mechanizm rozwoju klubów sportowych w Polsce. Od końca. Nie inwestuje się w kluby, żeby w przyszłości dało to wyniki, ale najpierw za wszelką cenę robi się wyniki, a później dopiero myśli się o bazie. Przecież Widzew też dorobił się piłkarskiego boiska z prawdziwego zdarzenia, jak mu przyszło gościć zagraniczne drużyny w Łodzi.

To jest inna logika. Aby coś uzyskać, opłaci się czasem awansować tylko na krótko do II ligi. Później można spaść do III ligi, aby znów — po rozbudzeniu już apetytów — walczyć o powrót do II ligi. Wtedy jednak inny jest już punkt widzenia, inne rozumienie potrzeb klubu. Proszę pamiętać, że Włókniarz Pabianice 4 razy wchodził i spadał do III ligi. Wreszcie teraz udało się mu jakoś ustabilizować w II lidze.

**— Zatrzymajmy się może jeszcze przy III lidze. Na podstawie różnych informacji o przejściach z III ligi do klubów na przykład pierwszoligowych można sobie wyrobić zdanie, że te kluby i inne, niżej usytuowane, to kopalnia talentów. A tu z pana wypowiedzi wynika, że jest tam podobnie, jak na ligowej górze.**

— Znam doskonale województwo piotrkowskie i mogę panią zapewnić, że tam w klubach talentów nie ma. W Piotrkowie Trybunalskim są 2 piękne stadiony, a nie ma piłki nożnej. W Tomaszowie Mazowieckim są 2 kluby: Lechia i Pilica, które reprezentują województwo piotrkowskie w III lidze. Ale też nie mają łatwo. W ogóle wytworzyła się taka sytuacja w polskiej piłce nożnej, że zarzuca się szkolenie młodzieży. I takie są skutki, że małe kluby rezygnują z sekcji piłkarskich. Nie tylko w terenie. Na przykład w Łodzi, na Górnej zrezygnowały z takiej sekcji Chojeński Klub Sportowy i KS Tęcza.

**— Nie sądzę, aby to była tylko ich niechęć do zajmowania się młodzieżą?**

— Oczywiście, że nie. Gdybym miał pracować z młodzieżą, to musiałbym chyba umrzeć z głodu. Żadna płaca daje żadną pracę. Młodzież szkolą trenerzy na pół etatu, z doskoku. Zresztą, chyba nie ja pierwszy pani o tym mówię.

**— Ale to przecież rodzi fatalne skutki dla przyszłości piłki nożnej.**

— Owszem. Już trampkarze są niedoszkoleni. A przecież młodzież powinni uczyć najlepsi, którzy potrafiliby ją przygotować do sportowej kariery. Osiemnastoletni chłopak, który wybiega na boisko jako dorosły już piłkarz powinien mieć za sobą 9 lat szkolenia. A ma podstawowe braki w tym szkoleniu.

**— Trener pierwszej drużyny ma już inne warunki?**

— Owszem. Gdybym zarabiał tylko w klubie, to miałbym 25 tysięcy złotych miesięcznie. Nie będę ukrywał, że miałem dużo więcej.

**— Był pan górnikiem?**

— Coś w tym rodzaju.

**— Czy trzecioligowi piłkarze też mają etaty górnicze?**

— Mają.

**— Czy uważa pan, że to jest w porządku?**

— Przede wszystkim uważam, że system stypendialny nie zdał egzaminu życiowego i trzeba się będzie z niego wycofać. Uważam, że w porządku jest, jeśli piłkarz związany jest w jakiś sposób z zakładem pracy, na rzecz którego gra. Poza tym pani dobrze wie, że nie wszystkie kluby przyjęły system stypendialny. Przede wszystkim odrzuciły go kluby górnicze. Po co więc utrzymywać fikcję?

Zresztą w polskiej piłce nożnej wiele jest fikcji. Nie potrafimy szanować Karty Piłkarza, list transferowych. Wielu dobrych trenerów chętnie ucieka na emigrację, aby tam pracować, wykazać się i zarobić. Czy sądzi pani, że kieruje nimi tylko chęć zarabiania?

**— Czy zawodnicy w III lidze mieli premie za wygrane mecze?**

— Nie. Premii nie było. Natomiast płaca jest zróżnicowana. Decyduje wiek, wykształcenie, wkład pracy w wyniki. Za osiągnięty cel bywają nagrody. Na przykład Rada Robotnicza Kopalni Bełchatów ufundowała nagrodę za awans do II ligi.

**— Sądzi pan, że zakłady pracy byłyby zainteresowane w świadczeniach na rzecz klubu sportowego?**

— Tak, jeśli będzie to związane z ulgami w podatkach.

**— Mówił pan o tym, że małe kluby uciekają od piłki nożnej. Chodzi o pieniądze?**

— Tak, chociaż i kłopoty, jakie się wiążą z posiadaniem drużyny piłkarskiej łatwiejsze są do przezwyciężenia w dużych klubach niż w małych.

**— Co pan ma na myśli?**

— Wie pani, każdy ma jakiegoś „wujka”. Można byłoby też powiedzieć inaczej. Gdy u władzy był Edward Gierek, to Zagłębie Sosnowiec cały czas było w I lidze. Ale co będziemy wracali do przeszłości.

**— Zastanawiam się, dlaczego na przykład Włókniarz Pabianice nie chce jakoś awansować do I ligi? Czyżby województwa łódzkiego nie było stać na to, aby mieć 3 drużyny w I lidze?**

— Może się i tak wydawać. Ale — z drugiej strony — w Pabianicach znajdą się niewątpliwie tacy działacze, którzy temu podołają. Tylko może się też i tak okazać, że w ostatniej chwili czegoś im zabraknie, czemuś nie podołają, mimo najlepszych chęci.

**— Na przykład?**

— Na przykład: siły przebicia. Kiedy do jednego celu zmierza dwóch równorzędnych partnerów, to wcale nie musi dotrzeć ten lepszy. Często decydują, powiedzmy, niuanse.

Gdyby tę sytuację odnieść do pracy trenera, to wcale nie jest tak, że ocenia się go według jego pracy. Przeciwnie — według wyników z niedzieli na niedzielę. A gdy złoży się kilka złych wyników z kolejnych niedziel, to trener może szybko znaleźć się bez pracy.

**— Z kim bym nie rozmawiała o polskiej piłce nożnej, to każdy mówi, że jest źle. I każdy wie, co trzeba zrobić, aby było lepiej. Ale kto ma to zrobić?**

— Uważam, że myśmy nie wykorzystali szansy, jaka powstała w polskiej piłce nożnej za czasów Kazimierza Górskiego. Działacze PZPN wiedzieli wtedy, co potrzeba polskiej piłce nożnej, co trzeba zrobić, aby ją unormować. I nic nie zrobili. Od tego czasu cofnęliśmy się.

Mamy dobrych, poszukiwanych i cenionych w świecie szkoleniowców. Zbierają się w Radzie Trenerów, mówią o naszych sprawach. I co? I nic! Nikt ich nie pyta o zdanie, a przecież to fachowcy, odpowiedzialni ludzie, znają sprawy polskiej piłki nożnej od podszewki. Nikt ich nie słucha. Najczęściej robi się to, czego jakiś „wujek” sobie życzy. Czym jest głośna ostatnio sprawa Roberta Warzychy? Czy pani koniecznie chce, abym się „wujkom” narażał, teraz, gdy jestem bez pracy?

Zresztą od wypowiadania się o polskiej piłce nożnej najlepsi są Leszek Jezierski i Jan Tomaszewski. Leszek Jezierski znów się ostatnio naraził wypowiedzią, że zakaz przechodzenia z niższej klasy do wyższej jest bzdurą. Nikt mu nie chce racji przyznać, choć są kluby, które nie liczą się z obowiązującą listą transferową.

**— Co pan będzie teraz robił?**

— Mam urlop. Odpoczywam. Pracuję trochę przy domu. Zbieram siły.

**— Ma pan jakieś propozycje?**

— Tak. Od Lechii Tomaszów, w której już kiedyś pracowałem przez miesiąc i potem był ten wilczy bilet za odejście z Concordii Piotrków. Cieszy mnie to, że propozycja przyszła od klubu, w którym pracowałem. To znaczy, że mnie cenią.

**— A czego by pan pragnął?**

— Prowadziłem już kluby III i II ligi. Nie pchałem się do I ligi, ale trzeba byłoby spróbować i tam swoich sił. Myślę, że i na to przyjdzie czas.

No i bardzo bym chciał, aby wreszcie unormowano sytuację trenera. Przecież to absurd, aby trener po 30 latach pracy musiał czekać do 65 roku życia na emeryturę. Każdy z nas był kiedyś piłkarzem. To się jakoś odbiło na jego zdrowiu. Człowiek w wieku 60 lat nie jest już taki sprawny na boisku, a przecież nie może zachowywać się jak kaleka przed swoimi wychowankami.

**— Życzę panu spełnienia życzeń i znalezienia dobrej pracy.**

— Dziękuję za dobre słowo!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

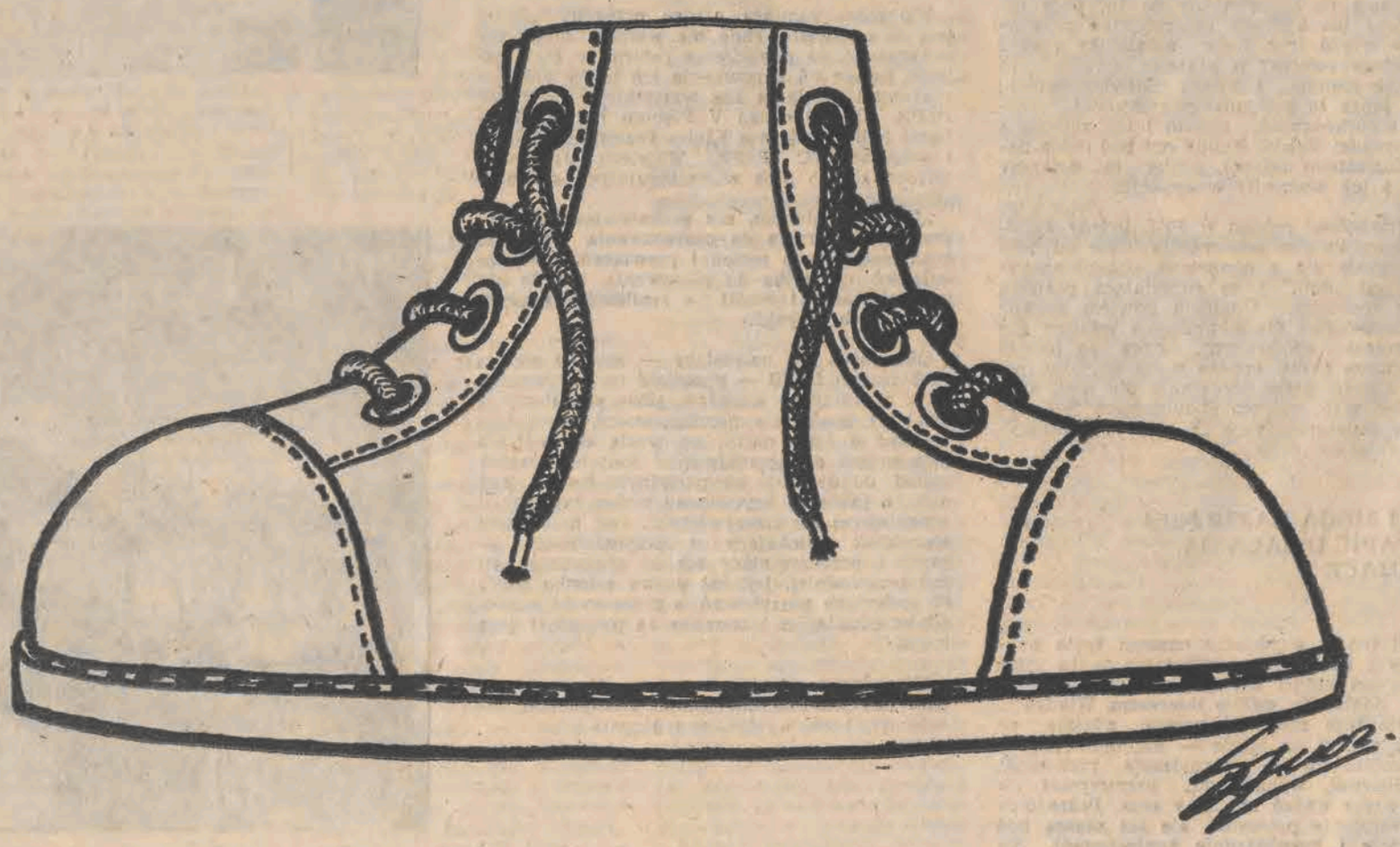

Rys. Sławomir Łuczyński

ze str. 1

**rost naturalny, wzrasta umieralność niemowląt.**

Mamy 8 tys. łóżek szpitalnych. Sytuacja poprawi się po oddaniu dwóch dużych szpitali, m. in. Centrum Zdrowia Matki Polki. Na razie na 10 tys. mieszkańców przypada 70 łóżek, a przydałoby się 100. I dlatego bez protekcji trudno dostać się do dobrego szpitala, a już tym bardziej człowiekowi ze wsi. Pewien rolnik po opuszczeniu jednego ze szpitali oświadczył, że nigdy nie chciałby tam wrócić. Dlatego, że obok niego leżał człowiek cięższej chory, bardziej zniedołężniały, pod którym zalęgło się robactwo...

W ostatnich latach na terenie aglomeracji oddano do użytku **trzy wiejskie ośrodki zdrowia: w Rzgowie, Grotnikach i w Giecznie, gm. Zgierz,** wzniesione dzięki zaangażowaniu społeczeństwa. I to cieszy. Ale niepokój budzi stan techniczny wiejskich placówek zdrowia w **Rąbieniu, Bełdowie, Ksawerowie i Sokolnikach.**

**Jeżeli nawet w gminie jest ośrodek zdrowia, to i tak rolnicy chodzą do lekarza pięć razy rzadziej niż mieszkańcy miasta. Bo chłop może być chory, ale przecież nie odejdzie od żniw, sianokosów, wykopków. Poza tym trudno mu opuścić gospodarstwo, aby przez dłuższy czas leczyć się w szpitalu czy w sanatorium.**

**Według opinii wiejskich lekarzy**

### chłop choruje inaczej

Pracując na powietrzu lżej choruje na zawał, powikłania są mniejsze, mniej jest zgonów. Ale praca na powietrzu bez względu na pogodę, i to w nieodpowiedniej odzieży, doprowadza do licznych schorzeń, jak reumatyzm, dolegliwość układu kostno-stawowego oraz dróg oddechowych.

Natomiast w wyniku złego odżywiania się coraz częstsze i coraz cięższe są przypadki schorzeń układu pokarmowego, głównie choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy, i to z poważnymi powikłaniami.

**Coraz większe żniwo zbiera na wsi miażdżyca, choroby psychiczne, udary mózgu, a także choroby nowotworowe i różnego rodzaju urazy, związane z rozwojem mechanizacji.** Z kolei chemizacja i złe warunki sanitarne prowadzą do wzrostu wszelkiego rodzaju **zatruć.**

Nie do pozazdroszczenia jest także sytuacja ludzi starych, samotnych, ciężko chorych, zniedołężniałych. Jedni nie chcieliby opuszczać domu rodzinnego, drudzy pragnęliby znaleźć się w domu opieki społecznej. Skoro więc wieś potrafi budować w czynie społecznym drogi, szkoły i wodociągi, to mogłaby chyba wznieść w gminie dom rencisty, może na początek dom dziennego pobytu? W innych województwach takie domy już istnieją. A przy okazji warto się zastanowić, **czemu to w przemyśle uzyskuje się rentę przy III grupie inwalidztwa, a rolnik uzyskuje ją dopiero przy II grupie.**

Województwa ościenne korzystają z łódzkich placówek zdrowia, ale nie dokładają do tego grosza. Tymczasem tzw. biała niedziela, podczas której przebadano mieszkańców **Starowej Góry w gm. Rzgów,** wykazała, że w tej wsi ludzie chorują na choroby, którym mógłby zapobiec lekarz specjalista. Jednakże dostęp do specjalisty jest trudny i dlatego rolnicy szukają porady w łódzkich spółdzielniach lekarskich, gdzie np. za 350 zł można być zbadanym przez internistę. Można też skorzystać z pomocy specjalisty, bo w spółdzielniach tacy właśnie pracują, często lekarze-renciści, którzy w ten sposób przedłużają sobie życie zawodowe.

### A gdyby tak otworzyć w Łodzi poradnię dla rolników?

W aglomeracji łódzkiej pracuje 3750 lekarzy. Na 1000 mieszkańców przypada 30 lekarzy, podczas gdy średnio w kraju — 27 lekarzy. Wydawałoby się więc, że jest dobrze. Trzeba jednak pamiętać, że są to ludzie zaganiani, z trudem wiążący koniec z końcem. **Nie należy się dziwić, że gdy po sześciu latach studiów i roku stażu młody lekarz zarabia 8,5 tys. zł, to wśród lekarzy nie ma Judymów.**

Mamy w Łodzi dwie akademie medyczne, na których studiuje coraz mniej młodzieży chłopskiej, która mogłaby się kiedyś związać z pracą na wsi. No i jest tak, że szybciej przybywa na wsi ośrodków zdrowia niż pielęgniarek i lekarzy. Sytuacja wygląda tak, że częstokroć w ośrodku zdrowia pracuje jeden lekarz. Jeśli mieszka na miejscu, to praktycznie dyżuruje całą dobę i w nocy także nie odmówi wyjazdu do pacjenta. Gorzej, gdy mieszka w innej miejscowości. A kiedy miejscowa pani doktor pójdzie na urlop macierzyński, wynikają ogromne kłopoty z zatrudnieniem lekarza dojeżdżającego. **Bo doszło już do tego, że współczesny wiejski Judym powinien jeździć na rowerze.** Brakuje środków transportu, w tym karetek, brakuje dodatkowych ilości paliwa, lekarze rzadko otrzymują przydziały na samochody. Z mieszkaniami też nie jest najlepiej.

A jeśli do tego brakuje środków i instrumentów medycznych, to wiadomo już, w jakich warunkach pracuje lekarz wiejski. W każdym razie na dokształcanie nie ma czasu. A na brak leków nie ma już wpływu, bo przemysł farmaceutyczny jest rzekomo deficytowy. Słyszy się nawet głosy, że gdyby przemysł farmaceutyczny podlegał ministrowi zdrowia, to wiadomo byłoby przynajmniej, jakie leki produkować, a jakich nie.

Choroby nękają człowieka już w łonie matki, a ujawniają się w pełni dopiero po latach. Wiadomo, że

### czym skorupka nasiąknie

tym na starość trąci. Jakże jednak przyszłe pokolenia mają być zdrowe, kiedy zastraszająco **wzrasta ilość dzieci z wadami postawy, z wadami wzroku i próchnicą?** A na dobitkę dzieci w wieku szkolnym zaczynają palić, pić i narkotyzować się! Na wsi również...

Przyczyny tego stanu rzeczy są różne. **Sport, który uodparnia organizm, na wsi jakby zaniknął.** Szkoły są źle wyposażone, nie wszędzie z salami gimnastycznymi, a do wychowania fizycznego nie przywiązuje się należytej wagi.

Szkoła winna utrwalać nawyki higieniczne i krzewić oświatę sanitarną. Dawniej w szkołach istniały tzw. kąciki czystości, ale uznano je za przeżytek i zlikwidowano. Szkoda, bo może nie byłoby tyle próchnicy. A weszki też się pojawiają...

No i jeszcze to dowożenie dzieci do szkół, szczególnie późną jesienią i zimą. Przy obecnych trudnościach komunikacyjnych dzieci wiejskie narażone są na różnego rodzaju schorzenia.

Nie mniej istotny wpływ na stan zdrowia ludności wiejskiej ma

### degradacja środowiska naturalnego

Przemysł łódzki emituje pyły i gazy, aglomeracja pocięta jest gęsto drogami, na których panuje duży ruch samochodów. Szkodliwe związki opadają i na ich wchłanianie najbardziej narażone są dzieci. A przy tym produkuje się zatrutą żywność i spożywa ją bez ograniczeń. **Szczególnie skażona jest żywność z doliny Neru.**

77 proc. ludności województwa łódzkiego korzysta ze studni przydomowych, w których **jakość wody jest zła.** W gm. Brójce rozbudowano sieć wodociągów najlepiej, lecz jedna jaskółka nie czyni wiosny. Zresztą same wodociągi nie załatwiają sprawy. Obok nich trzeba budować kanalizację, wiejskie oczyszczalnie ścieków i wysypiska śmieci. Bo w każdej wsi, w rowach i zagajnikach zalegają stosy śmieci, gruzu, opakowań z tworzyw sztucznych itp. A przecież czysta wieś to zdrowa wieś.

Wydaje się, że ze względu na specyfikę środowiska władze powinny inaczej patrzeć na potrzeby ludności wiejskiej, a sprawy ochrony zdrowia nie traktować tak samo w mieście i na wsi.

RYSZARD BINKOWSKI

# Chłopskie zdrowie

Foto: Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

Co tu może być grane w takim razie? Gospodarze zakładu zapewniają, że utrzymywanie normalnego poziomu skupu nawet w warunkach klęski jest podyktowane ściśle określonym cyklem produkcyjnym. **Nieważne, że wino będzie kosztowało 500—600 zł. za butelkę** — jak wyliczyli wstępnie w księgowości. Kadzie nie mogą być puste, bo inaczej firma splajtuje. A na zrujnowanie jej nie pozwolono nawet wtedy, gdy w II połowie lat siedemdziesiątych zaczął doskwierać brak cukru. Ten nieodzowny dodatek sprowadzano wówczas nie skąd indziej — tylko z Francji!

Nasuwa się wobec tego pytanie, czy winiarze i tak nie ogłoszą niewypłacalności, gdy ich wyroby będą całymi miesiącami dojrzewać na półkach sklepowych, ponieważ wszystkie owe **„sikacze" będą droższe od najprzedniejszych marek sprowadzanych z Jugosłowii, Hiszpanii, Węgier, Bułgarii, Gruzji i Mołdawii.** Otóż trzeba sobie uprzytomnić przede wszystkim, że krach jabłkowy teoretycznie wytwórnia może odczuć nie wcześniej jak w... II kwartale 1988 r. Wtedy dopiero mogłyby pojawić się droższe białe wina z łódzkich piwnic. W przygotowywanym obecnie ekstrakcie miesza się zakonserwowany surowiec ze świeżym po nowych cenach. Zaś wina popularne leżakują 4 miesiące, a markowe — pół roku. Upłynie więc jeszcze sporo czasu zanim smakosze ewentualnie przeżyją szok cenowy.

Tryb przypuszczający tych stwierdzeń nie jest bynajmniej przypadkowy. Winiarze wykluczają raczej sytuację, że w niedalekiej przyszłości będzie ich boleć głowa o sposób pozbycia się nadmiernych zapasów białego jabłkowego wina marki „Wino". Podobnie jak w innych przedsiębiorstwach z branży, myśla intensywnie o podjęciu starań w celu ewentualnego obniżenia podatku obrotowego, wynoszącego dziś 65 procent — przynajmniej od różnicy w cenie pomiędzy tą obowiązującą, a wyliczoną przez księgowych w oparciu o nowe ceny soku.

Zwykły śmiertelnik doskonale wie, że klęski żywiołowe nie są wymysłem współczesnych nam czasów. Łagodzeniu ich skutków sprzyja polityka fiskalna państwa. Wydaje się jednak wbrew temu optymizmowi producenta, że podatek obrotowy nie zostanie obniżony z dwóch podstawowych przyczyn. W obecnej kondycji finansowej państwo nie zrezygnuje z tego źródła dochodów. Poza tym ustawa o wychowaniu w trzeźwości stanowi, że co roku

### ceny alkoholu muszą rosnąć nie mniej niż wynosi wskaźnik inflacji

Równolegle do starań o zwolnienie lub obniżenie stopy procentowej — wytwórcy win starają się o przywrócenie produkcji kordiałów. I to jest najważniejsza karta atutowa, pozwalająca winiarzom spokojnie sypiać po nocach. **Kordiały to napoje alkoholowe o mocy zbliżonej do win.** Proces produkcji oparty jest na wykorzystaniu syropu ziemniaczanego z dodatkiem esencji zapachowo-smakowych na przykład: arakowej, rumowej, a jeśli te są niedostępne, to choćby malinowej. Taki trunek jest alkoholizowany spirytusem do nabrania stosownej mocy. Specjał ten opanował polski rynek na okres kilku lat w czasie wspomnianego krachu cukrowego.

**Łódzka Wytwórnia Win** skupuje moszcz nie tylko na bieżące potrzeby, ale także gromadzi zapasy. Przecież póki co, handel reaguje na jabłkową klęskę zwiększonymi zamówieniami. We wrześniu odbyła się w Poznaniu cokwartalna giełda branżowa, zorganizowana przez władze **Zrzeszenia Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego „Fructopol".** Oferta łódzkich piwnic na IV kwartał 1987 r. po podpisaniu umów została przekroczona o 100 tysięcy litrów! **Gdzie tu widać klęskę?** Toż to hossa się zaczyna. A trzeba wiedzieć, że te same ilości i gatunki win w poprzednich latach sprzedawały się w tym okresie fatalnie. Powodem był niezmiennie bardzo duży import win, szampanów i koniaków z myślą o przystrojeniu skromnego stołu na święta i na Sylwestra.

Sok skupuje się po czarnorynkowych cenach również dlatego, że bez względu na marne zbiory, winiarze mają ambicje kontynuować zaopatrywanie rynku dotychczasowymi ilościami swoich przebojów markowych. Są to wina maderyzowane: „Szlacheckie" i „Karawela" — laureatka wielu wyróżnień w czasach, kiedy najbardziej udane trunki honorowano nagrodami. Ale było to przed wprowadzeniem w życie ustawy przeciwalkoholowej. Oryginalne wina z Madery dojrzewają w zakopanych beczkach na mocniej nasłonecznionych zboczach wyspy. W Łodzi o górę byłoby trudno, chyba że śmieci. Ekstrakt „maderyzuje" się więc w beczkach, podgrzewanych non stop w temperaturze 60—70 stopni Celsjusza. Niewykluczone, że „Szlacheckie" i „Karawela" wejdą w skład oferty eksportowej. W każdym razie podczas zbierania informacji w wytwórni trwały gorączkowe, okryte tajemnicą narady na ten temat.

No tak, można oczywiście zrozumieć intencje producenta co do kupna po astronomicznych stawkach moszczu na potrzeby eksportowej produkcji oraz na wina gatunkowe dla zamożniejszych krajowych smakoszy. Jaki jest natomiast sens ekonomiczny przeznaczania go do popularnych gatunków, jeśli rojenia o obniżeniu podatku obrotowego **są bezzasadne? Poza argumentem o zagrożeniu przestojem czy nawet bankructwem — żaden inny nie nasuwa się na myśl.**

Inna rzecz, że **łódzki producent jest przyciśnięty do muru zaistniałą sytuacją.** Chyba najgorsze jest to, że nie jest w stanie we własnym zakresie tłoczyć moszczu. Proces ten zmonopolizowały rolnicze spółdzielnie produkcyjne. Przy permanentnym stanie klęski urodzaju wyciskanie soku na miejscu niejako miało wszelakie uzasadnienie gospodarcze. Nie marnowano paliwa i nie angażowano transportu na niepotrzebne przewozy całych jabłek do przetwórni. Gdy przyszła klęska, spółdzielnie, które rzadko są rentowne — doliczają do rachunku za usługę najprzeróżniejsze narzuty, na przykład parę złociszów na kilogramie soku na spłatę kredytów bankowych co stanowi odpowiednik kosztów robocizny. Podobną kwotę dolicza się w ramach kosztów utrzymania bazy (podatki, remonty, energia itp.). A oprócz tego spółdzielnie pobierają 15 procent marży, czyli wypreparowanego zysku.

Pośrednik-monopolista pomiędzy sadownikiem a producentem wina absolutnie nie jest zainteresowany obniżeniem cen skupu, bo im wyższe obroty, tym więcej mamony przepływa z tytułu marży proporcjonalnej do wielkości przerobu. **Łódzcy winiarze korzystają z usług aż 17 dostawców,** rozrzuconych po różnych województwach. Tak duża liczba „przedsiębiorczych kooperantów" nie jest przypadkowa. Kiedy kilku zawiedzie z takich czy innych powodów — od reszty można „wycisnąć" pozostałą ilość soku. Sęk w tym, że spółdzielnie, choć pozornie samodzielne, trzymają między sobą sztamę, jeśli chodzi o politykę cenową. Cena jest zawsze jedna, bez względu na rozmiary klęski w danym regionie.

# Wymarzły sady, ale Łódzka Wytwórnia Win pracuje pełną parą

Foto: Grzegorz Gałasiński

### Czy nikt nie próbował przełamać monopolu gminnych spółdzielni

gdy był jeszcze czas na przewidzenie następstw klęski nieurodzaju? Oczywiście, wieść gminna niesie, iż zaopatrzeniowcy złożyli zamówienie w **Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego „Łowicz"** na dostawę 500 ton moszczu. Dyrektor **Łódzkiej Wytwórni Win** nie potwierdził jednak tej plotki. Faktem natomiast jest, że łowicka przetwórnia nie była w stanie wywiązać się z deklaracji. 15 września 1987 r. doszła do porozumienia ze **skierniewickim „Hortexem",** aby wstrzymaniem skupu jabłek wymusić obniżkę cen. Musiała zatrzymać praktycznie cały nowiutki wydział wyciskania jabłek. W bólach porodowych, bo bank zwlekał z uruchomieniem ich własnych dewiz dla sfinansowania kontraktu na Zachodzie — sprowadzono urządzenia do tego wydziału w połowie poprzedniego sezonu. Chodziło o to, aby już nigdy nie mówiono, że w centralnej Polsce jabłka gniją w ogrodach i sadach albo, że spasa się nimi bydło. A tu taka klęska.

Mimo całej tej złożonej sytuacji winiarze liczą na rychłe odwrócenie się losowej karty na ich korzyść. Jesienne wiatry postrącają tysiące ton owoców, jakie trzeba będzie czym prędzej sprzedać. Spadów nie da się przechowywać, więc sadownicy i ogrodnicy sami zostaną przyparci do muru. Ceny spadną. Nawet porozumienie spółdzielni rolniczych nie na wiele tu się zda, bo żeby ograniczyć parcie na punkty skupu — należy wprowadzić choćby krótkotrwałe zmiany w cenniku.

W 1988 roku nie można wykluczyć sytuacji, że sztucznie zawyży się ceny kordiałów, aby z kolei móc sprzedawać białe wina jabłkowe po cenach konkurencyjnych dla pozostałych trunków. Są to jednakże spekulacje nie poparte dotychczas żadnymi dowodami. Jako alternatywę widać „jabole" w grupie luksusowych alkoholi niskoprocentowych na równi z polskimi winami gazowanymi, szampanami i winami importowanymi z połowy świata.

Zapobiegliwi być może gromadzą już zapasy na „czarną godzinę". Jednakowoż wykupywanie jako zjawisko powszechne nie grozi wobec faktu nasycenia rynku dodatkowymi dostawami wzmiankowanych specjałów. Winom „chomikowanym" przez zapobiegliwych wyjdzie to tylko na dobre. Czteromiesięczne leżakowanie nie odpowiada europejskim standardom, ale butelki po rocznym na przykład przymusowym leżakowaniu — będą odznaczały się niewątpliwie lepszymi walorami smakowymi niczem osławione madery.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Są ludzie, którzy nigdy nie nauczą się jeździć samochodem. Przeczytaj i zastanów się, czy też do nich należysz?

# Jak zrobić prawo jazdy?

ANTONI MROCZEK

Wbrew powszechnej opinii nie jest to sprawa ani prosta ani łatwa i kosztuje dużo nerwów. Zaczyna się od tego, że trzeba poddać się badaniom lekarskim, między innymi neurologicznym (szalenie ważne) i okulistycznym (jeszcze ważniejsze). Nie kombinuj. Nie próbuj oszukać siebie i nie próbuj oszukać Pana Boga, bo rozwalisz się na pierwszym skrzyżowaniu i narazisz rodzinę na niepotrzebne wydatki.

Skoro masz już w kieszeni pozytywną opinię lekarzy, idziesz, dajmy na to, do **Polskiego Związku Motorowego**, wpłacasz około dwudziestu tysięcy złotych i zaczynasz naukę, która biegnie dwoma torami — teoretycznym i praktycznym.

### Obydwa tory są jednakowo ważne.

Nim zaczniesz przerabiać krążące po mieście testy (co w zasadzie, i słusznie, jest surowo zabronione), powinieneś przetrawić starannie podręcznik kierowcy kategorii B od pierwszego zdania po ostatnie, nie lekceważąc żadnego rozdziału i żadnego podrozdziału, nie ma bowiem w owym podręczniku, którego autorem jest **Czesław Przybyszewski** (Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1987) ani jednego zbędnego słowa — wcześniej czy później każde będzie ci potrzebne.

Zakładamy, że jesteś świeży i nie miałeś nigdy dotąd kierownicy w ręku. Zdanie, które napisałem, mogłoby mnie zdyskwalifikować w oczach egzaminatora, gdyż kierownicę należy trzymać obiema rękami.

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

Tak czy owak, nigdy dotąd nie prowadziłeś samochodu, ale jesteś dosyć bystry, więc instruktor, kiedy już wytłumaczył ci, na czym polega ogólna zasada sterowania pojazdem (starter, biegi, kierunkowskazy, światła i wskaźniki na tablicy rozdzielczej), poleca, abyś ruszył z miejsca i trzy razy okrążył podwórko.

Powiedzmy, że wykonałeś ten manewr, wydzielając z siebie wszystkie poty. Chryste! Instruktor nakazuje Ci wówczas wcelować w wąską bramę i wyjechać na ulicę, i od razu, ku swojemu przerażeniu, znajdziesz się w ruchu, pośród innych pojazdów i pośród pieszych, którzy przebiegają lub przechodzą jezdnię.

W tym momencie, jeśli masz trochę wyobraźni, widzisz swoją śmierć i śmierć innych niewinnych ludzi. Toczący się wolno samochód sprawia na tobie wrażenie rozpędzonej torpedy, a instruktor nakazuje: — Dwójka — Wrzucasz dwójkę i samochód jedzie jeszcze szybciej. Nic nie widzisz, a powinieneś kontrolować przecież sytuację na drodze, patrzeć w lewo i w prawo i w obydwa wsteczne lusterka. Z tyłu tramwaj, z przodu ciężarówka, tu zebra i jakieś znaki, tam znowu czerwone światło. — W prawo! — a ty włączasz lewy kierunkowskaz. — W lewo! — a ty wrzucasz prawy. Tymczasem instruktor, spokojny jak indiańska rzeźba, ciska przez zęby. — Trójka.

Zapominasz o sprzęgle, bieg nie wchodzi, potem zbyt gwałtownie wciskasz pedał gazu i auto wypryskuje dosłownie spod ciebie. Głowa pracuje we wszystkich możliwych kierunkach, powoduje to jednak całkowite zaćmienie umysłu i kiedy po półgodzinnej jeździe wysiadasz wreszcie z samochodu na dziedzińcu PZM, klei się do ciebie ubranie i nogi masz jak z waty.

Nieco później, kiedy zdołałeś już trochę ochłonąć, jesteś z siebie niebywale dumny. W domu chwalisz się najpierw przed rodziną, a potem, jeśli szczęśliwie posiadasz telefon, zaczynasz wydzwaniać do znajomych. Ale nazajutrz znowu czeka cię półgodzinna jazda, w czasie której znowu niebywale pocisz się i denerwujesz, zwłaszcza jeśli instruktor zaostrza kryteria i wymaga od ciebie rzeczy niemożliwych. Do diabła, dlaczego nakazuje ci skręcić w lewo, a nie w prawo?! Po cholerę te wszystkie tramwaje i ryczące samochody?! Czemu nie wchodzi dwójka i gaśnie silnik?

Przeżywasz to wszystko w nocy. Masz upiorne sny. Nabierasz powoli przekonania, że nigdy nie nauczysz się prawidłowo jeździć, tak, aby panować nad nerwami i stosować się do prawideł ruchu; że nigdy nie ośmielisz się wjechać samodzielnie na skrzyżowanie i dokonać samobójczego manewru pod prąd. To, co z pozycji pieszego wydawało się normalne i oczywiste, teraz, zza kierownicy, wydaje się przeszkodą nie do sforsowania, rozwiązanie łamigłówki, kto w danym wypadku ma pierwszeństwo przejazdu na skrzyżowaniu dwóch zatłoczonych, równoprawnych dróg bez sygnalizacji świetlnej i milicjanta, przerasta twoje możliwości.

Instruktorzy twierdzą, że są ludzie, którzy nigdy nie nauczą się jeździć, choćby przerobili trzy razy pełny kurs wymaganych osiemnastu godzin za kierownicą i celująco zdali egzamin z teorii. Po prostu wyjeżdżają na ulicę i doznają amnezji. Nie mają tak zwanej uwagi podzielnej i nie potrafią zsynchronizować czynności manualnych, koniecznych, aby samochód poruszał się w regularnym tempie i wedle obowiązujących prawideł, z jednoczesną obserwacją wszystkiego, co dzieje się dookoła na drodze. Są spięci, niebywale stremowani, uczepieni kurczowo kierownicy i wpatrzeni w wąski jedynie pas jezdni przed sobą. O tym, żeby któryś wymienił z instruktorem dwa słowa, nie może być nawet mowy. Starają się, mają dużo ambicji i bardzo dużo dobrej woli, biorą masę dodatkowych jazd, ćwiczą w domu, dokształcają się u przyjaciół, ale jeździć nie będą i już! Bywają i takie osobniczki, które osiemnaście godzin kręcą wyłącznie po podwórku; instruktor boi się wyruszyć z nimi poza bramę, mimo że ma przecież zapasowy hamulec i sprzęgło i dotyka ręką kierownicy.

Nie piszę tego wszystkiego, aby ludzi zniechęcić. Sam, prawdę mówiąc, byłem w pewnym momencie zniechęcony, a zdaża się to podobno każdemu w trakcie którejś tam, czwartej, piątej czy szóstej jazdy. Z drugiej strony, kiedy patrzyłem na inwalidów, na odważnie manewrujące samochodami staruszki i starców włączających się bez lęku w wir uliczny przy zbiegu alei Mickiewicza z Piotrkowską, powtarzałem sobie uparcie: — Ja też potrafię!

### Kierowanie pojazdem nie polega na samej jeździe,

na posługiwaniu się sprzęgłem, hamulcami i gazem, kierunkowskazami i światłami, bo tego przy odrobinie wysiłku nauczy się nawet małpa. Kierowanie pojazdem wiąże się niestety z przykrym obowiązkiem myślenia, z przewidywaniem, z kalkulowaniem i z założeniem, że ten, co jedzie z tyłu, obok albo naprzeciwko może być jeszcze głupszy od ciebie. Z czasem prowadzenie samochodu czy też innego pojazdu silnikowego wchodzi w krew i staje się podobno drugą naturą człowieka. Ale początki są trudne. Jeśli jesteś mądrym człowiekiem, to skoro już złożyłeś pomyślnie egzamin i otrzymałeś prawo jazdy, powiedz sobie: — W porządku. Pierwszy etap pokonałem, a teraz spokojnie i systematycznie zacznę uczyć się jeździć. Nie wolno ci ulec złudzeniu, że wszystko umiesz. Ale nie wolno ci również odłożyć prawa jazdy na półkę i jeździć tylko od przypadku do przypadku. Musisz ćwiczyć. I to musisz ćwiczyć w trudnych warunkach, nie na prostej drodze z jednym ewentualnie prawoskrętem, lecz w tłoku, na ulicach wielkich miast. Zdaniem instruktorów, jedynie w dużym mieście kierowca może wykształcić w sobie odpowiednie nawyki i umiejętności. Zrobić prawo jazdy w powiatowym miasteczku nie stanowi problemu, ale potem, kiedy taki, bez urazy, prowincjonalny kierowca musi przyjechać na zakupy do Łodzi czy Warszawy, porzuca samochód na rogatkach i dalej porusza się już wyłącznie tramwajami i autobusami, czemu trudno się dziwić — brak mu obycia i treningu.

Podstawową cechą początkującego kierowcy powinna być skromność. Przy obecnym zatłoczeniu dróg (dane z początku 1983 roku mówią, iż liczba pojazdów silnikowych wynosiła w tym okresie 5996 tysięcy sztuk, w tym liczba samochodów osobowych sięgała niemal trzech milionów, a teraz jest ich znacznie więcej), jazda samochodem, a nawet rowerem nie ma nic wspólnego z rozrywką. Do kierownicy zasiada razem z tobą twoje życie, życie tych, którzy ci towarzyszą i życie tych, którzy są już na drodze. Jeśli egzaminator obleje cię na egzaminie, nie wściekaj się, nie bluźnij, tylko pocałuj go w rękę, jest bowiem wielce prawdopodobne, iż zapobiegł twojej przedwczesnej i niepotrzebnej śmierci.

Działacze **Polskiego Związku Motorowego** są ludźmi sympatycznymi i sprawiają takie wrażenie, jakby marzyli wyłącznie o tym, aby cały świat nauczył się trudnej sztuki prowadzenia pojazdów. Skoro wzięli cię już pod swoją opiekę, chcą ci pomóc, pod warunkiem wszelako, że będziesz z nimi współdziałał i że zrobisz wszystko, aby pomóc sam sobie. Teoretyczny egzamin końcowy, zarówno dla eksternów jak i uczestników regularnego kursu, polega na rozwiązaniu dwudziestopunktowego testu zasadniczego (wolno zrobić trzy błędy) i, w wypadku ubiegania się o prawo jazdy kategorii B, pięciopunktowego testu dodatkowego (tu dopuszczane są tylko dwa błędy), który dotyczy między innymi problemów związanych z budową samochodu i silnika.

### Jeśli uczyłeś się uczciwie

testy wydadzą ci się śmiesznie łatwe, a przecież oblewają je często nieźle przygotowani i wykształceni ludzie. Twierdzą, że są to w równej mierze testy na sprawdzenie wiedzy delikwenta, co testy na ogólną bystrość umysłu i inteligencję, no bo jak potraktować na przykład takie pytanie:

Postój uszkodzonego pojazdu na jezdni poza obszarem zabudowanym należy sygnalizować przez włączenie świateł awaryjnych, a gdy ich nie ma — świateł pozycyjnych oraz umieszczenie za pojazdem odblaskowego trójkąta ostrzegawczego w odległości:

A ● 10—30 m
B ● 30—50 m
C ● 50—100 m

Prawidłowa odpowiedź brzmi: **30—50**, ale tylko dlatego, że w pytaniu nie wspomniano o drodze, gdzie dopuszczalna prędkość przekracza 60 kilometrów na godzinę — wówczas trójkąt odblaskowy należałoby umieścić **100 metrów** za uszkodzonym pojazdem.

Albo:

Minimalna prędkość jazdy na drodze tylko dla pojazdów samochodowych:

A ● wynosi 20 km/h
B ● nie jest określona
C ● wynosi 40 km/h

Wybierasz często wariant C (ostatni), jako że doczytałeś się w podręczniku bądź też dowiedziałeś się na wykładach, iż z autostrad i dróg przeznaczonych tylko dla pojazdów samochodowych mogą korzystać wyłącznie te jednostki silnikowe, które na równej poziomej drodze są w stanie rozwinąć prędkość co najmniej 40 km/h (również w razie ciągnięcia przyczep). I robisz błąd. Co innego potencja samochodu, a co innego minimalna prędkość, która w cytowanym wypadku **nie jest określona** i wolno snuć się autostradą w żółwim tempie.

Test pyta, czym należy uzupełnić naturalny ubytek elektrolitu w akumulatorze. Odpowiadasz poprawnie, iż należy uzupełnić go wodą destylowaną. Ale inny test zapytuje przekornie, co należy zrobić w wypadku wylania się części elektrolitu i tu prawidłowa odpowiedź brzmi: **uzupełnić ubytek elektrolitem o wymaganej gęstości.**

Albo:

W której z podanych sytuacji stan nawierzchni jest najbardziej niebezpieczny dla samochodu jadącego z prędkością około 90 km/h:

A. podczas ulewnego deszczu
B. podczas długotrwałej mżawki
C. bezpośrednio po krótkotrwałym deszczu.

Wybierasz, i słusznie, wariant pierwszy **(A)**, możesz się jednak spotkać z inną wersją tego pytania:

Przy umiarkowanej prędkości jazdy (około 50 km/h) najmniej bezpieczna ze względu na możliwość poślizgu jest asfaltowa nawierzchnia jezdni:

A. w czasie ulewnego deszczu
B. zwilżona na samym początku deszczu
C. przesychająca po długotrwałym ulewnym deszczu.

Tu należy wybrać **wariant B**, z czym zgodzi się zresztą każdy doświadczony kierowca.

Rozwiązując testy nie spiesz się, czytaj je uważnie i śledź troskliwie towarzyszące im rysunki ze szczególnym uwzględnieniem znaków drogowych, których jest około dwustu i które musisz znać na pamięć co do jednego. Nie bryluj, nie próbuj imponować szybkością, nie pozwalaj sobie na nonszalancję. Nawet jeśli rozwiązałeś wszystko pierwszy, wstrzymaj się, sprawdź punkt po punkcie, i oddaj arkusz egzaminacyjny jako jeden z ostatnich. Egzaminatorzy nie lubią fanfaronady wychodząc ze słusznego założenia, iż człowiek zbyt pewny siebie przy biurku może być również zbyt pewny siebie na jezdni, a ten sam egzaminator, u którego składasz egzamin testowy, będzie sprawdzał twoje umiejętności praktyczne.

Kiedy wyjedziesz na ulicę mając go na tylnym siedzeniu za sobą, pamiętaj o przejściach dla pieszych, o zasadzie prawostronnego ruchu, o zakreskowanych wysepkach na jezdni, których w żadnym wypadku nie wolno ci zahaczyć nawet skrajem opony, o płynnej zmianie biegów i o kierunkowskazach, które należy włączać we właściwym czasie.

Pamiętaj również, iż jeśli w trudnej sytuacji siedzący przy tobie instruktor dotknie chociaż raz ręką kierownicy, aby zapobiec kolizji na drodze, egzamin masz z głowy. Nie sprawdziłeś się i po dodatkowych jazdach będziesz musiał stanąć do poprawki.

■

**Łódź: historia, wspomnienia, relacje**

# Ulica Ludwika Meyera

Przy wytyczaniu nowych ulic w dziewiętnastowiecznej Łodzi nadawano im niekiedy nazwy wzięte od nazwisk właścicieli gruntów, przez które one przebiegały. Tak więc własne ulice mieli O. Milsch, J. Szulc oraz kilku innych posiadaczy większych działek ziemi. Wszakże żadna z tych ulic, zwłaszcza zwartością zabudowy i pięknem architektury, nie dorównywała ulicy zwanej Pasażem Meyera (obecnie ul. Stanisława Moniuszki).

Założyciel wspomnianego pasażu, jeden z większych przemysłowców łódzkich, Ludwik Meyer, urodził się w 1841 roku we Wrocławiu. Był synem Ludwika i Rozalii Benke. Rodzina Meyerów po przybyciu do Królestwa Polskiego zamieszkała w Zgierzu. Młody Meyer ukończył czteroklasową szkołę realną w Łodzi, po czym odbył praktykę w kilku domach handlowych. W latach sześćdziesiątych przesiedlił się do Łodzi, gdzie poślubił córkę miejscowego przemysłowca Edwarda Hentschla — Matyldę. Przez kilka lat pracował na kierowniczym stanowisku w fabryce włókienniczej teścia przy ulicy Piotrkowskiej 72. Mieściła się tam tkalnia, farbiarnia i wykończalnia tkanin wełnianych.

W 1875 roku Edward Hentschel odstąpił swoje przedsiębiorstwo Juliuszowi Kunitzerowi i Ludwikowi Meyerowi, którzy wspólnie prowadzili je do 1879 roku. Od tej daty wyłącznym właścicielem fabryki stał się Ludwik Meyer. W latach 1880-1885 w zakładzie tym czynnych było od 260 do 400 krosien ręcznych i mechanicznych, zatrudniających ponad 300 tkaczy. Produkcja fabryki kierowana była głównie na rynki wschodnie.

Na początku lat osiemdziesiątych rozniosła się pogłoska o zamiarze władz przeniesienia stolicy guberni z Piotrkowa do Łodzi. Ludwik Meyer, rozporządzający wolną gotówką i nie zabudowanym terenem, położonym w bliskości fabryki między ulicami Piotrkowską i Mikołajewską (Sienkiewicza), postanowił zbudować na tym miejscu osiedle willowe, w przekonaniu, że w jego budynkach ulokują się różne instytucje gubernialne. Wkrótce też wytyczył tu prywatną ulicę i obudował ją kilkunastoma luksusowymi willami wyposażonymi w wodociągi, centralne ogrzewanie i gazowe oświetlenie. Projektantem całości zabudowy był architekt miejski Hilary Majewski.

Do awansu administracyjnego Łodzi jednak nie doszło. Mimo to Pasaż Meyera, będąc prywatną własnością aż do 1905 roku, zyskał rangę najbardziej ekskluzywnej ulicy w mieście. Wyszukana architektura jej zabudowy wyrażała gusta „królów bawełny".

Ludwik Meyer po jakimś czasie doszedł do wniosku, że zakład przemysłowy, położony w śródmieściu, nie posiada warunków szerszego rozwoju, chociażby z powodu braku wody. W 1885 roku nabył więc od Moritza Zanda osadę fabryczną Mania i tam przeniósł swoją fabrykę. Na starym miejscu pozostał jedynie kantor i skład towarów. W latach 1887-1888 gmach pofabryczny przy ulicy Piotrkowskiej 72 po gruntownej przebudowie obrócony został na „dom gościnny" pod nazwą Grand Hotel. Dwupiętrowy budynek posiadał 81 pokoi. W owym czasie był to największy i najlepiej wyposażony hotel łódzki.

Osadę fabryczną na Mani z trzech stron otaczały lasy, a z czwartej stykała się ona z gruntami ornymi mieszczan łódzkich. Zajmowała czworoboczną przestrzeń, ograniczoną ulicami: Jarzynową, Borową, Solec i Orzechową. Meyer dla ułatwienia dojazdu od strony miasta do swego przedsiębiorstwa, zbudował drogę bitą od ulicy Ogrodowej do Mani (dziś ulica Srebrzyńska). Na terenie fabrycznym wystawił kilka nowych budynków, z których najważniejszym była dwupiętrowa murowana tkalnia z poddaszem. Pomieszczono w niej 120 krosien ręcznych oraz 32 mechaniczne, poruszane parą. Ponadto znajdowały się tu zabudowania farbiarni i wykończalni oraz kotłowni, obok której stał komin fabryczny dla maszyny parowej. W zakładzie na Mani pracowało ponad 300 robotników. Część z nich zamieszkiwała w dwóch domach fabrycznych położonych w sąsiedztwie fabryki.

Korespondent warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego" w swej relacji z Mani przyrównywał ją do posiadłości Karola Scheiblera na Księżym Młynie, zwanej wtedy Pfaffendorfem. **„Drugi taki Pfaffendorf powstaje w północno-zachodniej części miasta zwany Manią. Pan Meyer założył tu wielką fabrykę wyrobów wełnianych, przy niej zaś pobudował duże domy dla robotników. Otworzono sklep, założono szkołę, osadzono felczera fabrycznego, powstał szynk i powoli wytworzy się tam nowe miasteczko, nowy Pfaffendorf, ale już wełniany".**

Przewidywania dziennikarza nie sprawdziły się. Zakład fabryczny i osiedle Mania rozwijały się słabo, nie dorównując w żadnym względzie Księżemu Młynowi.

Przyczyna niedorozwoju przedsiębiorstwa Ludwika Meyera leżała prawdopodobnie w niedostatecznym zainteresowaniu wspomnianego przemysłowca sprawami fabrycznymi. Oprócz zarządzania fabryką zajmował się on bowiem administracją nabytego na początku lat dziewięćdziesiątych majątku ziemskiego w podłódzkim Brusie. Prowadził tam cegielnię parową, zatrudniającą 70 robotników. Również w pobliskim Karolewie posiadał cegielnię ręczną, w której pracowało 35 robotników. Produkcja cegieł bardzo się Ludwikowi Meyerowi opłacała ze względu na znaczny rozwój budownictwa w Łodzi.

Ludwik Meyer sporo czasu poświęcał na działalność społeczną. Od roku 1880 był radnym honorowym m. Łodzi. W latach 1890-1901 pełnił funkcję komendanta łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej. Za zasługi dla rozwoju przemysłu oraz zaangażowanie społeczne otrzymał tytuł radcy handlowego i szereg odznaczeń, m.in. Order św. Anny i Order św. Stanisława.

W 1901 roku Meyer przeniósł się na stałe do swego majątku w Brusie. Niepomyślna koniunktura we włókiennictwie i powtarzające się kryzysy zniechęciły go do pracy w przemyśle. W połowie 1903 roku zaczął sprzedawać swe domy w Pasażu Meyera oraz ograniczać produkcję w fabryce na Mani. Następnego roku odstąpił Grand Hotel założonemu w tym czasie Towarzystwu Akcyjnemu. Wreszcie wyznaczył tzw. Komisję Likwidacyjną, która zajęła się likwidacją produkcji w zakładzie na Mani oraz rozliczeniami z dłużnikami i wierzycielami.

Ludwik Meyer zmarł w 1911 roku w Brusie po dłuższej chorobie. Pochowany został na Starym Cmentarzu Ewangelickim. Trwałym śladem jego działalności w Łodzi pozostała do dzisiaj w nie zmienionym kształcie ulica Stanisława Moniuszki — jeden z najładniejszych zakątków miasta.

WACŁAW PAWLAK

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

Byli dobrze przygotowani, ale nie pozwolono im walczyć!

# O czym zapomniał prezes WOPR?

ZOFIA KĘDZIORA

Zawody miały odbyć się w sobotę, ale w środę kierownik wyszkolenia **Jan Boruch** usłyszał od prezesa WOPR **Jerzego Żychlińskiego**, że reprezentacja Łodzi na nie nie pojedzie. W biurze WOPR była też **Beata Żochowska**, ratowniczka, która przygotowywała się na zawody. Łzami bezsilności zareagowała na nowinę. Szef wyszkolenia powiedział wtedy do zapłakanej dziewczyny:

— Jeżeli tak, to pojedziemy na swój koszt.

Tak też się stało. Pojechali jednak na zawody strefowe, które odbywały się w Chodzieży 12 i 13 czerwca 1987 r., a koszty wyjazdu pokrył z własnej kieszeni szef wyszkolenia. Były to ważne zawody nie tylko dla nich samych, ale i dla całego środowiska łódzkich ratowników. Stanowiły półmetek

**do Międzynarodowych Mistrzostw Polski Ratowników Wodnych.** W Chodzieży okazało się, że organizatorzy odebrali telefon od prezesa z Łodzi polecający niedopuszczenie grupy „buntowników" do zawodów.

### Zdrowy rozsądek jednak zwyciężył

i organizatorzy zgodzili się na ich udział. W tej decyzji nie było zresztą nic nadzwyczajnego, bo grupa z Łodzi spełniała wszystkie określone przez statut warunki uczestnictwa.

Jako członkowie organizacji mają prawo do:

— otrzymywania od władz WOPR pomocy w zakresie realizacji zadań statutowych,

— używania odznak, znaków i bandery WOPR, a także reprezentowania barw WOPR w imprezach i zawodach.

Zastanawiali się potem, czy prezes sięgając za telefon, aby uniemożliwić im start zapomniał o tych punktach. Wystartowali zatem w zawodach strefowych w Chodzieży i odnieśli sukces. Wśród reprezentacji dwunastu województw zajęli drużynowo drugie miejsce i oczywiście tym samym zakwalifikowali się do Mistrzostw Polski. Z indywidualnych wyników na uwagę zasługują drugie lokaty na 200 metrów z przeszkodami: wśród kobiet **Joanny Wijas**, a wśród mężczyzn **Macieja Sokołowskiego** oraz zwycięstwo **Jana Borucha** w konkurencji rzucania piłką ratowniczą.

Niestety wypadli bardzo dobrze i tu tkwi chyba przyczyna, dla której późniejsze wydarzenia rozegrały się tak niepomyślnie dla nich. Wobec udanego startu nasuwało się przypuszczenie, że być może coś było nie tak z tą decyzją zabraniającą im wyjazdu do Chodzieży.

Po powrocie zawodników do Łodzi w WOPR aż się zagotowało. Rozpoczęła się wojna na pisma, gdy tymczasem zbliżał się termin Mistrzostw Polski.

**Jan Boruch** w piśmie do Zarządu Wojewódzkiego WOPR wyjaśnił motywy niepodporządkowania się zakazowi wyjazdu na zawody. Uważał, iż ocena, że teraz w okresie reformy organizacji łódzkiej nie stać na fundowanie wycieczek tylko dla grupy zawodników i to nie rokujących nadziei jest niesłuszna. Jako szef wyszkolenia wiedział chyba najlepiej jakie są możliwości jego podopiecznych. Miał rację, występ okazał się bardzo udany. Jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło się, aby grupowa reprezentacja Łodzi zajęła tak wysoką lokatę. Poza tym 9 tysięcy, bo taki był koszt wyjazdu, to znowu nie takie wielkie pieniądze.

Szef wyszkolenia miał również wątpliwości co do sposobu, w jaki zapadła ta decyzja. W piśmie do Zarządu napisał, że właściwie podjął ją sam prezes i jedynie telefonicznie uzgodnił z członkami prezydium. Podczas gdy dotychczas tradycyjną formą dla podejmowania takich ustaleń było zebranie wszystkich członków prezydium, na którym można bezpośrednio wymienić poglądy, wspólnie rozważyć za i przeciw i również wspólnie dojść do decyzji. **Jan Boruch** napisał w piśmie do Zarządu: — **„Ze stanowiskiem zajętym przez prezesa zgodzić się nie mogłem"**. Odwołał się również do statutu WOPR.

Prezydium, po zapoznaniu się z treścią pisma szefa wyszkolenia, jednomyślnie, jak to zostało zaznaczone w piśmie, stwierdziło, że **„zarzuty ob. Borucha są niezgodne"** z prawdą, ponieważ decyzja niewysłania ekipy ratowników na zawody strefowe była decyzją kolegialną prezydium.

Zacytuję to pismo:

**„Ob. J. Boruch w swoim piśmie porusza sprawy przestrzegania statutu WOPR, ale sam tego nie czyni nie stosując się do decyzji Prezydium, a ponadto wobec zawodników podważa decyzję wojewódzkich władz WOPR (...).**

**Każdy członek według statutu ma prawa i obowiązki, może jednak z nich korzystać na zasadach określonych przez władze WOPR. Ponieważ decyzje w naszej organizacji są kolegialne i zapadają większością głosów, każdy z członków winien je respektować, a tym bardziej członek Prezydium Zarządu Wojewódzkiego WOPR".**

Pismo prezydium wyjaśnia również przyczyny podjęcia tej nieszczęsnej decyzji: — „była (ona) **podyktowana nieuczestniczeniem zawodników w treningach mimo stworzonych warunków, słabymi wynikami...**"

Tak, przyznaje **Jan Boruch**, część osób, które potem startowały w Chodzieży nie brała udziału w dwudniowym treningu na Zalewie Sulejowskim. Nie mogły, ale była to impreza tylko dwudniowa, podczas gdy formę i umiejętności ratownik zdobywa nie w ciągu kilku dni, ale ciężko pracując przez cały rok.

Również sami zawodnicy zaprotestowali przeciw **„odebraniu im prawa wynikającego i zagwarantowanego przez Statut organizacji, dotyczącego reprezentowania barw WOPR w imprezach i zawodach".**

W piśmie, tym razem skierowanym do dyrektora Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki w Łodzi napisali:

— **„Wielokrotnie reprezentowaliśmy środowisko ratowników na różnych zawodach, starając się swoją postawą sportowa, wyszkoleniem wypracowanym przez lata pracy na kąpieliskach i basenach dobrze reprezentować organizację mając przy tym na uwadze podnoszenie i utrzymywanie na odpowiednio wysokim poziomie własnych umiejętności wykorzystywanych później w pracy nad bezpieczeństwem życia ludzkiego na wodach".**

### Podpisali się wszyscy

którzy brali udział w zawodach strefowych w Chodzieży — **Beata Żochowska**, wielokrotna reprezentantka Łodzi, medalistka Mistrzostw Polski, należy obecnie do kadry Polski w ratownictwie wodnym, **Joanna Wijas** — była mistrzyni Polski w pływaniu, mistrzyni Polski płetwonurków, studentka Akademii Wychowania Fizycznego. **Renata Trzcińska**, pływała wyczynowo w Klubie Sportowym „Start", doskonała ratowniczka **Marek Kubiak** — wielokrotny reprezentant Łodzi na Mistrzostwach Polski, mistrz Polski nauczycieli, absolwent AWF, **Maciej Sokołowski** — pływał w KS „Start", medalista Mistrzostw Polski oraz **Jan Boruch** — wielokrotny reprezentant Łodzi na Mistrzostwach Polski, mistrz Polski nauczycieli, absolwent AWF. Krótka charakterystyka każdego z zawodników nie pozwala wątpić w ich wysokie umiejętności.

Wróćmy jednak do pisma prezydium, w którym zarzuca się szefowi szkolenia:

1. Nieprzestrzeganie uchwał Prezydium Zarządu Wojewódzkiego WOPR.

2. Działanie niezgodne z zasadami wychowawczymi (podważanie decyzji Prezydium wobec zawodników).

3. Szkalowanie nie wymienionych z imienia i nazwiska działaczy Zarządu Wojewódzkiego WOPR w Łodzi.

4. Swoim postępowaniem działanie na szkodę organizacji.

Szczególnie ostatni punkt dotknął **Jana Borucha.** Jak ktoś może twierdzić, że działał na szkodę WOPR!? Przecież właśnie na wniosek Zarządu Wojewódzkiego WOPR otrzymał Honorową Odznakę Miasta Łodzi, a oprócz tego wyróżnienia resortowe. Pływaniu, doskonaleniu umiejętności swoich i swoich podopiecznych poświęca każdą wolną chwilę. Poza tym zawsze chętnie organizuje i uczestniczy w imprezach propagujących ratownictwo wodne.

Prezydium podjęło również uchwałę **o nieuczestniczeniu ratowników z Łodzi w XXI Międzynarodowych Mistrzostwach Polski w Ratownictwie Wodnym w Rybniku,** które odbyły się 27 i 28 czerwca 1987 roku. Decyzja ta, podobnie jak poprzednia, została podjęta na trzy dni przed rozpoczęciem zawodów.

XXI Mistrzostwa Polski miały przygotowaną szczególnie uroczystą oprawę, bo w roku 1987 WOPR obchodzi dwudziestopięciolecie istnienia. Powołanie 11 kwietnia 1962 roku przez przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki zarządzeniem nr 74 organizacji o nazwie **Wodne Pogotowie Ratunkowe** poprzedziły wieloletnie chlubne tradycje. Pierwsza wzmianka o ratowaniu tonących pochodzi z 1604 roku, kiedy to zakonnicy z klasztoru w Sandomierzu nieśli pomoc ofiarom Wisły. Pierwsza książka o ratowaniu tonących ukazała się w 1775 roku. Ratownictwo zawsze opierało się na ludziach, którzy bezinteresownie poświęcali zdrowie i wysiłki dla ratowania ginących w wodzie.

Chęć walki sportowej, wiara w ludzi, gorące i serdeczne słowa zawarte w wydanej przez organizatorów Mistrzostw broszurze, wyrażające życzenia przyjemnych wrażeń, miłego spędzenia czasu, osiągnięcia satysfakcji i radości z uzyskanych wyników sportowych zdecydowanie tego zaszczytu nie był godzien.

### Ratownicy z Łodzi nie oglądali jednak zawodów z ławek dla widzów

Wrócili do domu. Nietrudno się domyślić w jakim nastroju. W pociągu, którym wracali mieli bardzo dużo czasu do przemyśleń. Może przypominały im się wtedy te wszystkie godziny, które spędzili na basenie pracując nad wytrzymałością i doskonaleniem swoich umiejętności technicznych. Nie było im wcale tak najłatwiej. Nie działali przecież pod opiekuńczymi skrzydłami klubu sportowego, który daje pieniądze i wyznacza treningi. Poświęcali swój wolny czas. Ciężko było więc pomyśleć, że ktoś zlekceważył ich wysiłki, nie docenił działalności społecznej. Chcieli jedynie sprawdzić swoje umiejętności i przygotowanie do ratowania zagrożonego życia ludzkiego w konfrontacji z innymi.

W pociągu, który wiózł ich z Rybnika do Łodzi, poczuli pewnie zniechęcenie i bezsensowność swoich dotychczasowych wysiłków. Prościej i wygodniej byłoby przecież zapłacić składkę roczną, 120 złotych, a potem tylko w sezonie letnim podjąć intratną i atrakcyjną pracę ratownika na kąpielisku. Oni tymczasem pracowali nad umiejętnościami przez cały rok. Wybierając się do Rybnika liczyli na brązowy medal. W sporcie bywa różnie, czasem takie rachuby się nie sprawdzają, ale ratownikom z Łodzi szansa zmierzenia się z innymi w sportowej walce była odebrana.

Prezes WOPR **Wojciech Płóciennik** powiedział kiedyś: — **Mniej mnie interesuje zawodnik, więcej ratownik.** — Trudno nie przyznać racji temu stwierdzeniu. Ci, którzy ratują życie są najważniejsi, wyniki sportowe nie mają tu aż takiego znaczenia. Jednak komu może służyć szykanowanie tych najlepszych i najbardziej wartościowych ratowników? Na pewno nie tym, którzy w krytycznym momencie będą potrzebowali ich pomocy i dla dobra których podnoszą oni swoje umiejętności.

Zapytałam **Jerzego Żychlińskiego,** prezesa Wojewódzkiego WOPR w Łodzi, czy w związku z tym, że ratownicy z Łodzi tak dobrze wypadli na zawodach strefowych w Chodzieży i tak zależało im na starcie, nie byłoby słuszne jednak dla dobra organizacji machnąć ręką na to, co było i pozwolić im na start? Usłyszałam, że postawiłoby to w złym świetle Prezydium.

Przypomniało mi się powiedzenie: — **Nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?**

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

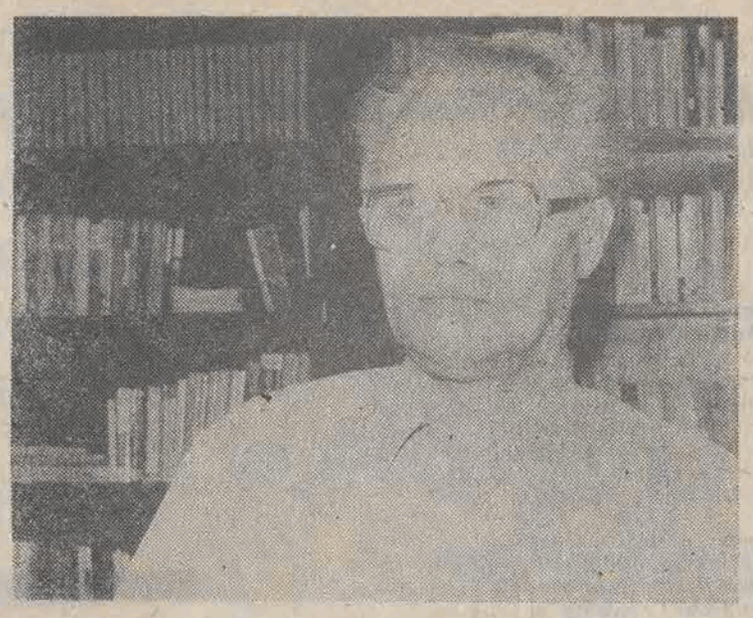

## Mówi: Wasyl Kocznow

**— Po raz któryś odwiedziłeś Polskę, choć tak naprawdę, to chyba nigdy stąd nie wyjeżdżałeś?**

— Zawsze jestem tutaj, choć ostatnio mieszkam w Iwanowie. Przecież przez 20 lat byłem obywatelem miasta Łodzi: tu się ożeniłem, tu mam dom i córkę, tu wykładałem na Uniwersytecie Łódzkim, tu zdobyłem sobie wielu przyjaciół, tu debiutowałem jako poeta polski wydając swoje książki poetyckie i prozatorskie.

**— Co cię teraz sprowadza do Łodzi?**

— Przyjechałem do rodziny, a także po to, by zebrać teksty do antologii łódzkiej, którą przygotowuję dla wydawnictwa w Jarosławiu. Będzie to wybór wierszy i prozy łódzkich autorów w przekładach pisarzy rosyjskich.

**— Powiedz coś więcej o tym przedsięwzięciu...**

— Praca nad tą antologią idzie powoli, gdyż nie mamy w Iwanowie tłumaczy. Poezję — tłumaczę ja, prozę — Bella Wendler. Reszta — tłumaczy polskie teksty z moich przekładów filologicznych. Będzie to książka dość spora, bo ponad 20-arkuszowa. I musi być jeszcze w tym roku złożona w wydawnictwie. Dlatego w czasie mego pobytu w Łodzi chcę zebrać dodatkowo teksty, które wejdą do omawianej antologii.

**— Wasilij, czy ze względu na twoje prace translatorskie, można cię nazwać ambasadorem literatury polskiej w ZSRR?**

— Myślę, że tak. Nie chcę być jednak zarozumiałym, ale ja naprawdę dużo pracuję nad przybliżeniem współczesnej poezji i prozy polskiej radzieckiemu czytelnikowi. Na Uniwersytecie Iwanowskim byłem prezesem Klubu Słowiańskiego popularyzującego literaturę słowiańską oraz wykładowcą slawistyki w katedrze słowianoznawstwa. Zorganizowałem na naszym uniwersytecie koło tłumaczy z języka polskiego.

**— Czy wychowałeś dobrych tłumaczy?**

— Tak, niektórzy z nich są bardzo zdolni. Na przykład Bella Wendler, Andriej Gładniuk, Polak z pochodzenia, Ludmiła Jeflejewa... Wendler — tłumaczy prozę, pozostali — poezję.

**— A jaka jest recepcja naszej literatury w Iwanowie?**

— Wszystko zależy od pracy tłumaczy. Staram się, żeby każdy tekst był dobrze transformowany na język rosyjski. Popularyzujemy literaturę polską na łamach naszej gazety „Raboczij Kraj", regularnie ukazują się tam kolumny poświęcone literaturze polskiej. Ponadto w gazecie „Leniniec" zamieszczamy także teksty pisarzy polskich, są audycje radiowe... I co najważniejsze: w Moskwie, w „Inostrannoj Litieraturie", a także w wydawnictwach ukażą się książki pisarzy polskich w przekładach tłumaczy z Iwanowa.

**— Zadam ci teraz pytanie, które pozornie niewiele ma wspólnego z poruszonym przez nas tematem. Powiedz: jak oceniasz kobiety — Rosjanki i Polki?**

— Jestem już za stary, żeby obiektywnie dokonywać ocen. Ale to zagadnienie nie jest mi obce, przecież jestem poetą.

**— Kiedy jednak postanowiłeś uporządkować swoje życie osobiste, ożeniłeś się z Polką...**

— Było to dwadzieścia lat temu i już nie pamiętam, co mną wówczas kierowało...

**— Mówisz o starości, a Pablo Casals, znakomity muzyk światowej sławy, kiedy miał 91 lat, ożenił się z 19-letnią dziewczyną!**

— Ona wyszła za mąż nie za mężczyznę, ale za jego sławę.

**— Mimo to, moja ciekawość nie została zaspokojona. Co z kobietami w twoim życiu?**

— Każda kobieta może stać się dla poety jego Muzą.

**— Wasilij, co cenisz w życiu najbardziej?**

— Przyjaciół i stare książki.

**— Gdzie są ci przyjaciele i te książki?**

— Najwięcej mam ich w Polsce.

**— A co jeszcze lubisz?**

— Cygańską muzykę.

**— Czego nie lubisz?**

— Hipokryzji, głupoty, fałszu i gorącej zupy.

**— Jakie są twoje najbliższe plany?**

— Chciałbym być bogatym, ale jak uczy doświadczenie, pieniędzy nigdy nimi nie byli. A poważnie: chciałbym wydać wiele swoich książek w dwóch językach: po polsku i po rosyjsku. I bardzo pragnę zostać dziadkiem.

**— Ostatnie twoje pragnienie, mam nadzieję, ziści się, bo rok temu wydałeś swoją córkę Wandę za mąż. Na kogo czekasz: na wnuczkę czy wnuczka?**

— Wszystko jedno, byleby coś w domu piszczało.

**— Ponieważ polski czytelnik może nie pamięta twoich książek wydanych w języku polskim, przypomnij ich tytuły.**

— Proszę bardzo: „Pierwszy deszcz", „Liście i ptaki", „Muszla", „Utracona Inonia", „Znam brzmienie słowiańskiej mowy". W ZSRR wydałem „Źródło". Ponadto w Polsce ukazał się wybór tekstów pisarzy Górnej Wołgi w moim opracowaniu pt. „Opowieści złotego pierścienia".

**— Jaki jest twój stosunek do malarstwa. Pytam o to, bo w twojej poezji jest zawsze tyle barw...**

— Nie lubię malarstwa tradycyjnego, realistycznego. Lubię udziwnienie w sztuce. Z polskich malarzy najbardziej cenię Witkacego, Malczewskiego, a z rosyjskich Ilję Głazunowa.

**— Powiedz, Wasilij, co robisz, gdy jesteś potwornie zmęczony?**

— Piję mocną herbatę i słucham muzyki.

**— A sport? Nigdy nie przyciągały cię stadiony i sale gimnastyczne?**

— Nigdy. A sportowców nie lubię i nie znoszę, bo uważam ich za ludzi bez wyobraźni.

**— Mocno powiedziane.**

— Za to szczerze.

**— Co cenisz w człowieku najbardziej?**

— Wierność w przyjaźni.

**— Życzę ci, abyś się nigdy nie zawiódł i dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

*Henryk Hartenberg*

## 103

*doktorowi J. Matychowi*

**Znowu przyjdzie noc**
**Mroklivr zagadka snu**
**I oczyma otwartymi na deszcz**
**Będę wypatrywał twojego**
**Powrotu**
**Wśród wieczystych mórz**
**Wśród ciszy przeogromnej**
**Mierząc czas**
**Widzialny i niewidzialny**

**Znowu przyjdzie świt**
**Jak brzeg nieodkrytej ziemi**
**I wplątany w źrenicy dnia**
**Będę szedł rozpalonym brukiem**
**W dalekie obłąkanie**
**W zatracenie nocy**

**Jeżeli dojdę**
**Jeżeli wśród zieleni**
**Zapłonie fałszywe światło**
**Prawdy**
**A w oku zakwitnie przerażenie**
**I opis zniszczenia**
**Śnieżnobiałej**
**Legendy**

**Wtedy**

**O moja bezsenność ścigająca mnie**
**Przez wszystkie gęstwiny**
**Milczenia**

## 78

*Danucie H.*

**Bywają sny takie białe**

**Wtedy właśnie czekałem na ptaka**
**Wędrującego z głębi nocy**
**Gałązką oliwną zapalał niebo**
**Wschodzące nad oceanem**
**Tak bardzo uciszonym**

**I słyszałem**
**„Człowieku przynoszę ci życie"**

**I zobaczyłem ziemię**
**Która podchodziła do źrenic**
**I arkę gdzie ptak cudowności**
**I Ararat błyskający światłem gwiazdozbiorów**
**I jeszcze ten znak (wybuchający w oddaleniu)**
**Jak granica**
**Jak wotum**
**Jak słup ognia wykwitły z obszaru wody**
**Jak oddech niewidzialnego życia**
**Jak tkanka obłąkańczego stawania się**

**Bywają dni takie białe**

**Wtedy ptak cudowności**
**Z gałązką oliwną**
**Szybuje w naszych snach**
**Ocalających**

**Więc dlaczego tyle krwi**
**Wypływa**
**Z głębi wszechświata**

# Kołatanie liści...

**...ale ja wciąż oczekuję łaski Twoich dłoni**
**warg**
**Ramion — oczekuję najczulszego gestu:**
**jedynego**
**Który wyrwałby mnie z absurdalnych ram**
**Nietrwałego obrazu — z bezszeleści myśli**
**Poszukujących harmonii w chropowatym**
**kamieniu**
**Pochodzącego ze zburzonej świątyni —**
**z ciemności snów**
**Które mogły zakwitnąć światłem**
**nim jeszcze świt wybuchnął**
**Z głębi nocy — z bezruchu budzący w nas**
**Smutek i samotność i próżnię przynoszący**
**rozpad**
**Każdego dźwięku błogosławionego każdego**
**kształtu**
**Słowa każdej relikwii miłości —**
**Każdego piękna nieskażonego mgłą zimnego**
**Księżyca —**

**Ale ja wciąż jeszcze oczekuję —**
**Chociaż czas przynosi tylko zgiełk pokoleń**
**I kołatanie liści...**

**„O! W tym świecie codzienności" tak bardzo**
**ulotnym —**
**Natrętnego zgiełku i złudnych Dzwonów**
**Wieczornych**
**Pozostaje jednak miłowanie w którym trwa:**
**Tajemna siła naszej**
**Wieczności...**

# Arytmia

Eustachy Rylski zwrócił na siebie uwagę udanym — nie tylko ze względu na nagrodę „Literatury" — debiutem, na który złożyły się dwie historyczne mikropowieści. Niekłamana poprawność jego literackich prób, przechodząca niekiedy w artyzm, wzbudziła aplauz tradycjonalistów, wywołując jednocześnie zjadliwe reakcje zwolenników tak zwanej rewolucji artystycznej we współczesnej polskiej prozie. Rzeczywiście — literackie belcanto w wykonaniu Eustachego Rylskiego nie jest do pogodzenia z „mocnym uderzeniem" rewolucjonistów języka w prozie. Ci ostatni głoszą — coraz bardziej gromko — iż popychają literaturę polską do przodu, na książki zaś młodych autorów typu Rylskiego spoglądają jak na kłody rzucane pod nogi. Jeśli jednak zważyć na okoliczność, iż rzeczywisty Postęp w literaturze widać dopiero z perspektywy czasu (bo przyszłość — korektorka wieczna — pozostaje w tym względzie nieubłagana) warto przyjrzeć się sine ira et studio drugiej książce autora nobilitowanego od początku udziałem w elitarnej (po prawdzie w coraz mniejszym stopniu) PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej.

Książka ta składa się z trzech opowiadań: „Tylko chłód", „Refren", „Dziewczynka z hotelu «Excelsior»". Łączy je atmosfera niedopowiedzeń oraz pozornie beznamiętna postawa narratora, z której emanuje przede wszystkim świadomość „iluzoryczności wielu ludzkich wysiłków i nadziei". Najważniejsze w tomie opowiadanie tytułowe ukazuje — w myśl dewizy jednego z bohaterów: „historia to nie tyle ciąg wydarzeń, ile to, co z nich wynika" — względność ocen, do jakiej w sposób nieunikniony dochodzi się wraz z upływem czasu. Z przedstawionych w opowiadaniu zdarzeń wynika jednak również potrzeba dochowania wierności samemu sobie. Użyłem owego „conradowskiego" sformułowania, choć w książce Rylskiego nie pojawia się ono ni razu. Ale występuje przecież coś, co historycy literatury zwykli nazywać „sytuacją conradowską" mianowicie alternatywa dochowania wierności ideałom i zachowania moralnej czystości albo jej zbrukania — wszystko jedno, czy bierze się to z tchórzostwa, czy z cynizmu. W kulminacyjnym momencie opowiadania słyszymy dialog, uprzedzający zresztą nieoczekiwany finał:

— „Możliwe, że nie jestem w prawie, a i w mocy, dawać pouczenia, ale wiem, że mogę postawić pytanie: jeżeli nie moralność w najgłębszym i najszerszym jej znaczeniu, to co pozostaje? Jaka wartość? Jaka idea?

— Żadna (...). Chłód. Być może tylko chłód".

Otóż chłód determinuje poczynania większości bohaterów prozy Eustachego Rylskiego. Osadzeni w zróżnicowanych realiach historycznych i obyczajowych ulegają indyferentyzmowi. Jego geneza nie jest jednolita — doświadcza go polityczny gracz, staje się on udziałem zmęczonej życiem kobiety, ale również ogarnia kobietę młodą, piękną i sławną. Zamiast wierności sobie pojawia się duchowa pustka. Czegokolwiek by o tej prozie nie powiedzieć — liczy się w niej przede wszystkim swoista atmosfera, współgrająca z emocjami bohaterów. Nastrojowe wyrażanie zgody na przejawy pesymizmu, położenie nacisku — nawet w sposób literacko wyrafinowany, jak w „Dziewczynie z hotelu «Excelsior»" — na atrofię tradycyjnych wartości rodzinnych wywołującą wcześniej czy później chęć igrania z życiem, ironiczne bolesne pochłanianie niekonwencjonalnych tęsknot przez nader dokuczliwą codzienność — wszystko to prowadzi do syntetycznej formuły życiowego chłodu, powtarzanej tu na różne sposoby, między innymi i w sposób dosadny przyrównującej egzystencję do „walizki przed urlopem: parę rzeczy niezbędnych, żadnej wartościowej i kupa śmiecia".

Jak to często bywa w sytuacji, kiedy literatura na wyrażaniu emocji poprzestaje — tak i tym razem zabrakło głębszych motywacji. Skłaniając się ku odczuciom katastroficznym przedstawia Rylski — najogólniej mówiąc — dehumanizację życia współczesnego człowieka. Ukazuje cenę, jaką przychodzi płacić za coraz szybszy, coraz bardziej znerwicowany rytm życia. Dlatego też bohaterowie opowiadań — jedni wcześniej, inni później — wypadają z rytmu. Podlegają arytmii. I wtedy ogarnia niepokój: — „Od pewnego czasu czuję chłód wokół siebie, boję się go. To nie samotność, to chłód" — zwierza się bohaterka „Refrenu", przekraczająca w swe czterdzieste urodziny i smugę cienia, i „smugę" zimna. Najgorsze w tym wszystkim zdaje się być jednak nie to, iż pojawia się chłód, lecz okoliczność, iż znieczulony gromadzeniem dóbr ludzkich tłum nie zwraca nań uwagi i zachowuje się tak, „jak gdyby nie było go ani teraz, ani przedtem". Na szczęście pośród manekinów zdarzają się ci, którzy czują i którzy ostrzegają. Taki dostrzegam sens książki Eustachego Rylskiego; książki, która — bez względu na to, co nazwiemy Postępem w literaturze — zasługuje na wnikliwą uwagę.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

**Eustachy Rylski: „Tylko chłód", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 227, nakład 20 000+300 egz., cena zł 350.—**

# Galeria Mistrza Konstantego

Zdarza się od czasu do czasu, że w jakimś miejscu na Ziemi pojawia się Ktoś. Zapuści korzenie, wtopi swą sylwetkę w miejscowy krajobraz. Jego osoba obrasta zwykle legendą, krążą wokół niej liczne anegdoty. Taką postacią był dla Łodzi zmarły przed dwoma laty **Konstanty Mackiewicz**, artysta malarz związany z naszym miastem odkąd przybył tu w 1926 roku. Znakomity twórca, a przy tym człowiek o nader rozległych zainteresowaniach, jawi się w jakże żywych wciąż wspomnieniach tych, którzy znali go osobiście, jako postać iście renesansowa. To właśnie określenie przewija się we wszystkich niemal wypowiedziach na temat osobowości Mistrza.

Konstanty Mackiewicz był nie tylko człowiekiem wszechstronnie utalentowanym: malarzem, scenografem, poetą; był on także jednym z tych artystów, którzy posiadają dar wpływania na innych, twórczego ich zapładniania, choćby poprzez wywoływanie polemik wokół rzucanych często na przekór powszechnie panującym modom i opiniom wyzwań. Odkąd go zabrakło w łódzkim pejzażu, zabrakło kogoś bliskiego nie tylko licznym przyjaciołom, z którymi Mistrz spotykał się codziennie przy kawie, ale także publiczności, gdyż Konstanty Mackiewicz był artystą powszechnie lubianym, docierającym ze swą sztuką niemal do wszystkich, czym mało który twórca może się dziś pochwalić.

Konstanty Mackiewicz, którego kilka dziesięcioleci pracy twórczej przypadło na okres, gdy w sztuce jak w tyglu pojawiały się i ścierały ze sobą coraz to nowe kierunki, czerpiąc z nich to, co najciekawsze, najbardziej inspirujące, zachowywał zawsze swą indywidualność. Była w nim zarazem jakaś przekora, która kazała mu malować tak jak czuł w danym momencie, a nie jak nakazywał modny czy też obowiązujący prąd. Jego pierwszy znany obraz „Uliczka w Odessie" z przełomu 1913 i 1914 roku zdradza wpływ kubizmu i cezanne'owskie widzenie, które niejednokrotnie pojawią się jeszcze w jego malarstwie. „Fabryka w Penzie" (1914) jest z kolei obrazem w pełni futurystycznym, ten kierunek bowiem wraz ze swym pojawieniem się w Rosji, gdzie Mackiewicz spędził młodość i studiował, wywarł na młodym twórcy silne wrażenie. Wkrótce jednak artysta znajduje swą własną odpowiedź na futurystyczną fascynację maszyną, a jest nią wizja bezdusznego, opanowanego przez technikę świata, w którym giną drobne postacie ludzi (obraz „Sen — Maszyny").

Lata dwudzieste w Związku Radzieckim to także zetknięcie z abstrakcyjnymi kompozycjami Kandinsky'ego, w którego pracowni krótko studiował, z suprematyzmem Malewicza, z konstruktywizmem i jego utylitarnymi założeniami, słowem z wielką różnorodnością linii rozwoju sztuki. Mackiewicz jest twórcą chłonnym aż do eklektyzmu — tworzy dzieła całkowicie różne w formie, wręcz przeciwstawne stylistycznie. Po przyjeździe do Polski ulega ponadto wpływowi koloryzmu. Ówczesna krytyka pisze: „Każdy z jego obrazów jest zarazem pokazem innej maniery, szkoły, techniki, a nawet epoki w malarstwie". W końcu lat pięćdziesiątych i w latach następnych, gdy sztuka zdominowana została przez abstrakcję, Mackiewicz tworzy realistyczne pejzaże. Powstaje też cykl „Tu byli ludzie", ekspresyjna przestroga przed okrucieństwem wojny, a także znakomite „Katedry" jako hołd dla kamiennych arcydzieł budowniczych z epoki gotyku, renesansu, baroku.

7 października w dawnej pracowni malarza mieszczącej się przy ulicy Moniuszki 5, BWA otwarło autorską galerię Konstantego Mackiewicza. Z bogatego dorobku artysty pokazano na początek prace z wcześniejszego okresu jego twórczości. Jest to 20 obrazów, w tym z cyklu „Katedry gotyckie". Ekspozycja zawiera także ostatnie, ukończone przez niego tuż przed śmiercią dzieło, a także portret Mistrza autorstwa T. Hołówki.

Podczas uroczystego otwarcia galerii syn malarza Ludwik Mackiewicz wspominał również o następnych jej propozycjach przewidujących między innymi pokazanie słynnego cyklu „Tu byli ludzie" oraz „Szklane domy".

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

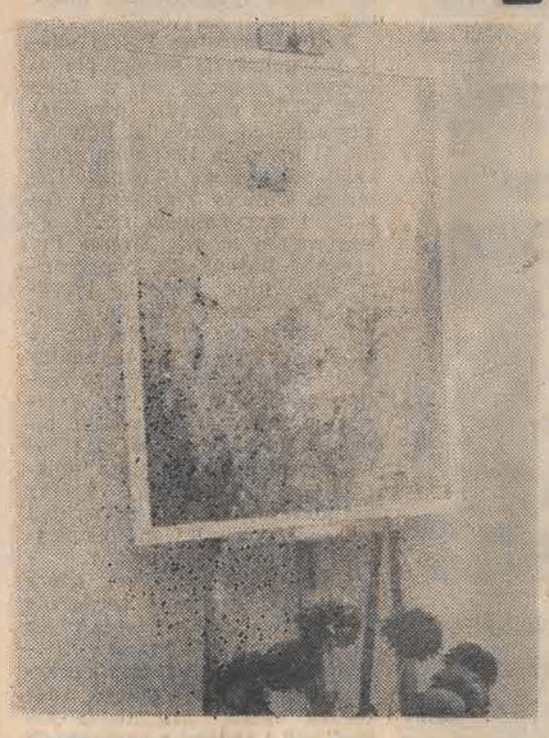

*Portret K. Mackiewicza autorstwa T. Hołówki*
*Fotos Grzegorz Gałasiński*

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

### ŚMIERĆ ABLA

Bohaterami anegdoty są aktorzy Szymon Włodek i Ludwik Worowski, „służący — jak zaznaczono na afiszu benefisowym w 1816 r., z chluba lubelskiej publiczności". Anegdotę ogłosił lwowski „Dziennik Literacki" (1858):

„Przed czterdziestu kilku laty grano raz w teatrze w Lublinie tragedię „Śmierć Abla" Kaina przedstawiał aktor Worowski a Abla Włodek. Jeszcze wówczas na dziwne można było natrafić wyobrażenia o scenicznym efekcie. Długo Worowski rozmyślał jakby to wielkie wrażenie, osobliwie w chwili zabicia Abla sprawić. Już to oczy musiały być sino podmalowane, nos zalepiony, twarz miedziana, was i broda w nieładzie u Kaina. Lecz to mu jeszcze nie wystarczało. U końca słomianej, w płótno obszytej maczugi przywiązał jajo gęsie, które napełnił farbą czerwoną. Nikomu nic o tym nie rzekłszy, osobliwie dyrektorowi, który byłby mu to zganił, z nadzwyczaj silnym rozmachem w scenie zabójstwa uderzył maczugą w samo skronie Włodka, z wielkim trzaskiem rozbiło się jajo, a cała głowa jego oblała się czerwoną farbą. Sam Włodek nie wiedział co się z nim stało. Posunął rękę po czole, chcąc dowiedzieć się co to się z głowy leje, a ujrzawszy krew, zawołał zawodzącym głosem:

— *Jezus! Maria! naprawdę zabił mnie!*

### DOMYŚLNOŚĆ

Po dobrej uczcie siedzieli księża późnym wieczorem w ciemnym pokoju i opowiadali sobie nie bardzo skromne anegdoty. Żebrak podsłuchawszy pod drzwiami te rozmowy, otwiera drzwi i prosi księży dobrodziejów o jałmużnę.

— *A ty po czym, nicponiu, poznałeś, że my księża?* — rzeknie jeden z księży.

— *Po duchownej rozmowie* — odpowiedział żebrak.

K. Bartoszewicz: Perły humoru polskiego. T. 8. Kraków 1884.

### KRÓLEWSKA RADA

Gdy w roku 1787 król Stanisław August jadąc do Kaniowa bawił przez kilka dni w Wiśniowcu, pewna kobieta przybyła z Galicji, podała mu wierszami prośbę o wsparcie, nie było to jednakże wyraźne proszenie, lecz w górnym stylu zapytanie, co ma czynić osoba pozbawiona majątku, aby żyć mogła stosownie do swego szlachetnego urodzenia. Kończyła się ta oda następującymi wierszami:

*A zatem rzeknij Miłościwy Panie,*
*Jak mam postąpić w tym stanie?*

Król ołówkiem pod tą odą napisał:

*Pracuj, boś zdrowa, praca szlachectwa nie plami,*
*Lepiej na chleb pracować niż żebrać wierszami.*

„Kurier Warszawski", 1830, nr 166

### DYKTERYJKA KLASZTORNA

W pewnym miasteczku wielkopolskim stała przed laty obok klasztoru ojców bernardynów bożnica żydowska. Że zaś z tego ciągle wynikały zatargi, postanowiono nareszcie spór przez dysputę załatwić, i albo klasztor, albo bożnicę znieść, stosownie do tego, kto kogo przedysputuje. Na dysputę takową przeznaczono z jednej strony gwardiana, a z drugiej rabina. Kalafaktor klasztorny, usłyszawszy o tym, sądził, że by to powadze gwardiana ubliżało, gdyby miał z Żydem dysputować. Prosił zatem, żeby jemu załatwienie sprawy tej w imieniu klasztoru poruczono, ale żeby dysputa na migi odbyć się mogła. W dniu wyznaczonym stawa z jednej strony kalafaktor, przybrany w habit, jakby istny gwardian, a z drugiej rabin. Zaczyna się dysputa. Rabin podnosi najprzód palec do góry, na co kalafaktor palec ku ziemi zwraca i przytupuje. Rabin po wtóre wskazuje ku niemu jednym palcem, a kalafaktor dwoma; nareszcie rabin ukazuje rękę roztwartą, a kalafaktor pięścią na to odpowiada. Tu rabin wyznaje, że został przedysputowany a wskutek tego bożnica ma być rozebrana i gdzie indziej wystawiona. Ciekawi widzowie zapytali się następnie rabina, co by on powyższymi znakami wyrażał, i odebrali od niego odpowiedź:

— *Pokazałem księdzu gwardianowi palcem w górę wzniesionym, że Bóg jest w niebie, a on spuściwszy palec na dół, dowiódł, że nie tylko w niebie, ale i na ziemi; pokazałem mu dalej, że oko Opatrzności patrzy na świat, a on odrzekł znakiem, że nie tylko jednym, ale dwoma patrzy oczyma. Ręka roztwarta oznaczała, że Bóg świat na dłoni trzyma, a ściśniona, że Bóg świat mocno w swym ręku trzyma.*

Zapytany nawzajem kalafaktor całkiem inaczej rzecz tę tłumaczył:

— *Palec do góry wzniesiony okazywał, że mnie chce powiesić, na co ja mu dałem do zrozumienia, że go pierw w ziemię wbiję. Dalej chciał mi palcem oko wyżgać, a ja mu odgroziłem utratą obydwóch. Na koniec chciał mi ręka policzek dać, a ja mu na to całą odgroził pięścią.*

„Przyjaciel Ludu", 1840, nr 28

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Konfrontacje

# Płeć i charakter

Porównanie nie stanowi dowodu, ale porównywać wolno. Chciałem napisać „trzeba", ale zabrzmiałoby to stanowczo — jako postulat metodologiczny, a nasza „konfrontacja" tekstów ma przecież pomóc odbiorcy w oswojeniu wypowiedzi jednostkowych, które zawsze współdziałają, realizują się i zyskują nowe sensy w większych kontekstach kulturowych. W naszym przypadku takim kontekstowym „zapośredniczeniem" jest zjawisko **poezji kobiecej**, zjawisko obrysowane już konturem jakiejś rozpoznawalnej poetyki z charakterystyczną dlań **opozycją postaw: „biologicznej" oraz „kulturowej", ale przez piszące panie przyjmowane jako próba ich dyskryminowania, wytwarza bowiem jakiś krytycznoliteracki czyściec, do którego zostały zapędzone przez leniwych recenzentów.**

**Tytuł tego szkicu, recenzji, „konfrontacji" przyjęliśmy od Weiningera, choć mogliśmy też przyjąć od Boya („Mózg i płeć"), To wszakże, co dla przywołanych wyżej autorów sytuowało się w opozycji: żeńskie — męskie, tutaj współistnieje w „żeńskim" (poezji kobiecej), która wybiera konwencję mówienia „płcią" bądź „charakterem", „ciałem" bądź „mózgiem", „biologią" bądź „kulturą". Zróżnicowanie tych dwu artykulacji, dwu możliwości „poetyckiego mówienia" uwyraźnia się** w tomach poetyckich, jakie znalazły się na półkach księgarskich — w debiutanckim tomie M. Marinow — „Ja woda" oraz w drugim tomie L. Skompskiej, „Bez powodu".

Tomik M. Marinow opatrzony jest znamiennym dwuwierszem — mottem: „Jestem kobietą, której obnażono płeć i odebrana jest mi moja moc". Moc — **mana** — przysługująca osobom wyjątkowym (czarownicom, magom, szamanom) sprzężona jest z tajemnicą, z tabu. Czarodziej traci moc, jeśli ktokolwiek pozna jego prawdziwe imię (inicjacyjne). Kobieta traci moc, jeśli obnaży się jej płeć — jeśli się ją nazwie kobietą i do tej społecznej roli sprowadzi się całą jej osobę. Niezgoda na tę rolę — społeczną i kulturową zarazem — powoduje, iż zbuntowana **anima** (pierwiastek „żeński" osobowości) ujawnia bądź to resentymenty wobec świata mężczyzn (mężczyzna jest tu prezentowany jako osobowość niedojrzała, nieodpowiedzialna, destrukcyjna), bądź też w nieco histerycznych gestach prezentuje swoją odrębność (biologię) a jest to zarazem „odrębność" poetyckiej artykulacji: drapieżnej i ryzykownej nawet w swoim ekshibicjonizmie. Mimo tych elementów „ostrej" tonacji stylistycznej często (i przewrotnie) M. Marinow prowadzi grę z „kulturą". Kilka jej wierszy (i sam tytuł) odwołuje się do stereotypów „żeńskiego" prezentowanych przez różne szkoły psychoanalityczne i są to odwołania nie tyle rewidujące ile parodystyczne (por. znakomity wiersz „Kiedyś zepsuł mi się kran"). Jest to jeden ton, dominujący co prawda w tej poetyce, ale wyodrębniamy go, iżby wskazać na „niepodobieństwo" do tonacji kulturowej, którą odnajdziemy w wierszach L. Skompskiej.

L. Skompska już od pierwszych publikowanych wierszy **budowała swoją Personę — obraz „ja" na użytek „świata". Zamiast tajemnicy „manicznej kobiecości" serwuje w swej twórczości tajemnicę rozpoznawania świata. Wychodzi jakby z paradoksu Wilde'a, iż życie naśladuje sztukę i zmierza w końcu do smutnego stwierdzenia, że owo „życie" jest amorficzne, należy przeto negocjować jakieś jego sensy poprzez kulturowy ogląd. Negocjować, bowiem w każdej chwili ów pozorny kulturowy ład może ulec destrukcji. Celem twórczości L. Skompskiej jest dążenie do zrównoważenia entropii świata kulturową (poetycką) informacją niepełną, arbitralną, nie dającą gwarancji, iż poprzez uporządkowanie, jakie wnosi, można znaleźć dla siebie bezpieczne miejsce w tym kawałku „oswojonej rzeczywistości". Wydawać by się mogło, że akt poetyckiej twórczości jest równoważny aktowi stwarzania bądź poznawania świata („poeta nazywa bogów" — jak to ujął Heidegger), tymczasem „wszystko jest rozprute" jak w wierszu pod tym tytułem, a owe „pęknięcia" świata nie są prześwitami bytu, poprzez które oglądać można autentyczność istnienia. „Gwiżdżę na podmiot liryczny, tak jak świat gwiżdże na mnie, chociaż jestem jego cudem"(...) „pokaż mi wyjście z tego ciasnego kąta, z tego wiersza" (...) „nie mam złudzeń co do poezji, jej biała laska głucho stuka w linijki". Wynotowałem tych kilka cytacji, aby wskazać na alternatywność podmiotu, który wie, że „mieszka w słowie" — stwarza słowa i jest zwrotnie przez nie stwarzany. Nie znajdziemy w twórczości L. Skompskiej wierszy takich jak „Radość pisania" W. Szymborskiej. Nie ponawia też (za tą poetką) gestu „zemsty ręki śmiertelnej". Wie, że nie jesteśmy partnerami dla świata, bowiem wszelkie próby dialogu z nim kończą się żałośnie. Świat jest głuchy, ale nie jest niemy. Rozpoznajemy jego „gadaninę", plotkarskie Tu i Teraz, w którym zostaliśmy wrzuceni. Ową temporalność należy bodaj odnotować (nie unika Skompska tematyki ostatnich dramatycznych lat). „Świat ma tymczasowy charakter, jakby jutro miał wylecieć w powietrze". W takim świecie należy znaleźć jakąś własną „pierwszą metodę" — białą laskę wiersza zamienić na laskę Kartezjańską. Nie dziwi przeto (ironiczne oczywiście) wyznanie: „sprawdzam, czy życie jest prawdziwe, czytam książki, otwieram słowniki, encyklopedie, rzeczywistość przegląda się w moich oczach".**

Sprawdzać świat i sprawdzać siebie. Szukać „zapośredniczenia" dla tych prób w „kulturze" bądź „biologii" — to dwie drogi, które najczęściej poezja wybiera (i ta „poezja kobieca" przede wszystkim). Te dwie tonacje stylistyczne są tylko zróżnicowane „powierzchniowo". Czy mówimy „ciałem" czy „mózgiem" jest mniej ważne od generującej te dwie poetyki postawy wspólnej — fundamentalnego zagadnienia sztuki współczesnej: gdzie znaleźć dla siebie miejsce w okaleczonym świecie. Można się z tym światem heroicznie zmagać, można się także od niego dystansować — nie ominie nas przecież cierpienie, które sprowokowaliśmy pierwszym wersem, pierwszą refleksją, naszą aktywnością poznawczą. „Ja — świat" — demiurgiczne uroszczenie znane z wielu po-romantycznych poetyk sprowadzone zostaje do tożsamości w cierpieniu, bowiem — jak pisze L. Skompska:

„moje oczy są tak precyzyjnie
zawieszone w kosmosie
że łzy kapią na chusteczkę,
którą trzyma ręka"

PuH

**Mirosława Marinow — Ja woda. Wyd. Łódzkie, Łódź 1987**
**Lucyna Skompska — Bez powodu — Czytelnik, Warszawa 1986.**

# Wypisy polskie Wilmańskiego

Słownik współczesnych poetów polskich przygotowywany przez „Poezję" liczy około tysiąca nazwisk. Ten swoisty batallion sacré cechuje jednakże prywatność w najwyższym stopniu. Nic, albo prawie nic, nie łączy tę potężną liczbowo grupę. Każdy ma ambicję być indywidualistą, ale czy koniecznie? Nad każdym z bólem wydanym tomikiem wierszy można byłoby umieścić tabliczkę z napisem: „teren prywatny — obcym wstęp wzbroniony". A może właśnie tak powinno być? Mam co do tego pewne wątpliwości, gdyż jest grupa poetów, którzy pragną — zachowując swoją prywatność — przebić się na swym pegazie na szersza widownię. Możliwości są raczej mizerne, bo cóż to jest tysięczny zaledwie nakład? Pyłek w olbrzymim oku obojętności polskiej na poezję.

Jerzy Wilmański (ur. w roku 1936) od szeregu lat usiłuje zamieniać swoją poetycką prywatność na służbę społeczną. Dowodzą tego kolejne tomy jego wierszy: „Poemat niedoskonały" (1959), „Obrona krajobrazu" (1963), „Odlot" (1970), „Tylko słowa" (1976), „Czterdziesta jesień" (1979), „We mgle we mgle" (1984). Obecnie Wydawnictwo Łódzkie opublikowało obszerny wybór wierszy Wilmańskiego zatytułowany „Pożegnanie karnawału". Ten pięknie wydany retrospektywny tom zasługuje na spędzenie z nim dłuższej chwili, a może nawet na powrót do niektórych utworów. Sam pisarz całość nazwał swoimi poetyckimi „wypisami polskimi" i w tej nazwie nie ma megalomanii autorskiej, lecz szczere pragnienie, by tak właśnie było.

Popatrzmy na „wiersze klamrowe", otwierające i zamykające „Pożegnanie karnawału", bo są bardzo wymowne. Mówią wiele o kondycji poety. W pierwszym nazywa siebie Wilmański Markiem Polo łódzkich ulic. Wszystko przed nim, wie, że wiele odkryje, jeszcze więcej przeżyje, on, który wyszedł z pejzażu Utrilla. Natomiast w końcowym „Remanencie" mowa jest o przegranej. „Jak długo można przegrywać na nowo?" pyta Wilmański — dokąd można sumować kolejne przegrane? Nie znajduje odpowiedzi na swym poetyckim zegarze.

A więc poeta poniósł klęskę! Ma za sobą pół wieku życia. Ale kto w ogóle jest kiedykolwiek zwycięzcą? Kto w Polsce jest pokonanym to zazwyczaj dobrze się wie... Marne to pocieszenie, że gloria victis... Marne. Więc powtórzmy, kto naprawdę w kraju nad Wisłą jest, był, będzie zwycięzcą? Poeta ma najmniejsze szanse. Jesteśmy arcymistrzami zapominania. Wilmański o tym doskonale wie i stąd ciągle, z rezygnacją, żegna tytułowy „karnawał".

Autor „Poematu niedoskonałego" jest wytrawnym przewodnikiem po polskim krajobrazie, którego serdecznym okiem jest Łódź. Umie dostrzec całą skomplikowaną dramaturgię przyrody i wrysować w nią siebie.

Spośród wielu łódzkich wierszy na plan pierwszy wysuwa się ten, w którego poincie czytamy:

*Więc nie bój się miasta*
*musisz je wziąć całe*
*albo całe odrzucić jak zwietrzałą cegłę*

„Łódź"

Odnieść to można do wszystkich polskich miast i uniwersalizm ten trzeba poszerzyć jeszcze o współczesną polską wioskę, której już w zasadzie nie ma. Bo nie ma już miast i wsi, są tylko mniejsze lub większe sypialnie.

Dużo miejsca w swej twórczości poświęca Wilmański śmierci. Nie omija wszak tego tematu żaden poeta. Śmierć często jest nawet bezwzględnie i bezzwłocznie oraz skutecznie przywoływana. Iluż to poetów popełniło samobójstwo!? Rodzi się pytanie zasadnicze: dlaczego z polską poezją tak nierozerwalnie związana jest śmierć? Dlaczego poeci są jej sługami i poddanymi? Dlaczego nie ma pogardy śmierci? Wilmański też lęka się śmierci. Pragnąłby, aby przyszła podczas najgłębszego snu. To wymarzone śmiertelne wygodnictwo i omal pragnienie luksusowej śmierci nie zasługuje na zamieszkanie w strofach wiersza. Powinno być marzeniem raczej niewyrażalnym, trzymanym w najgłębszej tajemnicy. Ale tacy znowu właśnie jesteśmy, my, Polacy. Marzyciele o nagłej i niespodziewanej śmierci. No, może być jeszcze — bohaterskiej! Z patriotycznym okrzykiem na ustach... Tak bywało, i tak jeszcze z pewnością kiedyś będzie.

Ale co po nas? Pytanie wcale nie po raz pierwszy postawione. Wilmański daje na nie odpowiedź następującą:

*Kolorowe pocztówki, szare umęczenie,*
*stempel w paszporcie, bilet tramwajowy,*
*Kalendarz i zegarek z nieważną gwarancją,*
*bo i tak niewiele pozostało czasu*

*Talizmany podróżne — oto co zostanie,*
*kiedy się dopełni twoje zasypianie*

*Pozostaniesz w przedmiotach*
*śmiertelnych jak pamięć*

„Talizmany"

Z pewnością nie wszystkich taka wizja satysfakcjonuje. I w tym jest pewna nadzieja na pogardę śmierci.

Istotną cechą poezji Wilmańskiego jest obecność Polski. Jak ją widzi łódzki poeta najlepiej oddaje „Oda", zresztą jeden z najlepszych wierszy „Pożegnania karnawału":

*Słabości moje piękne i okrutne wady*
*nieczułości moje dławiące nałogi*
*moje słowa brutalne moje czułe słowa*
*moje nienawiści chimery i złości*

*Kiedy się Polska cała w afirmacji nurza*
*ja się was nie wyrzekam ani nie oburzam*

*Moje noce bezmyślne moje ludzkie noce*
*moje klucze zgubione moje upodlenia*
*moje ławki na skwerkach moje przerażenia*
*to wszystko złe co we mnie — moje najdotkliwsze*

*Kiedy się Polska cała w afirmacji nurza*
*ja się was nie wyrzekam ani nie oburzam*
*Bo tylko to jest moje — co moją słabością*
*chociaż mnie w gardle dławi racjonalną kością.*

W tę arcyszczerą odę moglibyśmy wpisać się wszyscy. Wilmańskiemu udało się w tym wierszu nakreślić portret Polaka z całą prawdą, ale czy z pięknem? Lecz czy człowiek może być w „całości" piękny? Może jakiś fragment osobowości, może jakiś epizod życiorysu, może finał życia?

Czytając wiersze współczesnych twórców mam ustawiczne wrażenie niedosytu. Brak mi wielkich improwizatorów. Darujmy sobie ten przymiotnik, więc po prostu improwizatorów. Marzą mi się romantyczni prorocy, wieszcze... Nie ma ich. Może ostatniego z nich zabrała ostatnia wojna? Może byłby wśród nas? Wilmański jest raczej oraczem polskich spraw, polskiej codziennej egzystencji. Jest nazbyt konkretny. Nie chce improwizować. Jego wypisy polskie są z pogranicza życiowej prozy. I to w sumie sprawia dość przygnębiające wrażenie, a przynajmniej mało optymistyczne. Trudno być poetą, jeszcze trudniej modelem dla niego.

Pisał Julian Przyboś sławne swoje „wiosny". Jest również w dorobku Jerzego Wilmańskiego wiersz poświęcony wiośnie, sławnej wiośnie 1981. Przytoczmy jego fragment bez słów komentarza:

*Nie wychodź na ulicę — jesteś niepotrzebny*
*nie potrafisz z wiarą mówić słów wytartych*
*nie potrafisz oszaleć, zwariować i zgłupieć*
*nie umiesz już oskarżać chcesz być sprawiedliwy*
*rację chcesz wyważać kiedy racji tyle*
*że liczy się wyłącznie skandowanie tłumu*

„Notatki z wiosny 1981"

Ale nie! Musi być komentarz! Musi! Wiersz budzi bunt, gorący sprzeciw: Wychodź na ulicę — jesteś potrzebny...

EMIL BIELA

**Jerzy Wilmański „Pożegnanie karnawału" — Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987, str. 188, cena 150 zł.**

# Kronika kulturalna

**JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH W KRAJU,** wielce zasłużona dla polskiego edytorstwa, **oficyna MON obchodzi w tym miesiącu jubileusz czterdziestolecia.**

Nakładem Wydawnictwa MON **ukazało się w tych latach 15 tys. tytułów** (o łącznym nakładzie **230 mln egzemplarzy).**

Wśród **16 serii wydawniczych** prym wiodły: **„Żółty tygrys"**, (573 tytuły), **„Sensacje XX wieku"** (120 tytułów), i **„Labirynt"** (131 tytułów).

Publikacje ze znakiem MON **propagowały przede wszystkim patriotyczny wysiłek zbrojny oręża polskiego od czasów najdawniejszych po II wojnę światową.**

Do ciekawszych **zamierzeń wydawniczych na najbliższe lata należy zaliczyć planowane wydanie wspomnień generała Zygmunta Berlinga** oraz dowódców polskich na Zachodzie — **generałów: Sosnkowskiego. Maczka, Sosabowskiego, Zająca.**

Trwają także rozmowy dotyczące wydania **nie publikowanych wspomnień marszałka Iwana Koniewa. wznowienia pamiętników wojennych Eisenhowera, Montgomery'go, Pattona.**

Bardzo **cennym przedsięwzięciem edytorskim** jest **zapoczątkowanie „Złotej Serii"**, ukazującej utrwalony na kartach literatury pięknej polski wkład do zwycięstwa.

---

**25 PAŹDZIERNIKA** br. **w Małej Sali Teatru Nowego** odbędzie się **premiera interesującej sztuki Jeana Geneta pt. „Ścisły nadzór"**, w reżyserii i oprawie scenograficznej **Krzysztofa Kelma.**

Sztuka ta, napisana przez czołowego przedstawiciela francuskiej awangardy teatralnej, pokazuje wstrząsający dramat ludzi odrzuconych przez społeczeństwo.

---

**DLA UPAMIĘTNIENIA 70. rocznicy Rewolucji Październikowej**, w dniach 6—14 listopada, **odbędzie się w Łodzi Krajowa Wystawa Filatelistyczna: „70 lat Wielkiego Października — Łódź 87".**

Zbiory filatelistyczne prezentować będzie **31 wystawców z Polski oraz 15 z ZSRR, NRD, Węgier, Bułgarii i Finlandii.**

Wystawie towarzyszyć będzie ekspozycja **„Orderów i odznaczeń krajów socjalistycznych" (ze zbiorów Muzeum Sztuki Medalierskiej z Wrocławia).**

---

**Z OKAZJI PRZYPADAJĄCEGO** w tym roku **75-lecia Łódzkich Zakładów Graficznych (produkujących rocznie 12 mln egzemplarzy książek, czasopism i innych druków)**, odbyło się 10 października br. **uroczyste spotkanie załogi.**

**W imieniu Rady Państwa I sekretarz KŁ PZPR Józef Niewiadomski udekorował (ufundowany przez Wydawnictwo Łódzkie) sztandar zakładu — Orderem Sztandaru Pracy II klasy.**

Najbardziej zasłużeni drukarze otrzymali wysokie odznaczenia państwowe.

---

**MŁODZIEŻOWE CENTRUM KULTURY w GDYNI zainaugurowało stałą działalność wydawniczą tomikiem poetyckim Jerzego Stachury „Rozwód pod słońcem".**

Jego autor, związany z działalnością środowisk artystycznych Trójmiasta, jest laureatem cenionej nagrody **„Czerwonej Róży"** (za najlepszy debiut poetycki roku 1986).

**W następnych latach**, w ramach dodatkowej oferty dla młodego czytelnika i promocji młodych twórców, **Centrum planuje m.in. wydanie zbiorów wierszy Czesława Mirosława Szczepaniaka i Wojciecha Fułka, tomu prozy i scenariuszy Włodzimierza Antkowiaka oraz serii arkuszy poetyckich (pn. „Listy gończe").**

---

**W UBIEGŁĄ SOBOTĘ, w Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina odbył się uroczysty koncert, dedykowany z okazji 42 rocznicy powstania Organizacji Narodów Zjednoczonych.**

Orkiestrą Symfoniczną FŁ **dyrygował Andrzej Straszyński.** Jako solistka wystąpiła jedna z najwybitniejszych naszych śpiewaczek — **Ewa Podleś.**

---

**W CENTRALNYM MUZEUM WŁÓKIENNICTWA,** od 15 października, czynna jest bardzo ciekawa **ekspozycja dzianin odzieżowych z XIX i XX w. „Pończoszki, ach pończoszki"**, zorganizowana przy współpracy z **Muzeami Miejskimi w Karl-Marx-Stadt.**

---

**W PIĘTNASTY ROK** wielce owocnej pracy twórczej wkroczył kierowany przez **Mariana Glinkowskiego** amatorski **Teatr „Orfa" (działający przy Miejskim Ośrodku Kultury w Zgierzu).** Ten ambitny, pełen inwencji zespół **zaliczany** jest przez wielu recenzentów teatralnych **do czołowych scen amatorskich w kraju.**

Swego rodzaju **rewelacjami w minionych sezonach** na deskach tego teatru **były:** zaskakujący nowatorstwem **spektakl „Wyrabianie istot"** (powstały **na kanwie „Ferdydurke"** Witolda Gombrowicza) oraz **adaptacja** poetyckich **tekstów Edwarda Stachury — „Kropka nad ypsylonem".**

**W aktualnym, październikowym repertuarze** (21 i 23 bm.) widowisko pt. **„Wywiedzione z Hrabala" (scenariusz i reżyseria Mariana Glinkowskiego).**

Wszystkich teatromanów zachęcamy więc gorąco do najrychlejszego wybrania się do pobliskiego Zgierza. Na pewno będzie to bardzo udana, pełna wrażeń artystycznych eskapada!

---

**TRZY SPEKTAKLE** — „Jesus Christ Superstar", „Drugie wejście smoka" i „Skrzypka na dachu" — **pokazał w Leningradzie Teatr Muzyczny z Gdyni.**

---

**W MIEJSCOWOŚCI URGENCZ,** w Uzbekistanie, **jedna z ulic** została **nazwana imieniem Anny German.**

Piosenkarka, w latach II wojny światowej, spędziła w tym mieście dzieciństwo.

---

**REDAGOWANY przez Witolda Fillera** satyryczny tygodnik **„Szpilki" otrzymał jedną z pięciu głównych nagród podczas międzynarodowego festiwalu satyry politycznej we Włoszech.**

W okazjonalnej wypowiedzi szef „Szpilek" stwierdził, iż w Polsce najłatwiej można śmiać się z rządu, a w ogóle nie przechodzi krytyka papieża".

---

**TEATR POLSKI W POZNANIU WYSTAWIA,** w dwa lata po światowej premierze na Broadwayu, głośną **sztukę o AIDS — „Normalne serce" Larry Kramera (reż. Grzegorz Mrówczyński).**

Oprac. JAK

ANATOLIJ RYBAKOW (19)

# Dzieci Arbatu

## CZĘŚĆ II

Stara droga na Angarę, wydeptana w tajdze przez pierwszych osiedleńców, zaczyna się w Tajszecie. Nowa w Kańsku: tu się kończy etap kolejowy, a zaczyna się pieszy.

Ciche miasteczko o drewnianych trotuarach, bez ogrodów, podobne do stepowych. Znowu błękitne niebo nad głową i odurzający zapach życia. Już nie ma celi, Djakowa, więziennego podwórka, strażnika z karabinem, wodzącego za tobą sennym wzrokiem. Wierzyć się nie chce, że to wszystko mogło się zdarzyć. Jesteś tutaj niby taki sam, jak wszyscy, swobodnie idziesz ulicą, taszczysz swoją walizkę, obok idzie Boris Sołowiejczyk, utyskuje, że nie udało się zaczepić w Kańsku.

— Wysyłać na wieś specjalistę z moimi kwalifikacjami?! Czy państwo będzie miało z tego jakiś pożytek?

Poczta mieści się w domku z ganeczkiem, obok jest kasa oszczędnościowa. Panienki w domowych sukienkach, o palcach umazanych klejem i atramentem, znają Sołowiejczyka: sympatyczny, towarzyski moskwiczanin, otrzymuje listy na poste-restante.

„Zdrowy pisz okręg kański wieś Boguczany restante całuję Sasza" — pierwszy telegram do mamy.

Gospodyni Sołowiejczyka, szczuplutka młoda kobieta o łagodnej twarzy, nakryła do stołu. Co ją skłoniło, że zeszła się z Borisem? Wyjedzie i zapomni. Spodobał jej się? Ulitowała się nad zesłańcem? Przy niej Boris ze swoimi manierami stołecznego donżuana wyglądał żałośnie.

Sasza wyjął z walizki puszkę szprot — wszystko, co zostało z maminej paczki. Boris odkorkował butelkę wódki. Miał własne kieliszki, nawet serwetki — i tu chciał żyć po ludzku. Wszystko było, jak w zwyczajnym życiu, tylko, jeżeli się przypomni, kim są, robi się dziko, dziwnie, strasznie, zresztą — już nie tak strasznie.

Już od pierwszego kieliszka Saszy zakręciło się w głowie.

— Zwyczajna rzecz po więzieniu — zauważył Boris — wciągniesz się. Nad Angarą będziemy pić spirytus, taniej go tam wozić niż wódkę — sześćset kilometrów końmi. A w ogóle — to przeżyjemy. Boguczany to wielka wieś, pracę w swoim zawodzie znajdę, ty też jesteś za pięć minut inżynier, mają tam traktory, siewniki, wialnie.

— Na traktorach się nie znam, na siewnikach i wialniach też nie.

— Będziesz chciał się poznać — to się poznasz. Przedtem inteligentni młodzi ludzie jeździli za granicę, a my — na białe niedźwiedzie. Lepiej być Sołowiejczykiem w Moskwie, niż Wróblewskim na Wyspach Sołowieckich. No to co teraz robić? Szlochać i płakać? Celowałem na stanowisko przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania, właściwie zastępcy przewodniczącego, jako bezpartyjny. Jestem tym, który ciągnie wóz, koń pociągowy, nikomu nie przeszkadzałem i wszystkim byłem potrzebny. Ale na mojej drodze stanął znak interpunkcyjny, zatrzymał mnie dwukropek. Weź pod uwagę, że na zesłaniu nikt ci nie powie prawdy: kto siedzi za coś — robi wrażenie, że siedzi za nic, kto siedzi za nic, udaje, że siedzi za coś. Ale mnie możesz wierzyć. No i tak. U nas w instytucji wisiało hasło: „Technika w okresie odbudowy decyduje o wszystkim. Stalin". Znane ci jest to hasło? Znane. Pięknie. Przeczytałem je przy pewnej czarującej dziewczynie. I ona przyłapała mnie na nieznajomości punktacji. Posłuchaj uważnie. Jej się wydało, że przeczytałem to hasło tak: „Technika: w okresie odbudowy decyduje o wszystkim Stalin". Była wykształconą panienką, nie mogła ścierpieć mojego nieuctwa i podzieliła się swoim rozgoryczeniem z kim trzeba. Zawsze miałem złą wymowę i myślałem sobie — no, dostanę za to porządną naganę. Dostałem artykuł pięćdziesiąt osiem paragraf dziesięć — kontrrewolucyjna agitacja i propaganda. I tak dobrze — wyliczyli, że trzy lata mi wystarczą na nauczenie się ortografii. Tu się urządziłem nieźle: ekonomista w „Skupie Futer". Możesz być pewien, że z moim przybyciem ilość skupowanego futra się nie zmniejszyła. Ale, widać, na przyswojenie sobie znaków interpunkcyjnych w mieście Kańsku jest za tłusto. Z pierwszą partią, to znaczy razem z wami, wyruszam nad Angarę. Marzę o stanowisku rachmistrza w boguczańskim biurze „Skupu Futer". To, co będziemy chcieli osiągnąć, Sasza, jakiemuś moskiewskiemu frantowi może się wydać żałosne. Ale dla nas to oznacza przetrwanie.

Być może, Boris ma rację. Ale Sasza wybrał inną drogę. Pojedzie tam, gdzie go skierują, będzie mieszkał tam, gdzie wyznaczą. Starać się o coś — to znaczy — uznać prawo Djakowów do trzymania go tutaj. On im tego prawa nie przyznawał.

— Gdzie mieszkałeś w Moskwie? — spytał Boris.

— Na Arbacie.

— Też nieźle. A ja na Pietrowce, w domu, w którym jest magiel, wiesz gdzie?

— Wiem.

— Jak się domyślasz, młodość spędziłem w parku „Ermitaż". Pamiętam stamtąd kilka całkiem niezłych wieczorów. Ale, jak mawiał mój dziadek-cadyk... Wiesz, kto to jest cadyk? Nie wiesz. Cadyk — to jest ktoś pomiędzy mędrcem i świętym. Tak więc, mój dziadek-cadyk mawiał w takich razach: ginug. Co to znaczy jest „ginug" też nie wiesz? „Ginug" — to znaczy „dosyć", „starczy"... I teraz ja mówię: ginug wspomnień, ginug łez.

Rano gospodyni poszła do pracy, kiedy jeszcze spali. Śniadanie stało w piecu za żelaznymi drzwiczkami.

— Oto jest wielka zaleta prostych kobiet — rzekł Boris — przez co rozszedłem się z żoną? Nie chciała, widzisz, rano wstawać, nie chciała szykować mi gorącego śniadania. I co? Straciła męża. Zresztą, i tak by mnie straciła. Zatem udamy się do potężnego zjednoczenia „Skup Futer" załatwić zwolnienie. Na odprawę z powodu zwolnienia nie liczę, ale pismo do Boguczan od nich wyciągnę. Będziesz się golił?

— Nie.

— Posłuchaj mnie, Sasza, zgol brodę, po co ci ona? Zaraz wyjdziemy na ulicę i zobaczysz, jakie tu są dziewczyny.

Sasza już widział te dziewczyny. Były piękne — postawne jasnowłose Sybiraczki, mocne ciało, mocne nogi. Życie na Syberii jawiło mu się jako życie pustelnika, będzie się uczył francuskiego, angielskiego, ekonomii politycznej, trzy lata nie powinny być stracone na próżno. Teraz zwątpił. Zapewne nie tylko tym przyjdzie żyć.

— Żadnych kosmetyków, wszystko naturalne — mówił tymczasem Boris — etap za trzy dni, jeszcze się zabawimy. Ale, mój drogi, z taką brodą możesz siedzieć w domu.

— Nie chce mi się tu golić.

— Posłuchaj rady człowieka doświadczonego. Jesteś pierwszy dzień na zesłaniu, a ja trzeci miesiąc. Jeśli będziesz odkładać życie do tego dnia, kiedy wyjdziesz na wolność, to jesteś człowiekiem skończonym. Tylko w jeden sposób można się uchować — żyjąc tak, jakby się nic nie stało. Wtedy mamy szansę się wygrzebać.

Niski pokój, obity wypłowiałymi tapetami, na suficie bąble wzdętego białego papieru, pokrytego żółtymi zaciekami, za ścianą płacze dziecko. Ale pachnie wodą kolońską i pudrem. Dwa zwyczajne fryzjerskie fotele, fryzjerzy w białych fartuchach, chociaż w butach z cholewami, i mają takie same, jak moskiewscy mistrzowie grzebienia, surowo uprzedzające fryzjerskie twarze.

Mętne, porysowane lustro odbiło bladą twarz Saszy i czarną kręconą brodę, równą, jakby dopiero co podstrzyżoną.

— Zgolić zupełnie?

Fryzjer w zadumie szczęknął w powietrzu nożyczkami, potem zdecydowanym ruchem obciął brodę Saszy. Jej kosmyki spadły na nieświeżą narzutkę. Skrzeczała maszynka, policzki grzała ciepła mydlana piana, Sasza przypomniał sobie salon fryzjerski na Arbacie, jego zapachy, jasne światło, przedświąteczną krzątaninę.

— Czy to ty czy nie ty? — rozłożył ręce Sołowiejczyk. — Teraz jesteś nasz przystojniaczek — zdrowiuteńki.

Znowu szli po ulicy, Sasza śmiało spoglądał na dziewczęta, one patrzyły na niego.

— Jeśliby nas tu zostawili, uszlachetnilibyśmy miejscową rasę — rzekł Boris. — W Kańsku pełno jest zesłańców, byłoby jeszcze dwóch.

— Kogo zostawiają?

— „Li"... Zostawia-li. Chorych, wielodzietnych, bardzo starych... Uważa, idzie, tylko nie wytrzeszczaj na niego oczu, mieńszewik, jeden z liderów.

Zbliżał się do nich, opierając się na lasce, staruszek w palcie i kapeluszu, długie siwe włosy zwisały na kołnierz. Sołowiejczyk ukłonił się. Staruszek w odpowiedzi odkłonił się, niepewnie, jak się kłania człowiekowi, którego się nie poznaje. Potem poznał, uniósł kapelusz, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Idzie się odmeldować — wyjaśnił Boris, dumny, że staruszek odniósł się do niego z poważaniem — meldować się trzeba piątego i dwudziestego. Jak myślisz, ile ma lat?

— Sześćdziesiąt.

— A siedemdziesiąt dwa nie łaska? Tutaj zobaczysz różnych: mieńszewików, eserów, anarchistów, trockistów, lewicowych i prawicowych nacjonalistów. Są tu ludzie, w swoim czasie — znakomitości.

Sasza nigdy nie myślał, że w Związku Radzieckim jeszcze są mieńszewicy i eserzy. Trockiści — to już za jego pamięci. Ale ci? Czyżby nie rozumieli? Jeszcze na coś liczą... Dalej robią swoje? A może — nic nie robią?

Obiad jedli w stołówce „Skupu Futer", w niskiej półsuterenie z kwadratowymi stolikami bez obrusów. Za szerokim prostokątem okienka, w którym wydawano posiłki, była kuchnia: trzy duże aluminiowe rondle na blasze, nad nimi kłębi się para, przy niej kucharka o czerwonej twarzy z warząchwią w ręku.

— To jest zamknięta stołówka — objaśnił Boris — dla pracowników. Ale na osoby z zewnątrz patrzą przez palce — potrzebują gotówki. Mają swoją tuczarnię: świnie, króliki, drób. Połowa zesłańców tu się pasie. Jeśli ktoś ci powie, że to ja mu tutaj załatwiłem, możesz mu wierzyć.

Zobaczywszy Borisa, kucharka odłożyła warząchew wytarła ręce w fartuch, wyszła z kuchni.

— Barszcz mamy dzisiaj, Borisie Sawieljewiczu, boeuf Strogonoff z puree, jeśli pan poczeka, to podsmażę kartofle — nachyliła się nad nim — jest buteleczka krowiego.

— Proszę podsmażyć — wspaniałomyślnie pozwolił Boris.

— Wyjeżdża pan, Borisie Sawieljewiczu?

— Wyjeżdżam — zachmurzył się Boris. — Otręby przywieźli?

— Przywieźli, cztery worki, obiecali jeszcze jutro przywieźć. A kalkulację znowu źle zrobili: gulasz idzie o osiem kopiejek taniej. I ze zdunem nie załatwili, kuchnia dymi, oczy bolą.

Rozmawiała z nim, jak z człowiekiem, przy którym wszystko szło dobrze, a jak tylko wyjedzie, zacznie się bałagan. I Boris całym swoim zachowaniem dawał poznać, że tak właśnie nie powinno być, ale jest mu miła świadomość że, chociaż już teraz jest tu nikim, jak dawniej okazują mu szacunek.

— Rozgadałam się, a wy jeść chcecie — poderwała się kucharka.

— Zanim ja tu nastałem — powiedział Boris — w stołówce pracowało pięć osób, a teraz dwie: pomoc kuchenna no i ona. Kucharka jest jednocześnie kasjerką, kelnerką i kierowniczką. Zresztą, stołówka to drobiazg. Mógłbym ci opowiedzieć, co tu zdziałałem przez dwa miesiące. Ale teraz to już nikogo nie obchodzi. Nie ma ludzi niezastąpionych: dzisiaj jestem ja, jutro będziesz ty. Chociaż, jeśli się głębiej zastanowić, to te słowa są bez sensu. Jeżeli w bibliotece nie ma Puszkina, mogę zastąpić go Tołstojem, ale będzie to Tołstoj, nie Puszkin. Na moje stanowisko przyjęli kogoś innego, ale to już będzie inny Puszkin.

Do stołówki wszedł nieśmiało malutki człowieczek. Młody, ale przygarbiony, kaszkiet ze złamanym daszkiem, długa obszarpana kurtka nałożona na brudną koszulę, brakuje guzików, buty przydeptane. Niezgrabne watowane spodnie wiszą workowato wypchnięte na kolanach, dyndają tasiemki.

— A, Igor — powitał go Boris — No, chodź tu, podejdź.

Igor podszedł, uśmiechając się nieśmiało. Sasza zobaczył błękitne oczy, cienką białą szyję.

— Czapkę zdejm — stołówka — powiedział Boris.

Igor zmiął w rękach kaszkiet, jasne, dawno nie strzyżone, nie myte włosy sterczały na wszystkie strony.

— Co słychać? — spytał Boris.

— Nic, dobrze — Igor odsłonił w uśmiechu rzadkie zęby.

— Dobrze — to dobrze. A nic — to nic. Znowu wylali?

— Nie, dlaczego? Nie puszczają z ekspedycją.

Było coś szczególnego w jego przyjemnym, inteligentym głosie, ale co mianowicie, Sasza nie mógł określić. Głos ten pozostawał w pamięci.

— Igor pracował w biurze spisowym — wyjaśnił Boris — praca nie wymagająca geniuszu: wymierzać budynki, kreślić plany, i akordowa — można dobrze zarobić. Ale mąż ów się leni, przynosi rysunki z tłustymi plamami. Czyżbyś miał masło, Igor? No to smaruj nim chleb, a nie rysunki. A to, że cię nie puszczają z ekspedycją zalewasz: połowa partii zostaje w Kańsku, i ty też mógłbyś zostać, gdybyś był człowiekiem.

Igor uśmiechnął się z wyrazem winy, miął w rękach kaszkiet.

— No dobrze — skończył Boris swoje nauki. — Chcesz jeść? Oczywiście — tak. Pieniądze masz? Oczywiście — nie.

— Powinienem na dniach dostać za osiem rysunków.

— O tych ośmiu rysunkach słyszę dwa miesiące...

Boris krzyknął:

— Mario Dmitrijewna, proszę dać jeść Igorowi, zapłacę.

Kucharka ponuro wysunęła z okienka talerz barszczu i kawałek chleba. Igor wepchnął kaszkiet do kieszeni, ścisnął pod pachą chleb i poszedł do odległego stolika, niepewnie trzymając talerz obydwiema rękami.

— Kto to taki? — zapytał Sasza.

— Wyróżniająca się tu osobistość, malowniczy typ. Poeta. Syn białego emigranta. W Paryżu stał się zajadłym komsomolcem, przyjechał do ZSRR i cóż, proszę bardzo, jest już w Kańsku.

— Za co?

— Zadajesz naiwne pytania. Tępimy bunt w zarodku. Jeżeli opowiedziałem niestosowną anegdotę, to znaczy, że bieg moich myśli jest określony i w sprzyjających warunkach jestem zdolny do antyradzieckich poczynań. Ty wypuściłeś niesłuszną gazetkę ścienną, jutro wydasz pismo podziemne, pojutrze ulotki. To jest nawet humanitarne: za gazetkę ścienną dali ci trzy lata, a za ulotki przyszłoby rozstrzelać — uratowali ci życie. Igor wyrósł w Paryżu, syn emigranta, czyli człowieka, który ucierpiał z powodu rewolucji, można się po nim spodziewać wszystkiego. To znaczy, że należy go izolować w jego własnym interesie.

Igor siedział w kącie, pośpiesznie jadł.

Patrząc na niego, Boris powiedział:

— Prosty człowiek sam po sobie sprząta i dlatego zawsze pozostaje człowiekiem. Arystokrata przywykł, żeby po nim sprzątali i jeśli sprzątacza nie ma, staje się bydlęciem. Monsignor nie raczy pracować, dojada resztki w stołówkach, z mieszkania go wyrzucają — niechluj. Napożyczał od wszystkich pieniędzy, nikomu nie oddaje. No, a jak sam wiesz, pomiędzy zesłańcami nie ma krezusów. Ale to sami zesłańcy go zepsuli: cackali się z nim, jak ze zgniłym jajem. Poeta — to mało powiedziane. Z Paryża. Paryż. Francja. Trzej muszkieterowie. Dumas-ojciec. Dumas-syn... Tylko mnie się boi: ci, którzy się z nim cackali, żyć nie dają, a ja daję. Musi znosić moje reprymendy, chociaż w duszy mną pogardza jako plebejuszem i chamem. I teraz ja wyjadę nad Angarę, a on beze mnie zdechnie z głodu. Ale najlepsze jest co innego. On czeka na swoją Dulcineę. Jeśli przyjdzie, czeka cię widowisko, jakiego nigdy nie widziałeś i nie zobaczysz. Lecz oto i ona.

Do stołówki weszła kobieta mniej więcej trzydziestoletnia, uderzającej urody, majestatyczna bogini o wyraziście zarysowanych dużych zaciętych ustach. Spokojnym spojrzeniem objęła stołówkę, obojętnie skinęła Borisowi, ten z pełną opanowania godnością skłonił głowę. Potem dojrzała Igora, pochylonego w kącie nad talerzem.

— Taki kundel i taka kobieta — wymamrotał zdruzgotany Boris.

— Kto to jest?

— Przyjechała z Leningradu, poszukuje zesłanego męża, no i zakochała się w tym strachu na wróble. Codziennie tu siedzą, on jej czyta wiersze, a ona patrzy na niego, jak na portret Doriana Greya.

Kobieta opowiadała coś Igorowi, ten chichotał, zbierał okruchy ze stołu i wrzucał do ust. Potargany, zagoniony, niczym nie pociągający młody człowiek. Potem kobieta wstała, podeszła do okienka, kucharka z takim samym niezadowoleniem podała jej talerz barszczu. Igor poderwał się, chciał pomóc — i siedział dalej. Kiedy kobieta znowu poszła — po chleb i sztućce — znowu ruszył się, żeby iść za nią, ale zawrócił.

Jadła, teraz on coś opowiadał, twarz miał młodą i jednocześnie zniszczoną. Słuchała, czasem kiwała głową. Potem przyniosła drugie, pół przełożyła sobie na talerz po barszczu, resztę podsunęła Igorowi.

— Obżartuch! — irytował się Boris. — Może jeść od rana do nocy, zabierać kochanej kobiecie. Ludzie i w gorszych warunkach nie przestają być ludźmi. A ten paryski bulevardier czym się stał! I nie myśl, że jest taki bezpośredni. Nie. To jest bezczelny cynik, w duchu śmieje się nad tym, kogo oskubuje. Pasożyt. Lituje się nad sobą, a litować się na sobą to znaczy nie mieć litości dla innych, to mówił jeszcze mój dziadek-cadyk. Przyjechał do ZSRR. Myślał, że uczynił wielki zaszczyt Związkowi Radzieckiemu, a tutaj, jak się okazało, trzeba pracować. Nie chciał pracować i społeczeństwo wypchnęło, wycisnęło go z siebie.

Uśmiechając się, Sasza powiedział:

— Lepiej byłoby go wycisnąć z powrotem do Paryża.

Kobieta tymczasem skończyła jeść, odsunęła talerz, oparła łokcie na stole, przycisnęła podbródek do rąk i patrzyła na Igora.

A on napuszył się, oparł się mocniej plecami o krzesło i zaczął mówić...

Recytował wiersze, nie podnosząc głosu, do Saszy dochodziły tylko pojedyncze słowa: krzyżowcy, mury Jerozolimy, żółty piasek, palące słońce, kobiety, czekające na rycerzy, którzy nigdy nie powrócą.

— Jak ci się to podoba? — spytał Boris półgłosem. — Dzielni rycerze i czarujące damy. No, jak? W Kańsku, w jadłodajni „Skupu Futer"?.

Rzeczywiście śmieszne. Ale jednak sytuacja ta miała jakiś urok — nieobecna twarz Igora, głębokie spojrzenie pięknej kobiety.

Sasza stłumił w sobie nagłe rozdrażnienie. Zrodziła je nietolerancja, w której był wychowany.

Borisowi powiedział:

— Bądźmy wyrozumiali.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

# Polemiki • Listy • Opinie

**Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.**

## „NA OKO WSZYSTKO GRA"

W nawiązaniu do artykułu redaktora Romana Kubiaka zamieszczonego na łamach Waszego tygodnika z dnia 12 września br. nr 37(1537) Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa wyraża głębokie ubolewanie co do sposobu potraktowania incydentalnego przypadku (jeden na 11,5 tys. członków zasiedlonych), wystąpowania nieprawidłowości wynikłych nie z winy naszej Spółdzielni. Tendencyjne przedstawienie szeregu faktów wytworzyło fałszywy obraz co do wielkości zagrożenia oraz sposobu rozwiązywania niezawinionego przez Pabianicką Spółdzielnię Mieszkaniową problemu, sugerując brak troski o swoich członków, bezduszność administracji, a nawet świadome działanie na szkodę schorowanych emerytów, co delikatnie mówiąc rozmija się z prawdą. Natychmiast po podjęciu decyzji co do wymiany podłogi przez ŁKB „Północ" Spółdzielnia zaproponowała ustnie Obywatelom Koniuszy mieszkanie w nowo oddanym budynku na Osiedlu Bugaj. Ob. Ob. Z. i L. Koniuszy odmówili przyjęcia nowego mieszkania żądając lokalu mieszkalnego z odzysku w śródmieściu Pabianic i Osiedlu Żukowa położonego na I piętrze. Z uwagi na stanowisko Obywateli Koniuszy oraz brak odpowiednich uzysków lokali w wyżej wymienionych rejonach miasta Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej do chwili obecnej nie ma możliwości spełnienia tych żądań. Z chwilą zwolnienia się lokalu odpowiadającego stawianym przez wyżej wymienionych wymogom zostanie on niezwłocznie przydzielony Obywatelom Zdzisławie i Ludwikowi Koniuszy.

**mgr inż. JACEK VOGTT**
**Z-ca prezesa ds. eksploatacji**

**Mimo spodziewanego tonu, dziękuję kierownictwu Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej za to, że wreszcie — po miesiącu zwłoki — raczyło odpowiedzieć na krytykę prasową podjętą w reportażu pt. „Na oko wszystko gra". Niestety, aby od Spółdzielni wyegzekwować jej określony przepisami obowiązek potrzebne były interwencje Rzecznika Prasowego Prezydenta Łodzi, Prezydenta Miasta Pabianic (dwukrotnie) oraz moje prośby i nalegania. Tradycja takiego właśnie załatwiania pilnych spraw metodą permanentnego ignorowania jest właściwa PSM i dobrze mi znana. Ona właśnie stanowi treść wzmiankowanego reportażu. Podobnie jak haniebna praktyka dalece wstecznego datowania pism i dokumentów sygnowanych przez PSM, a będących częstokroć wymuszoną wręcz odpowiedzią na prośby i skargi obywateli, choć praktykę tę w dziecinny sposób demaskują datowniki pocztowe. Oświadczam, iż podtrzymuję wszystkie swe zarzuty zdecydowanie stojąc po stronie obowiązującego prawa, czyli potwierdzonych racji państwa Zdzisławy i Ludwika Koniuszy.**

**Pan wiceprezes Jacek Vogtt twierdzi, że opisany przypadek poważnego zagrożenia zdrowia i życia mieszkańców bloku przy ulicy Nawrockiego 7a w Pabianicach spowodowany wydzielaniem się spod podłogi groźnych substancji toksycznych, ma charakter incydentalny: „Jeden na 11,5 tys. członków zasiedlonych". Otóż, potrafię dowieść, iż w chwili redagowania owego twierdzenia Pan wiceprezes musiał wiedzieć, że lotne substancje toksyczne wykryto już w 12 lokalach rzeczonego bloku i zachodzi mocno uzasadniona obawa stopniowego ujawniania dalszych tego typu przypadków.**

**Fakty zaprezentowane w reportażu nie są bynajmniej tendencyjne, lecz zostały starannie udokumentowane i zebrane w ciąg chronologiczny. Ich ocena również nie jest dziełem autora publikacji, tylko fachowym orzeczeniem służb oraz instytucji bardziej w tych kwestiach kompetentnych ode mnie i spółdzielni mieszkaniowej. Nadmieniam, iż zagrożenie zdrowia mieszkańców lokalu nr 23 jasno udowodnił Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny w Łodzi po przeprowadzeniu wizji lokalnej 28 maja 1987 roku.**

**Obowiązek wykwaterowania mieszkańców z toksycznych pomieszczeń został nałożony na PSM już 10 lipca 1987 roku. Decyzję taką wydał Architekt Miejski, nakazując jej wykonanie w terminie natychmiastowym! Spółdzielnia — mimo upływu 3 miesięcy — polecenia owego nie wykonała i chorzy emeryci nadal przebywają w toksycznym mieszkaniu, a stan ich zdrowia systematycznie pogarsza się. Ludzie ci słusznie domagają się przydziału lokalu spełniającego wymogi tzw. mieszkania zdrowotnego, gdyż mają do niego prawo. Nawiasem mówiąc, toksyczny lokal był im przyznany właśnie jako mieszkanie zdrowotne.**

**Ośmielam się twierdzić, że takie postępowanie administracji jest naruszeniem prawa i jawnym igraniem ze zdrowiem i życiem dwojga bardzo chorych ludzi.**

**Państwu Z. i L. Koniuszy, którzy w swej bezradności zwrócili się o pomoc do redakcji „Odgłosów", składam obietnicę, że podejmę dalsze interwencje prowadzące do rychłego położenia kresu ich dramatycznej sytuacji.**

**ROMAN KUBIAK**

## ŹLE SIĘ DZIEJE NA KOLONIACH

Jestem lekarzem pediatrą z I stopniem specjalizacji, zatrudnionym w szpitalu im. J. Korczaka należącym do Specjalistycznego ZOZ Matki i Dziecka w Łodzi. W ramach mojej pracy zostałem oddelegowany (decyzje zapadły w czerwcu br.), aby objąć opieką zdrowotną dzieci na koloniach zdrowotnych zorganizowanych w Nętnie k/Drawska Pomorskiego w terminie 27.07.—21.08.87 r. Na zebraniu organizacyjnym w dniu 24.06.87 r. (nie byłem obecny ze względu na powołanie na tygodniowe przeszkolenie wojskowe) ustalono, że kierownikiem obydwu turnusów w Nętnie będzie mgr Ciesielczuk (dyrektor jednej z widzewskich szkół podstawowych). Z nim też w czerwcu ustaliłem, że stawię się 27.07 bezpośrednio w Nętnie, aby objąć opieką lekarską dzieci i jednocześnie tam na miejscu podpiszę umowę. Jednocześnie uzyskałem od niego jako kierownika zgodę i zapewnienie, że będę mógł zabrać na kolonie swoje 4 i półletnie dziecko wraz z żoną (nauczycielką), płacąc oczywiście za ich wyżywienie. Po tych uzgodnieniach dn. 27.07. o godz. 15.00 stawiliśmy się w szkole w Nętnie. Po przedstawieniu się i kilkunastominutowym oczekiwaniu otrzymałem (od pani, która okazała się sprzątaczką, a która mnie przyjęła) klucz od gabinetu zabiegowego, w którym panował trudny do opisania bałagan; na dwóch łóżkach porozrzucana brudna pościel, kłęby kurzu na podłodze, brudny zlew, porozrzucane tabletki na brudnym stoliku i podłodze. W takich warunkach przyszło mi oczekiwać na rozmowę z kierownictwem. Po następnych kilkunastu minutach oczekiwania zjawił się kierownik (p. Ciesielczuk) twierdząc, że niestety on na drugim (tzn. sierpniowym) turnusie nie jest już kierownikiem i że ustalenia, które miały między nami miejsce w Łodzi są niestety nieaktualne i on nic nie może mi pomóc. Pobyt nasz będzie więc zależał od decyzji nowej p. kierownik (p. Posmyk). Na nią przyszło mi jeszcze oczekiwać kilkanaście minut, ponieważ miała przyjechać razem z dziećmi. Tak się też stało. Ale pani kierownik po przyjeździe, mimo dwukrotnych moich prób porozmawiania z nią, odkładała rozmowę twierdząc, że jest bardzo zajęta i prosiła, abym czekał na jej przybycie w opisanym wyżej pokoju. Po około 15 następnych minutach zjawiła się z pytaniem na ustach „No i co ja teraz z panem zrobię?". Widząc moją zdziwioną minę dodała, że nie umawiała się ze mną na przyjazd żony i dziecka i nie widzi możliwości, aby pozostali oni na terenie budynku kolonijnego. Zapytałem dlaczego więc po zmianie decyzji dotyczącej kierownictwa (która zapadła według ich słów jeszcze w czerwcu) nie zostałem powiadomiony o tym fakcie, ze względu oczywiście na układy rodzinne (tzn. że mogę przyjechać jedynie ja). Jest sprawą uznaną i oczywistą, a także świadczącą o kulturze człowieka — mówię — że strona nie mogąca dotrzymać umowy winna powiadomić o tym fakcie stronę przeciwną. Odpowiedź kierownika była szybka i zaskakująca: „Petent do ministra, czy minister do petenta?" A więc ja miałem chyba się domyślić, że zaszły duże zmiany w kierownictwie. Zaskoczenie moje jest coraz większe. Proponuję wobec takiego postawienia sprawy przez kierownictwo, aby powierzyć żonie funkcję, np. K.O (nieodpłatną) ewentualnie podobną (żona jest nauczycielką), a zamieszkałaby w moim pokoju. Słyszę na to, że funkcji takiej nie dostanie, a na zamieszkanie w moim pokoju zgody nie wyrazi sanepid. „A czy zgodzi się na takie warunki jakie panują w tym pokoju mi przydzielonym? — pytam. „Po pierwsze — odpowiada kierowniczka — nikt panu nie przydzielał pokoju, a poza tym jak się panu nie podoba, to może pan sobie posprzątać!". Zaskoczenie moje jest jeszcze większe. Pytam o apteczkę. Kierownictwo zobowiązane jest do zapewnienia na dzień otwarcia kolonii apteczki, której wykaz posiada każdy kierownik kolonii. Wykaz uzgodniony i zatwierdzony przez Ministerstwo Zdrowia. W momencie przybycia dzieci powinienem mieć możliwość udzielenia pomocy w przewidzianym przepisami zakresie, a apteczkę ewentualnie w niewielkim stopniu uzupełnić. Stąd moje pytanie o apteczkę. Kierowniczka na to: „Apteczka? Jaka apteczka? Tutaj dzieci nie chorują". Coraz bardziej więc zdaję sobie sprawę z faktu, że nie zostanie nawiązane między p. kierowniczką a mną porozumienie. Pytam spokojnie, co uczyniłaby p. kierowniczka w mojej sytuacji, gdyby w takiej się znalazła. Kierowniczka z rozbrajającym uśmiechem, który nie pozwalał na wątpliwości co do dużej bezczelności tej pani — odpowiedziała: „Ja bym się w takiej sytuacji nigdy nie znalazła".

Wyjazd mój na kolonie z żoną i dzieckiem był uzgodniony wcześniej ze względu na konieczność mojego stałego przebywania z żoną (względy zdrowotne). Nie mogłem więc pozostać sam na koloniach i wobec jednoznacznego postawienia sprawy przez kierowniczkę powiadomiłem ją o mojej rezygnacji z funkcji lekarza kolonijnego. Rezygnacja moja została przyjęta z nieumiejętnie ukrywaną radością. Potwierdziło to jeszcze bardziej moje przekonanie, że jestem obcą i niepożądaną osobą na koloniach, osobą, której trzeba się pozbyć nie zważając na sposób. Tak więc mój pobyt na koloniach trwał aż 3,5 godziny, bowiem o 18,30 wyjechałem do Łodzi. Poza tym, te trzy tygodnie spędzone wśród bezczelnych i nieodpowiedzialnych ludzi nie byłyby chyba przyjemne. Zostawiłem na miejscu zgrane, pozbawione skrupułów i na pewno zadowolone z załatwienia sprawy kierownictwo zobowiązane przeze mnie do zapewnienia dzieciom opieki zdrowotnej. Zobowiązanie potwierdzone na piśmie. Na moją propozycję, że przyjedzie inny lekarz na moje zastępstwo odpowiedziano mi: „Nie ma potrzeby, mamy dobre układy z miejscowym felczerem, poradzimy sobie". Pytam więc jakie porządki panują w oświacie, że na koloniach zdrowotnych traktuje się lekarza jako intruza i osobę niepożądaną? Czyżby kierownictwo obawiało się zaglądania w jadłospis i garnki, oraz sprawdzenia czystości, do których to działań lekarz kolonijny jest zobowiązany? Dlaczego na koloniach zdrowotnych rezygnuje się świadomie z opieki lekarza pediatry i pozostawia się dzieci opiece miejscowych felczerów dochodzących na kolonie raz na jakiś czas? (o podjęciu takich kroków powiadomiła mnie kierowniczka po mojej rezygnacji).

Jak długo jeszcze odpowiedzialne stanowiska w oświacie i kulturze będą zajmować osoby nieodpowiedzialne i swoim zachowaniem dające dowód braku kultury? Czy bezczelność będzie się dalej szerzyć bez przeszkód?

Dlaczego na turnusie u jednego kierownika można pozostać z rodziną, a u drugiego już nie?

Czego nauczą się nasze dzieci w szkołach skoro dyrektorzy szkół (bo takie funkcje piastują na co dzień wymienione osoby) zamiast świecić przykładem dają dowód żenującego prostactwa? Dlaczego lekarz, który na koloniach zdrowotnych jest osobą nie mniej ważną niż kierownik, nie może tam przebywać z żoną i dzieckiem, podczas gdy inni pracownicy przyjechali jawnie całymi rodzinami? Dlaczego dzieci personelu mogły zostać na koloniach nawet jeżeli przekroczyły limit wieku, a dziecko lekarza nie?

Dlaczego funkcje kierowników, intendentów, ich zastępców itd. są przydzielone członkom rodzin (mąż, żona, córka, itp.), tak jak to miało miejsce na opisanym turnusie, dając tym samym możliwość przeróżnych nadużyć? Jak kierownictwo rozliczy się z funduszu przeznaczonego na zakup leków skoro apteczka nie została wykupiona?

Czym wytłumaczy oświata, jako organizator, przewożenie chleba dla dzieci w przyczepie samochodowej odkrytej, bez żadnego zabezpieczenia przed warunkami atmosferycznymi, kurzem, i bez pojemników? Dlaczego kucharka pracowała bez fartucha, w brudnym dresie, bez czepka na włosach, przygotowując posiłki dla dzieci? (Fakty te widziałem sam w ciągu tych 3,5 godziny pobytu na koloniach — a co działo się przez następne 21 dni?). Kto zwróci mi pieniądze za zużyte niepotrzebnie 50 litrów benzyny (przejazd samochodem Łódź — Nętno — Łódź)?

Szczęśliwie była tego dnia (27.07) w Nętnie dr Łuczkowska ze stacji Pogotowia Ratunkowego Łódź-Polesie. Przywiozła tam swoje dziecko, jako uczestnika kolonii. Została potraktowana w sposób podobny jak i ja. Była świadkiem tego wszystkiego, co opisałem i gotowa jest to wszystko poświadczyć. Pytania te można by mnożyć jeszcze dosyć długo pytając o przeróżne fakty, które zaistniały, ale pewnie większość z tych pytań pozostałaby bez odpowiedzi. Nie wydaje mi się jednak, że możemy przymknąć na to wszystko oczy i pozwolić, aby wychowanie młodego pokolenia spoczywać mogło dalej w rękach takich przedstawicieli oświaty, aby przymknąć oczy na warunki, jakie przygotowuje się dla naszych dzieci na koloniach. Dzieje się źle w zakresie kolonijnego wypoczynku dzieci już od kilku lat i każdy głos w tej sprawie powinien być brany pod uwagę. Nie nabierajmy wody w usta, gdy czas najwyższy aby odezwać się donośnym głosem.

**ANDRZEJ SAGAN**

## KTO ZAŁOŻYŁ „TIGER-RAG"?

Zamieszczony w ostatnim numerze „Odgłosów" z dnia 8 października artykuł red. Andrzeja Karolczaka pt. Ośmiu muzyków w jednej taksówce, czyli jak „Tiger-Rag" wyzwalał diabła, wyzwolił go również we mnie. Przeczytałam w nim więcej o karierach nie tylko muzycznych, ale również o osiągnięciach zawodowych dwóch panów, którzy grali przez jakiś czas w zespole jazzowym „Tiger-Rag".

Nie mogę pogodzić się z faktem, że wyżej wymienieni panowie wypowiadali się o zespole jako „swoim" sugerując czytelnikowi, że stanowili podstawowe filary tego zespołu, pomijając jednocześnie a raczej jednogłośnie istnienie założyciela i kierownika tego zespołu, perkusisty Andrzeja Orłowskiego. Był on również głównym założycielem klubu jazzowego „Storyville", przy KŁ ZMS. Dane powyższe potwierdzić mogą byli I sekretarze KŁ ZMS: Stanisław Gajek, Ignacy Gajewski, Zdzisław Pakuła, Stanisław Jeż.

Muzycy tego zespołu zmieniali się przez 11 lat jego istnienia dość często, ale zespół istniał, rozgrzewał naszą młodzież i przysparzał chwały miastu, dzięki niezwykłej wytrwałości, pracy i oddaniu kierownika, dla którego był życiową pasją.

Szkoda, że A. Karolczak nie zaczął rozmowy z A. Orłowskim, dla którego ustalenie daty powstania i rozwiązania zespołu nie sprawiłoby trudności, a z czym R. Hunger poradzić sobie nie mógł, grając zbyt krótko w tym zespole.

Założyciel i kierownik zespołu żyje! Mieszka w Łodzi na ul. Mochnackiego 9/13 m. 49, tel. 84-57-79. Posiada: plakaty, dyplomy, zdjęcia i recenzje, ceni sobie bardzo te pamiątki — wbrew temu co mówi Andrzej Makowiecki. Jako wieloletnia obserwatorka wszystkiego co związane z „Tiger-Ragiem" i potem tej niezrozumiałej, długiej zmowy milczenia, przerwanej w 1986 roku przez Witolda Afelta, który wyszperał gdzieś nagrania tego zespołu i zrobił serię programów radiowych, przyznaję, że doznałam szoku czytając ten zaskakujący i niesmaczny artykuł podmylącym tytułem.

**BARBARA ORŁOWSKA-MAKOWIECKA**

## „TO NAM SIĘ NIE PODOBA"

W nafiązaniu do umieszczonej w Waszym tygodniku z dn. 12.09.br. fotografii przedstawiającej szyld kawiarni „Marysieńka" na którym to szyldzie w nazwie kawiarni występuje błąd ortograficzny wyjaśniamy co następuje:

Nowy szyld dla kawiarni „Marysieńka" jest już zamówiony i będzie wykonany do dnia 17.10.br.

Szyldy nie są wykonywane przez nasz Oddział, lecz wykonują je jednostki zewnętrzne na nasze zamówienie. Szyld przy omawianej kawiarni był bardzo stary, o czym świadczy napis w kolorze czerwonym (obecnie napisy są w kolorze niebieskim) i był prawdopodobnie odświeżany przez agenta we własnym zakresie i wtedy mógł powstać błąd w napisie, jednakże winą naszą jest, iż nie zwróciliśmy na ten fakt uwagi.

**MONIKA PEREK**
**Prezes Zarządu**
**Oddziału Gastronomii**

## GŁOS MAJĄ CZŁONKOWIE GRUPY „CENTAURO"

Niejakie zdziwienie wywołała w nas publikacja, w czasopiśmie społeczno-kulturalnym, listu A. Krakowskiego (Odgłosy z dn. 10 bm.), w którym w sposób niewybredny i zgoła niepoważny wypowiada się o działalności grupy „CENTAURO".

Wypowiedź A. Krakowskiego nie kwalifikuje się do polemiki na łamach prasy. Przedstawione zarzuty są fałszywe, dlatego jesteśmy gotowi podjąć dalszą dyskusję na innej płaszczyźnie, np. prawnej.
Łódź 1987.10.12

**Członkowie grupy literackiej „CENTAURO":**
**BOŻENA PAWEŁCZYK**
**DOROTA SOBIERAJSKA**
**TADEUSZ WIBIG**
**WOJCIECH KĄDZIELA**

## W IMIĘ EKUMENIZMU I TOLERANCJI...

Ostatnio parafia na Julianowie pozazdrościła miejskiemu zegarowi i „Prząśniczce" na Placu Wolności. Sprawiła sobie bowiem aparaturę, która przynajmniej kilka razy dziennie (dokładnie nie wiem, bo jeszcze pracuję dla siebie i PRL i nie zawsze jestem w domu) o tak zwanej „pełnej godzinie" odtwarza pieśń kościelną na chwałę... ...no mniejsza, na czyją chwałę. W każdym razie dostatecznie głośno, aby było to słyszalne w promieniu przynajmniej pół kilometra, a przy sprzyjającym wietrze — chyba i dalej.

Tak tedy, a może jestem karaimem, mahometaninem, buddystą lub niewierzącym — „wciska" mi się do głowy regularnie pewne treści określonej religii. I w przeciwieństwie do legalnej propagandy, którą też nie każdy może lubić — nie jestem w stanie tej działalności wyciszyć, bo nie mam guzika dla wyłączenia aparatury.

Już swego czasu miałem wątpliwości, czy wyprowadzanie na zewnątrz kościołów głośników, z których płyną słowa kazań duszpasterskich, zajmujących się przede wszystkim kwestią uciśnienia kościoła katolickiego w Polsce jest zgodne z moją swobodą wyznania, zawarowaną zresztą Konstytucją. Tak więc nie nie rozumiem: „Święta" Solidarność z krzyżami z kwiatów przed kościołami, „święci" księża — męczennicy, którzy zajmowali się i nadal zajmują wszystkim, tylko nie duszpasterstwem, a teraz na dokładkę „święte" melodie emitowane przez elektroniczną aparaturę.

Jak raz przypomina mi się podróż do Warszawy, kiedy to w pociągu trafiłem na grupę świadków Jehowy, udających się na pierwszy oficjalny zjazd tej sekty na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Oni też niby nikogo nie zmuszali do przyjęcia swoich poglądów, ale jazgot był taki i w przedziałach, i na korytarzach, że normalny człowiek nie mógł się oddać swoim rozmyślaniom...

Grunt to tolerancja! A polega ona na tym, aby się ze mną zgadzać. Nie odwrotnie!

Nie pozostaje chyba nic innego, jak wetknąć sobie w uszy odpowiednie tamponiki! Bo pod wezwaniami, że kler katolicki, a zresztą i inne wyznania nie mają w Polsce możliwości działania — nie podpiszę się! Wręcz przeciwnie — coś mi się wydaje, że walka o uzewnętrznienie działań i o „rząd dusz" wzmaga się! Chciałoby się rzec: „Mój Boże — żeby to za tymi pozorami szła również rzeczywista postawa..."

Ale jak to kiedyś napisał jeden z naszych pisarzy: „Wesoła teoria i smutna praktyka?".

**W.A.**
**(nazwisko i adres znane redakcji)**

■

Co to była socjalistyczna opozycja demokratyczna? (2)

# Trudny okres miesięcznika „Nowyj Mir"

**Część II artykułu Jurija Burtina „Do was z innego pokolenia" który ukazał się 8 marca w miesięczniku „Oktiabr".**

Do 1964 r. „NOWYJ MIR" był pismem, które dość szybko określiło swoją pozycję, jako czołowy organ demokratycznej odnowy społeczeństwa radzieckiego: było to pismo, które z największą konsekwencją, wyrazistością i w pełni wcielało w życie linię polityczną XX Zjazdu KPZR. Mówiąc o konsekwencji, trzeba pamiętać, iż nie chodziło tu o jakąś szczególną ocenę i głębokość teoretycznej analizy procesów rozwoju naszego społeczeństwa — taką analizą nasza myśl społeczna, niestety, nie dysponuje do tej pory. Konsekwencja była jednak widoczna co najmniej w trzech innych kierunkach działania: po pierwsze — w krytycznym przedstawieniu i artystycznym ukazywaniu drogi, jaką przeszedł kraj. Pod tym względem żaden inny organ prasowy nie poszedł tak daleko; nie powiedział tak dużo gorzkiej i surowej, ale koniecznej prawdy o epoce stalinowskiej, jak pismo Aleksandra Twardowskiego. Po drugie — konsekwencja znajdowała wyraz w upowszechnianiu trzeźwego, krytycznego podejścia do rzeczywistości (w odróżnieniu od tego godzinowego sprzedajnego piśmiennictwa, które gotowe jest rozliczać martwego tyrana, ale podnosi syreni śpiew, kiedy chodzi o dzień dzisiejszy). Po trzecie wreszcie — pismo odznaczało się bezkompromisowością w walce z ówczesnymi siłami hamującymi postęp, siłami, które były nadal wpływowe i które przygotowywały się do rewanżu. Walka z nimi powoli stawała się podstawowym zadaniem krytycznego okresu w historii „NOWEGO MIRU".

Po 1964 r., kiedy sytuacja uległa radykalnej zmianie, a krytyka „kultu jednostki i jego następstw" została wstrzymana, wszystkie pozostałe nasze pisma i gazety — jedne szybciej i z większą radością, jeszcze inne wolniej i z mniejszym entuzjazmem — jednakowo zarejestrowały dokonany odwrót i starały się go umocnić. W takich warunkach „NOWYJ MIR" Aleksandra Twardowskiego jeszcze przez ponad 5 lat był jedynym radzieckim pismem, które w pełni pozostało wierne poprzedniemu programowi politycznemu. Przez cały ten okres, przełamując coraz bardziej uporczywe sprzeciwy i odpierając ze wszystkich stron ciosy i ataki — pismo w dalszym ciągu walczyło przeciwko biurokratycznej restauracji, o pogłębienie i rozwój idei XX Zjazdu oraz o demokratyczną świadomość społeczeństwa. „NOWYJ MIR" walczył o prawdę i padł w tej nierównej walce, nie cofając się ani o krok.

## JAKI JEST SENS SŁÓW: PARTYJNY I OPOZYCYJNY?

W swoim czasie w prasie zagranicznej wielu specjalistów porządnie łamało sobie głowę, jak określić pozycję społeczną Aleksandra Twardowskiego — poety i redaktora. Czy była ona „partyjna", czy też „opozycyjna"? Jeśli „partyjna", to dlaczego niektóre z jego poematów i utworów nie są drukowane przez 9 lat, a inne — przez 18? Dlaczego kierowane przez niego pismo poddawane jest zmasowanemu atakowi i oblężeniu, a następnie zdobywane, według wszelkich prawideł sztuki wojennej — stosując pozorowane, oszukańcze manewry, wysadzając desant itp.? Czyżby więc była to opozycja? — Ale w takim razie dlaczego właśnie wiersze Aleksandra Twardowskiego o Leninie są tymi, których uczy się w szkole i dlaczego również w ostatnich utworach pisze on o Leninie tak samo i tak wiele, jak przed 10, 20 i 30 laty?

Czy była to więc opozycja? — na tak postawione pytanie nie udzielono przekonywającej odpowiedzi i jest sprawą zrozumiałą dlaczego. Błąd tkwił w fałszywym postawieniu problemu. Nieporozumienie miało charakter czysto logiczny i polegało na przyjęciu błędnego założenia wyjściowego, że pojęcia „partyjność" i „opozycyjność" są nie do pogodzenia i wzajemnie wykluczają się. Zamiast tego najpierw należał postawić pytanie: partyjność, ale jaka? Czy taka, o której mówi się w wierszach Aleksandra Twardowskiego? Czy też taka, która zmuszała człowieka do tego, aby wyrzekał się swoich przekonań i sumienia, podporządkowując je jakiejś wyższej, nadrzędnej woli, która rzekomo od początku i zawsze pozostaje bezgrzeszną? Czy miała to być partyjność, wymagająca by w imię celu, który nie podlega dyskusji — pozostawać radośnie ślepym i z uniesieniem poddawać się tej wyższej woli? A może odwrotnie — chodziło o partyjność opartą na zupełnie innych zasadach i normach, na demokratycznej świadomości, na suwerenności i odpowiedzialności jednostki, która działając i żyjąc dla wspólnego dobra, postępuje jednak zgodnie z własnymi przekonaniami?

Podobne pytania można sformułować również w odniesieniu do opozycyjności. Jeśli więc mówimy „opozycyjność" — to wobec czego? Czy wobec kursu określonego na XX Zjeździe KPZR i otwierającego przed naszym społeczeństwem perspektywy rozwoju demokratycznego? Czy też odwrotnie — była to opozycyjność wobec polityki zaprzeczającej temu kursowi i zamykającej demokratyczne perspektywy? Mówienie o „partyjności" i „opozycyjności" bez postawienia sobie takich właśnie pytań, od początku musiało prowadzić do niepowodzenia. Podobnie jak Włodzimierz Majakowski pytał poborcę skarbowego: — „A cóż, jeśli jestem przywódcą i jednocześnie sługą narodu?". — Tak i tym razem byłoby można zapytać: A cóż, jeśli pozycja Twardowskiego, właśnie dlatego, że sprzeczna z linią L. Breżniewa i M. Susłowa — była właśnie prawdziwie partyjna, zgodna z duchem XX Zjazdu KPZR, antykultowa, antybiurokratyczna i w swej istocie — demokratyczna?

Z tego, że krytyka zagraniczna stawiała kwestię opozycyjności Aleksandra Twardowskiego i jego pisma w sposób niewłaściwy, a krytyka krajowa w ogóle uciekała od tego pytania — wcale nie wynika, że sam problem nie istnieje. Przeciwnie, jest on czymś bardzo realnym i zasługuje na spokojne i poważne rozważenie. A co więcej, dziś jest to również konieczne w związku z zadaniami obecnej przebudowy.

## JAKIM PISMEM BYŁ MIESIĘCZNIK „NOWYJ MIR"

Jest rzeczą znamienną, iż o „NOWYM MIRZE" jako o piśmie opozycyjnym zaczęto mówić dopiero w latach 1965—66, chociaż jego linia estetyczna i społeczno-polityczna oraz czołowe miejsce, jakie zajmowało w literaturze radzieckiej — zostało w pełni określone już 5 lat wcześniej.

Jako pismo „NOWYJ MIR" był dzieckiem epoki XX Zjazdu KPZR. Przed tym zjazdem, od początku lat trzydziestych podobnych wydawnictw w Związku Radzieckim nie było i być nie mogło. Te które mimo wszystko się pojawiały — nie miały żadnych szans na przetrwanie. Pod tym względem XX Zjazd KPZR i w tej dziedzinie miał prawdziwie przełomowe znaczenie. Pod jego ożywczym wpływem i w sytuacji, gdy kraj stanął wobec konieczności ponownego przeanalizowania dróg swojego rozwoju, jego wyników i perspektyw — nie mogły nie narodzić się różne i często wzajemnie wykluczające się nurty w myśli społecznej. Ten formujący się, demokratyczny wielogłos oznaczał w gruncie rzeczy, że społeczeństwo, które do tej pory było jakby wchłonięte przez państwo i któremu przekazało ono wszystkie swoje funkcje — ponownie odzyskiwało swoją duchową suwerenność i wracało do pełnokrwistego życia. Pojawienie się wydawnictw o wyraziście zarysowanych programach — a takim był nie tylko „NOWYJ MIR", do którego w lipcu 1958 r. wrócił Aleksander Twardowski, ale również „JUNOST" W. Katajewa (1955—62) oraz „LITIERATURNAJA GAZIETA" S. Smirnowa (1959—60), a na przeciwnym biegunie ideowym „OKTIABR" W. Koczetowa, gazeta „LITIERATURA I ŻIZŃ" (1958—62) oraz niektóre inne wydawnictwa — wszystko to było jawnym odzwierciedleniem wspomnianego wyżej, pozytywnego procesu społecznego.

Kontrast ideowo-estetycznych programów i stanowisk, znajdujących swój wyraz na stronicach pism i gazet, był w wielu przypadkach bardzo duży i absolutnie nie można tego sprowadzać wyłącznie do naturalnej różnorodności indywidualnych punktów widzenia, zgodnie z maksymą: „Ile ludzi, tyle opinii". Nie można tego wyjaśnić również w ramach szeroko rozpowszechnionej i mieszczańskiej w gruncie rzeczy opinii o słynnej literackiej „koteryjności". Nic podobnego. W znacznym stopniu były to pryncypialne i konsekwentne różnice między odmiennymi tendencjami społeczno-politycznymi, między którymi toczyła się walka — i to nie na żarty. I mimo wszystko, można śmiało powiedzieć, iż żadna z tych tendencji nie miała w owym czasie charakteru opozycyjnego. Opozycji politycznej w kraju nie było, bo nie było również dla niej odpowiedniego gruntu. Możliwość otwartego wyrażania własnych poglądów i stanowisk praktycznie przez wszystkie nurty intelektualne, mogące liczyć na szerokie poparcie społeczne — w istocie rzeczy wykluczała prawdopodobieństwo pojawienia się opozycji.

Inaczej cała rzecz wyglądała w sytuacji, która ukształtowała się w drugiej połowie lat 60-tych, kiedy dokonało się praktycznie odejście od linii XX—XXII zjazdów KPZR, a wywołane przez te zjazdy ożywienie myśli społecznej — okazało się niewygodne. Tak jak rzeka, która próbuje przerwać przegradzającą ją przeszkodę, tak samo ruch demokratyczny, zduszony w sposób siłowy i zatrzymany w swoim naturalnym rozwoju — musiał nieuchronnie przekształcić się w opozycję. I tak też się stało.

Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich. Konserwatywne skrzydło tego ruchu, które już wcześniej usiłowało zawęzić front i złagodzić ostrość krytyki wobec Józefa Stalina, a przeobrażenia w stworzonym przez niego systemie sprowadzić do minimum — mogło jedynie cieszyć się z dokonanych zmian. W końcu to właśnie ich przekonania i poglądy zyskały teraz siłę oficjalnej platformy ideologicznej, choć — z taktycznych względów — jej zwolennicy uważali za bardziej pożyteczne prezentowanie siebie w roli siły „centrowej", a niekiedy nawet jakby z lekka odżegnywali się od stalinowskich skrajności.

W opozycję nie przekształciła się również konformistyczna „milcząca większość", która ze względu na brak kręgosłupa ideologicznego i jakichkolwiek wymogów moralnych, gotowa była przyjąć każdą politykę, jeśli tylko w sferze życiowej można było ją — tak czy owak — przystosować do siebie. Jednakże dla najbardziej żywotnej, społecznie aktywnej i odpowiedzialnej części inteligencji oraz całego społeczeństwa — dla tych, którzy nie tylko popierali linię XX Zjazdu KPZR, politykę demokratycznych przeobrażeń w strukturach społecznych, dla tych którzy — parafrazując Majakowskiego — mogli powiedzieć: to była „moja demokratyzacja", żyliśmy i wiązaliśmy z nią nasze nadzieje i ideały socjalistyczne, chcieliśmy widzieć ją możliwie jak najpełniejszą, konsekwentną oraz radykalną i w miarę naszych możliwości pomagaliśmy temu — otóż ta część społeczeństwa w zmienionych warunkach była w istocie skazana na opozycyjność.

Dla niej nie było innego wyboru.

Przekształcenie części — i podkreślamy to — lepszej części ówczesnego ruchu demokratycznego w opozycyjny, a energii pozytywnych przeobrażeń społecznych w energię protestu — to smutna i dramatyczna karta naszej historii. Dla niemałej liczby ludzi oznaczało to utratę wiary w socjalizm. Losy większości spośród tych, których niemożność prostego i otwartego wypowiedzenia swojego sprzeciwu wobec nowej linii oficjalnej pchnęła do nielegalnych form wyrazu własnych poglądów politycznych — zostały zwichnięte. Jedni musieli pożegnać się z rodzinami — inni zaś ponosili karę „z całą surowością prawa". Nie chodzi w tym przypadku, aby zwalniać ich teraz od odpowiedzialności za wszystkie konkretne działania — choćby nawet wynikły one z warunków i logiki walki. W każdym indywidualnym przypadku jest to problem moralności i prawa. Musi być jednak uznana również odpowiedzialność drugiej strony. Tych, którzy skierowali prawo przeciwko demokracji, a w naszych warunkach — przeciw demokracji socjalistycznej. Tych, którzy stawali się przez to inspiracją, a z punktu widzenia moralnego — głównym winowajcą narodzin opozycji politycznej w naszym kraju.

Ktoś może powiedzieć: ten, kto rozpalił ogień, również go ugasił; ten, kto stworzył opozycję (jako nieuchronny koszt zmiany linii politycznej) ten stosunkowo szybko i bezboleśnie ją zlikwidował. Jest to prawda, podobnie jak prawdą jest, że w realizacji tej akcji wykazano niemało energii i zapobiegliwości. Ale — po pierwsze — przypomnijmy ponownie, że wszystkie te „sukcesy" byłyby w ogóle niepotrzebne, gdyby ludzie, którzy z taką precyzją i tak metodycznie likwidowali „inaczej myślących", sami nie stworzyli warunków koniecznych ku temu. A po drugie — i to jest najważniejsze — zwycięstwo to w niedalekiej perspektywie historycznej okazało się dla kraju czymś tak kosztownym, że można go porównać do najcięższej klęski.

*Nikita S. Chruszczow*

## PRZEDE WSZYSTKIM PRAWOMYŚLNOŚĆ

Cel został osiągnięty. Inteligencja przestała się gorączkować i sprawiać kłopot; zaczęła mówić to, czego od niej oczekiwano i co chciano usłyszeć, nie pisała już petycji zbiorowych i nie protestowała. Zapanowało tak upragnione milczenie. Oczywiście nie do końca i nie w całości; ukazywały się powieści i filmy, w mniejszym czy większym stopniu prasa sprawiała wrażenie różnorodności i ścierania się przeciwstawnych poglądów. Walka ta toczyła się już jednak w przepisanych ramach i z góry określonym wynikiem. Dyskutowano o różnych problemach, ale zachowując jednocześnie podstawowy warunek, jakim było niesięganie do samych korzeni zła. Stanowiło to więc swego rodzaju grę, pustą gadaninę, mieszaninę kłamstwa i oszukiwania samego siebie. Półtora dziesięciolecia takiego życia — oto prawdziwie tragiczne rezultaty, do których doszliśmy. Te ekonomiczne, o których powiedziano już dzisiaj dostatecznie wiele i być może — trudniejsze, bardziej tragiczne: moralne i duchowe, które musimy dopiero zbadać.

Społeczeństwo zostało, jak gdyby, pozbawione inteligencji, jeśli rozumieć pod tym pojęciem nie tyle ludzi określonych zawodów, ale to czym była ona w Rosji zawsze — od czasów Fonwizina i Radiszczewa — to jest mózgiem i sumieniem narodu. Było to społeczeństwo, w którym dominującym typem psychologicznym stał się człowiek tak naprawdę niczym nie zainteresowany, łatwo wypowiadający i głoszący dowolne hasła, ale nic nie przeżywający rzeczywiście głęboko; człowiek, który oduczył się wstydu, pracujący bez zadowolenia i na pół obrotów, człowiek u którego w sposób katastrofalny zanikało poczucie obywatelskie, a nawet uczucia osobiste stały się teraz bezbarwne... Jest to społeczeństwo, które ogromnie potrzebuje ratunku od dopiero co rozpoczętej przebudowy i które ciągle jeszcze nie potrafi wykazać swojej zdolności do jej przeprowadzenia... Wina polityki, która sprowokowała konflikt między ruchem demokratycznym i władzą została w ten sposób wielokrotnie spotęgowana — również poprzez wybór metody rozwiązania tego konfliktu.

Jako pismo, które jawnie i świadomie przeciwstawiało się oficjalnej linii ideologicznej (w miarę tego, jak coraz bardziej stawała się ona jasna i czytelna) „NOWYJ MIR" w drugiej połowie lat 60 tych, obiektywnie rzecz biorąc, był już pismem opozycyjnym. Tezie tej w niczym nie przeszkadza akt, że sam Aleksander Twardowski traktował swój miesięcznik jako głęboko partyjny. Takim pozostawał on rzeczywiście. Był to miesięcznik partyjny w duchu XX Zjazdu KPZR, ponieważ wyrażał w sposób niezależny i konsekwentny demokratyczne tendencje w socjaliźmie. Chodzi o to, iż w zmienionych warunkach właśnie tak pojmowana partyjność była już zdecydowanie czymś nieodpowiednim, niewygodnym. Wierność wobec niej wyrażała się w niepodporządkowywaniu się nowym regułom i w proteście.

Główny organ demokratycznej opozycji lat 60-tych — „NOWYJ MIR" — jest w tym kontekście zjawiskiem absolutnie unikalnym w radzieckim dziennikarstwie. Jego specyficzny charakter polegał na tym, iż — po pierwsze było to pismo legalne, które jednocześnie głosiło swój własny program jawnie i otwarcie. Po drugie — „NOWYJ MIR" był organem opozycji socjalistycznej, opozycji, która wychodziła z idei socjalizmu zdolnego do demokratyzacji i otwartego, takiego socjalizmu, który stwarzał szansę demokratycznego samorozwoju. Było to stanowisko wewnętrznie trwałe, niezmienne. Można było je oczywiście krytykować z różnych pozycji i nie godzi się odżegnywać od takiej krytyki. Jednakże siła tej idei okazała się na tyle wielka, że i dzisiaj, dwadzieścia lat później, w swoich nadziejach na przebudowę, żyjemy właśnie tą ideą i żadną inną.

Opozycyjne pismo w radzieckiej historii? Jak się do tego ustosunkować? — przede wszystkim, jak do faktu, który jak każdy inny fakt historyczny trzeba uznać i zrozumieć — z punktu widzenia jego genezy i konkretnej społecznej treści. Stosownie do tego trzeba go ocenić pod kątem realnego znaczenia historycznego i miejsca w ogólnym postępie ludzkości. Odnosząc to do konkretnego przypadku — nasza ocena będzie bezpośrednio zależeć od tego, jak podchodzić będziemy do rozwoju radzieckiego społeczeństwa w okresie ostatnich 30 lat. Czy uznamy za korzystny dla kraju ten ostry i zdecydowany zwrot dokonany przez XX Zjazd KPZR? I dalej. Czy uznamy, że lata, które później nadeszły wcale nie były równoznaczne z harmonijnym i nieustannym przechodzeniem na coraz wyższe stopnie rozwoju — i to nie tylko z powodu konkretnych zahamowań i sprzeczności, ale również dlatego, że w pewnym momencie rozwój naszego społeczeństwa postępował zgodnie z zasadą: krok do przodu — dwa kroki do tyłu, że w gruncie rzeczy dokonał się zwrot wstecz, a następnie rozpoczął się długi okres rozkładającego zastoju? Jeśli to przyznamy, a nie uczynić tego jest dzisiaj rzeczą niemożliwą, wtedy — uwzględniając to wszystko, co powiedziano powyżej — odpowiedź na postawione pytanie może być tylko jedna i bezwarunkowo korzystna dla Twardowskiego i jego pisma.

Bywają chwile, kiedy działacz społeczny, jeśli tylko jest prawdziwym obywatelem i patriotą — musi iść pod prąd, przeciw większości. W swoim osamotnieniu ma on jednak większe znaczenie dla historii, aniżeli cały tłum jego oponentów i przeciwników. Tak właśnie rzecz się ma w przypadku Aleksandra Twardowskiego — redaktora i poety, wybitnego działacza naszych czasów. Kiedyś Lenin pięknie powiedział o wydawcy „KOŁOKOŁA", który podczas powstania w Polsce zdecydowanie opowiedział się za powstańcami, rozstając się tym samym z większością swoich wczorajszych sojuszników: „Herzen uratował część rosyjskiej demokracji". Słowa te odnieśmy do człowieka, który w zupełnie innych warunkach historycznych, ale w taki sam sposób uratował cześć i godność naszej inteligencji, rosyjskiej demokracji w radzieckich latach sześćdziesiątych...

Tłumaczył:
SŁAWOMIR POPOWSKI (PAP)

Nawet rodzony brat prezydenta Peru mówi biegle po polsku

# Kilka polskich statuetek...

RYSZARD NAKONIECZNY

Nie jest rzeczą prostą znaleźć na świecie miejsce, w którego najbliższej okolicy nie byłoby chociaż jednego Polaka. Losy, które doprowadziły ich do tych, czasami zupełnie nieoczekiwanych przystani, rzadko przypominają epopeje Eneasza czy Ulissesa. Na ogół są to historie zwyczajne i sami zainteresowani nie przykładają do nich większego znaczenia; jakby nie widzieli wszystkich wspaniałości Meksyku, Limy czy San Francisco, tęsknią do Warszawy, Krakowa, a nawet Ostrowa Wielkopolskiego. I tak w tym nie tylko przewrotna cecha Polaków, która każe im zazdrośnie spoglądać na to, co dziwnym i niesprawiedliwym zbiegiem okoliczności ma akurat ktoś inny, ale przede wszystkim zasadnicza różnica między skłonnym do autentycznego zachwytu turystą i przejętym nieustającą kroplówką codzienności stałym mieszkańcem. A może także tajemnicza różnica między marzeniem i spełnieniem; najpiękniejsze Boże Narodzenie to przecież to, do którego tęskni się w samym środku peruwiańskiego lata: jest w nim zawsze mnóstwo śniegu i prezentów, wszystkie ukochane osoby przy stole, rozjarzona choinka i czarodziejski spacer na pasterkę — jest w nim wszystko czego dusza zapragnie i wszystko to trwa bez końca. Nieważne, że u sąsiadów Wigilia zaczyna się i kończy na palaszowaniu indyka...

## SPOTKANIA Z POLAKAMI W PERU ZACZYNAJĄ SIĘ ZWYKLE W AMBASADZIE.

Niby nic bardziej naturalnego pod słońcem, a jednak na tle innych, rozrzuconych po świecie placówek z biało-czerwoną flagą, pałacyk przy Salaverry w Limie jest miejscem szczególnym. Można tu przyjść właściwie o każdej porze, wykąpać się w basenie, pograć w ping-ponga albo w siatkówkę, a przede wszystkim porozmawiać, albo po prostu posiedzieć chwilę — w Polsce! Dla przyjeżdżających na krótko nie ma to być może specjalnego znaczenia — ciągnie ich na ulice, chcieliby jak najwięcej zobaczyć — dla tych jednak, którzy żyją w Peru latami jest nieocenione; wiedzą oni, oczywiście, że Ambasada załatwia także różne Bardzo Ważne Sprawy, ale wdzięczni są jej szczególnie za to.

Konsul **Mścisław Leszkiewicz** jest skromny i rzeczowy wyjaśniając wszystko małą liczebnością Polonii peruwiańskiej. Pewnie i ten fakt ma swoje znaczenie, ale najbardziej — jak zawsze — liczą się ludzie. I nie tylko ci z korpusu dyplomatycznego, ale także ci z obsługi: Carmen, która w niezrównany sposób posługuje się zawiłymi układami peruwiańskich uprzejmości, niezbędnymi w każdym oficjalnym piśmie i Alejandro przy pomocy bębnienia w dach, wirtuozersko prowadzący rozłożystego „Dodge'a" przez limeńskie ulice i opowiadający bez ustanku wszystkie co ciekawsze nowinki...

Właśnie na jednym z tradycyjnych już, czwartkowych spotkań w Ambasadzie poznajemy **Marysię Kralewską.** Wygląda niepozornie i desperacko szukając sprzymierzeńców, którzy pomogliby nam wydobyć z portu samochód załadowany kontenerami z żywnością i sprzętem, bez których nic nie możemy robić, prawie nie zwracamy na nią uwagi; prowadzimy grzecznościową rozmowę i także głównie z grzeczności umawiamy się na jutro. Mało kiedy grzeczność została tak sowicie nagrodzona!

Przez następnych kilkanaście dni Marysia wozi nas po Limie i okolicach własnym, mocno nadwerężonym „Volkswagenem", wykłóca się w urzędach o nasze sprawy bardziej niż o swoje, udziela dziesiątek wskazówek, gości w domu... W rezultacie nie tylko dostajemy wreszcie samochód i pozwolenie na zdjęcia, wiemy gdzie kupować najlepsze owoce, a przy nabywaniu kaktusów uważamy czy kwiaty nie są przyklejone, ale gromadzimy coraz więcej praktycznych informacji o Peru — Marysia jest tu jedynym oficjalnym przewodnikiem „z językiem polskim" — i o zachowanych do dzisiaj śladach po Polakach, którzy tu żyli i pracowali.

A więc położona najwyżej na świecie, sięgająca przy przejściu przez przełęcz Ticlio wysokości 4818 metrów nad poziomem morza, trasa kolejowa Lima — Huancayo, przy budowie której ogromny udział wniósł inżynier **Ernest Malinowski;** konduktorzy nie tylko sprawdzają tu bilety, ale i częstują tlenem.

Najgłębszy na świecie, trzykilometrowy kanion rzeki Colca, po raz pierwszy **pokonany przez polską ekspedycję kajakową w 1979 roku.** Niektórzy wprawdzie twierdzą, że polscy kajakarze nie sforsowali całego kanionu, nikt jednak nie może im odmówić głowy do interesów; jeszcze dziś z biura na 310 Madison Avenue w Nowym Jorku potrafią odrywać kupony ze swojego wyczynu sprzed 8 lat.

Szereg limeńskich budynków, z katedrą włącznie, odrestaurowanych, a właściwie wzniesionych od podstaw po trzęsieniu ziemi przez **Ryszarda Jaxę-Małachowskiego.**

Niewielki, zaciszny, pełen palm placyk w dzielnicy Jesus Maria z trochę zaniedbanym pomnikiem założyciela Szkoły Inżynieryjnej w Limie **Edwarda Habicha...**

Wszystko to, to już historia. Polacy, którzy żyją w Peru dziś, nie wydają się postaciami tak monumentalnymi i nie zapowiada się, aby ktokolwiek postawił im nawet najmniejszy pomnik.

## MOŻE WIĘC CHOCIAŻ KILKA MAŁYCH STATUETEK W POLSKIEJ GAZECIE.

Dla **Bystrego,** którego wędrówka do Peru prowadziła z bitew i pełnych dezorientacji marszów drugiej wojny światowej przez pół świata i który teraz, niemal zupełnie zapomniany, bez nóg, przechowuje pożółkłe polskie zdjęcia i niemiłosiernie trzeszczące polskie płyty, a w prowadzonej razem z żoną stacji benzynowej sprzedaje rodakom benzynę i akumulatory po cenie kupna. Całe szczęście, że Polaków w Limie nie ma zbyt wielu, bo interes i tak idzie coraz gorzej i ledwo starcza na utrzymanie, a o kupnie biletu do starego kraju nie można było marzyć nawet za dawnych, lepszych czasów.

Dla **Jerzego Pietraszewskiego,** który na skutek kłopotów zatrudniającej go od kilkunastu lat firmy, został właśnie zwolniony z pracy i nie bardzo wie co ze sobą zrobić, bo — jak mówi Marysia Kralewska — nigdy nie umiał sobie za dobrze dawać rady w życiu.

Dla **Krystyny Ciapciak,** dzięki której w upalny wieczór 24 grudnia 1986 roku można było usłyszeć w peruwiańskim radiu polskie kolędy i życzenia.

I dla **Richarda P. Ajello,** szefa rozgłośni Stereolima 100FM, który półtora roku temu zgodził się na cotygodniową emisję polskich audycji; zupełny ewenement w całej Ameryce Łacińskiej. Ajello wygląda na menedżera w stylu amerykańskim; tubalny głos, mocna postura i jeszcze bardziej imponujące biurko, za którym, przez panoramiczne okno, otwiera się widok na całą Limę. Skąd u tego typu człowieka nagły sentyment do Polski? I skąd pieniądze na doskonały sprzęt, który widać dookoła, skoro rozgłośnia wcale nie emituje reklam? Pierwsza zagadka wyjaśnia się banalnie: dość zawiłymi, dawnymi związkami rodzinnymi. Na rozwiązanie drugiej natykamy się dopiero w obszernych magazynach wypełnionych po brzegi pudełkami z taśmą magnetofonową i pracującymi magnetofonami studyjnymi, choć trwa akurat nadawanie krótkich, cogodzinnych wiadomości. Okazuje się, że rozgłośnia jest tylko kaprysem senora Ajello, a jego prawdziwy interes polega na transmitowaniu muzyki bezpośrednio do zakładów pracy, przy czym inną serwuje dla biur, a inną dla fabryk włókienniczych i supermarketów, inną rano, inną podczas przerwy śniadaniowej, a zupełnie inną tuż przed fajerantem.

— I nigdy jeszcze nie zdarzyła mi się żadna powtórka — oświadcza z dumą szef tego — mimo wszystko — dziwnego, choć przynoszącego całkiem niezłe dochody biznesu. Kiwamy z podziwem głowami; niech mu będzie, za te polskie, cotygodniowe 30 minut.

Nie udało nam się tylko sprawdzić, czy w obsługiwanych przez pana Ajello fabrykach, biurach i sklepach można także usłyszeć muzykę polską; tego typu wiadomości będzie można uzyskać błyskawicznie dopiero za kilka miesięcy, kiedy w firmie zostanie zainstalowany komputer.

Póki co, aby zetknąć się z polską muzyką w Limie, trzeba jechać do domu **Hildy Ławińskiej.** Pani Hilda od niepamiętnych czasów zajmuje się Chopinem; regularnie publikuje o nim artykuły w czasopiśmie kulturalnym „Nikko", a przede wszystkim uczy młodych Peruwiańczyków polonezów i mazurków. Szkoda tylko, że rodzina traktuje tę jej pasję jako nieszkodliwe dziwactwo i wygląda na to, że kiedy pani Hildy zabraknie, nikt nie będzie miał ochoty zająć się wcale pokaźnym archiwum, które zdołała zgromadzić. W każdym razie mała statuetka na pewno jej się należy.

Należy się też młodemu archeologowi **Krzyśkowi Makowskiemu** pracującemu w Papieskim Uniwersytecie Katolickim, który, kiedy głównie na skutek niedostatecznych funduszów, zbladła nieco sława szacownego San Marcos, wyrósł na jedną z najbardziej renomowanych uczelni Limy. A już na pewno na jedną z najsympatyczniejszych; rozrzucone wśród drzew niewielkie, nowoczesne pawilony, obiady przy stołach wynoszonych latem na zewnątrz, i wszędzie mnóstwo młodych ludzi przesiadujących na trawie z książkami i skryptami, które czasami odkładają przystępując do rzeczy nie mniej poważnej, choć nie zawsze docenianej przez profesorów — zalotów.

Krzysztof próbuje tu stworzyć nowoczesny system studiów archeologicznych nie zapominając oczywiście o własnych badaniach, koncentrujących się głównie na północy Peru, w dolinie Vicus.

## PERU JEST BEZ WĄTPIENIA RAJEM DLA ARCHEOLOGÓW.

Ale też, nawet u Dantego, raj to przede wszystkim zgodny chór śpiewający bożą chwałę i biada temu, kto nuci co innego. Bogiem archeologii peruwiańskiej jest Juan C. Tello, Krzysztof więc, próbując poddawać pod dyskusję jego spektakularne teorie, a zwłaszcza główną, uznającą góry za kolebkę cywilizacji, naraża się cały czas na piekło i to od razu na jego dziewiąty krąg, pozostając przy terminologii „Boskiej komedii". Dobrze choć, że nie traci w tym wszystkim humoru i wśród zawiłych dyskusji o programach ikonograficznych zaszyfrowanych w kolejnych warstwach tkanin owijających mumie i grzecznościowych telefonów, niezbędnych dla utrzymania dobrych stosunków z właścicielami prywatnych kolekcji, wybucha nagle śmiechem trafiając na spojrzenie siedzącego przy sąsiednim biurku, równie zaaferowanego, **Petera Kaulicke,** który 15 lat temu przyjechał do Peru z Niemiec, albo idzie do sąsiedniego pokoju na pogawędkę z **Kasią Dunin-Borkowską,** oferującą mu od dłuższego czasu bezpłatne lekcje obsługi komputera...

W miarę upływu dni i tygodni w labiryncie limeńskich ulic zaczęły się tworzyć coraz głębsze koleiny: na osiedle Matute — do mieszkania **Marysi Kralewskiej,** na Universidad Catolica, do domu **Krzyśka Makowskiego** na Avenida Javier Prado. Ciężko było wydostać się z nich na Szosę Panamerykańską; początek każdej podróży po Peru. I początek nowych spotkań z Polakami.

Na przykład w Trujillo, kiedy podczas poszukiwań piramid Moche ni stąd ni zowąd zagadnął nas po polsku kierowca „Nissana", pokładający — jak się później okazało — wielkie nadzieje w uprawie rośliny dającej olej o dziesięciokrotnie większej trwałości i skuteczności niż najlepsze produkty Shella.

Albo w Cajamarca, gdzie niewinnie wyglądająca Peruwianka zaczepiła nas na ulicy oświadczając, że jej mąż byłby szczęśliwy mogąc porozmawiać z kimś po polsku.

Czy wreszcie w małym górskim miasteczku Puquio... Spacerując po nim w oczekiwaniu na naprawę jedynej zapasowej opony, szybko dochodzimy do wniosku, że to nie Puquio jest atrakcją dla nas, ale my dla Puquio; biały człowiek musi tu być nie lada rarytasem. Biały człowiek owszem, ale nie Polak; przed hotelem czeka już na nas **Józek Matusek.**

Jego historia brzmi absolutnie romantycznie: dostał od kolegi adres dziewczyny w Peru, napisał do niej, otrzymał odpowiedź i wybrał się na drugą półkulę aby wziąć ślub — wszystko jak w bajce. Potem sprawy nieco się skomplikowały: w Polsce ogłoszono stan wojenny, ludzie różnie gadali i zdecydował się zostać. Żona nie pochodziła z bogatej rodziny, więc początki były trudne, ale jakoś musiał dawać sobie radę. Jeździł na budowy po całym Peru — nigdy nie myślał, że pozna taki kawał świata — aż został szefem wielkiego przedsięwzięcia irygacyjnego w Puquio. Teraz prace zostały zawieszone; rząd wstrzymał dotacje i nie ma nawet z czego płacić ludziom pensji, ale mieszkańcy nie chcą wypuścić z miasta żadnej maszyny.

— Ja właściwie chciałbym już stąd wyjechać, zobaczyć coś nowego — Puquio już znam, a za rok sprzedaję wszystko i wracam do Polski, właściwie zawsze o tym myślałem...

Są wyśmienite bułeczki, których w Peru ciągle nam brakowało, świetnie przyrządzone ryby, trochę pisco, kawa, dwoje dzieci — Inca Polacos — zasypia przy zabawie, a żona Józwa, Sonia, daje jednemu z nas adres swojej siostry w Limie — może zacznie się nowa romantyczna historia...

Póki co jednak zdecydowanie najlepszy w tej wąskiej konkurencji jest don **Manuel Albrizio Fontana,** czyli po prostu Szef. Na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazuje i też aż do 55 roku życia don Manuel nie wyróżniał się niczym spośród zwykłych, spokojnych obywateli Republiki Peru

## DOPÓKI KILKANAŚCIE LAT TEMU PRZYJACIEL NIE POPROSIŁ GO, ABY PRZYJĄŁ NA PARĘ DNI POLSKĄ WYPRAWĘ ALPINISTYCZNĄ...

Od tej pory przez dom przy ulicy Tupac Amaru przewinęło się ich ponad 70. Bywało, że kilka przyjeżdżało w tym samym czasie i cała rodzina do dziś wspomina z humorem kolejki do łazienki, ciągłe gotowanie wody na herbatę i całe podwórze zawieszone praniem. A rodzinę ma don Manuel wcale liczną: senora Raquel, która wobec niefrasobliwości męża pilnuje interesu w małej restauracyjce, Cecylia, po ukończeniu studiów w Krakowie pracująca w jednej z limeńskich przychodni, druga córka Rita z mężem i małą Veroniką, nazywaną w domu „Reina" (królowa), Amando... No i dwa psy: Toby, czyli Tobiański i Łysy. Kiedyś była jeszcze papuga, ale któregoś dnia zginęła bez wieści, choć jako jedyny ptak w Peru biegle opanowała język polski. W ogóle zresztą zwierzęta na Tupac Amaru — pewnie pod wpływem gospodarzy — mają szczególny sentyment do Polaków i raczej nie należy przywozić tu ze sobą zagranicznych znajomych, gdyż grozi im natychmiastowe pogryzienie.

Na co dzień jednak Tobiański i Łysy są najłagodniejszymi stworzeniami pod słońcem i bez sprzeciwu pozwalają wyławiać sobie pchły, co zyskało zaszczytne miano safari. Tylko ciągle nie udaje się załatwić przyjazdu Szefa do Polski; gdyby to wreszcie kiedyś nastąpiło, musiałby zostać co najmniej rok, aby chociaż na jeden dzień wpaść do wszystkich swoich przyjaciół...

Nie ma już miejsca na wspomnienie o rodzinie **Kalinowskich z Cusco,** która jeszcze do niedawna posiadała prawdziwą kopalnię złota, o **siostrze Dominice,** pracującej wśród trędowatych w Amazonii, o cenionym w Peru malarzu **Ferdynandzie de Szyszło, o księdzu Kochanku...** Ba, nawet rodzony brat prezydenta mówi biegle po polsku. Cała góra polskich statuetek, cała góra niezapomnianych polskich spotkań na drugim końcu świata. Ciekawe tylko dlaczego nad Wisłą jest z tymi spotkaniami ostatnio tak marnie...

# Mistrzostwa Modeli Latających

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

**Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 50-77-70**

**Na twój telefon czekają redaktorzy:**

**22 października — LUCJUSZ WŁODKOWSKI — godz. 10—16,**

**29 października — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16**

Trudno powiedzieć, czy to przypadek, czy też rzeczywiście coraz gorzej dzieje się w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacji, bowiem podczas ostatniego reporterskiego dyżuru większość telefonów od naszych Czytelników tyczyła pracy tego właśnie przedsiębiorstwa. Zacznijmy może od sprawy wydawałoby się najdrobniejszej. Czytelniczka, która 10 października, około godz. 11 wsiadła do autobusu „A" (nr wozu 1119, nr służbowy kierowcy 23531), podobnie jak inni pasażerowie, miała trudności ze skasowaniem biletu. Jedyny czynny kasownik, piąty z kolei znajdował się na samym przodzie autobusu. Ludzie musieli się przepychać, mamy jednak nadzieję, że wszyscy okazali się zdyscyplinowani jak nasza Czytelniczka i bilety skasowali.

Bardziej przykre następstwa jazdy autobusem nr 69, 14 października, około godz. 6.15 spotkały pana Czesława Kędzierskiego, emeryta. Od dłuższego czasu trwa irytująca kołomyjka z ulgowymi biletami dla rencistów i emerytów. Pan Kędzierski posłużył się jednorazowym biletem za 9 zł, raz już skasowanym. Kontroler potraktował go niekulturalnie i nieuprzejmie i wypisał mandat na sumę 1200 zł. Naszemu Czytelnikowi nie chodzi nawet o tę sumę, którą wolałby przeznaczyć na jakiś cel społeczny. Jest rozżalony przede wszystkim faktem potraktowania go jako potencjalnego oszusta. Trudno się z nim nie zgodzić, skoro miła pani z reklamacji w MPK powiedziała nam: „A jaką mamy gwarancję, że ten bilet nie był wcześniej skasowany w autobusie pośpiesznym?" Jedyna rada, żebyśmy wreszcie przestali się podejrzewać, to zapewnienie ciągłej sprzedaży odpowiednich biletów. Kierownik Biura Sprzedaży Biletów zapewnił nas, że dysponuje wystarczającą ilością biletów ulgowych kasowanych dwustronnie. Ich dystrybucja zależy jednak od „Ruchu". No to może by tak jednak, jeśli już nie w imię wygody, to spokoju starszych, często schorowanych ludzi załatwić to jeszcze raz, a porządnie?

Tego samego dnia, na pętli autobusowej przy ul. Bazarowej około godz. 17.30 zaczęła się inna historia. Z pętli odjechały najpierw dwa puste autobusy nr 65. Pasażerowie wsiedli do trzeciego (nr wozu 2407, nr rejestracyjny LDB 416K, nr służbowy kierowcy 25145). Autobus długo nie odjeżdżał, jeden ze zniecierpliwionych pasażerów, może i niezbyt elegancko, zwrócił się do kierowcy: „Ruszasz pan do cholery czy nie?". Godność osobista kierowcy musiała zostać mocno dotknięta, skoro określił owego pana, że jest chuliganem, pijakiem i w ogóle to on go z autobusu wysadzi. Pasażer zamilknął, reszta pasażerów „skoczyła" na kierowcę, wreszcie „wesoły autobus" odjechał. Nie za daleko. Przed USW przy Lutomierskiej kierowca stanął i kazał owemu pasażerowi wysiadać i udać się razem z nim przed oblicze władzy. Pasażer nie wysiadł, wobec czego kierowca przyprowadził pana milicjanta do autobusu. Pasażerowie stanęli w obronie pasażera, kierowca musiał kontynuować jazdę, nim jednak ruszył, złożył pasażerom oświadczenie: „No to ja was ukażę moralnie". Najpierw wlókł się niemiłosiernie, za to po skręcie w ul. Tybury zatrzymał pojazd tak, że ludzie polecieli do przodu. Potem nagle w autobusie „coś się zepsuło", kierowca nie otworzył drzwi, póki nie odjechał z przystanku autobus, który go wyprzedził. Moralista otwierając drzwi powiedział: „WYSIADAĆ LUMPY".

Całą tę historyjkę opowiedziała mi pani P., nauczycielka, która ostatnio z różnymi przejawami braku kultury pracowników MPK spotyka się coraz częściej, i sądzi, że trzeba o takich przypadkach pisać jak najwięcej. Od pisania nie uchylamy się, tylko czy to coś zmieni?

Wilgoć, grzyb, przeciekający dach to kiepskie prognozy przed zimą dla mieszkańców domu przy ul. Obrońców Stalingradu 40. MZBM z ul. Mielczarskiego od roku przymierza się do remontu. No to może by go tak wreszcie zacząć?

Pan Andrzej Grzelka mieszkający na osiedlu Radogoszcz jest patriotą swojego osiedla, które miało być najładniejsze w Łodzi. Szpecą je jednak sami lokatorzy, którzy malują swoje okna na najprzeróżniejsze kolory, kłócące się z kolorystyką bloków. Może to jednak nie sama zła wola, tylko brak odpowiednich farb? Porozmawialiśmy sobie również z panem Andrzejem o wychowaniu sportowym naszych najmłodszych. Nie bardzo ma się kto zająć dzieciakami w wieku siedmiu lat, bo to przecież jeszcze nie wyczyn. Nie ma kto uczyć dzieci zabawy w sport, choć taki na przykład stadion „Startu" świeci pustkami. Na pociechę zostają nam ustawy o wychowaniu fizycznym. Coś jakby mało.

I na koniec sprawa dość drażliwa. Kilkoro czytelników poinformowało nas, że w kościele na Teofilowie, podczas niedzielnego kazania, miała miejsce swoista dyskusja toczona z ambony z red. Edmundem Lewandowskim, który w „Odgłosach" opublikował artykuły o protestantyzmie. W ostatnich latach dużo się u nas mówi o pluraliźmie, tolerancji, również w sprawach wiary, o potrzebie dyskusji. Tylko że trudno jest dyskutować z amboną.

BOGDA MADEJ


SPOŁEM
WSS ŁÓDŹ
Oddział Spółdzielczych Domów Handlowych
„CENTRAL"
ZAPRASZA

DO SWOICH STOISK W SDH
przy ul. Piotrkowskiej nr 165, ul. Piotrkowskiej nr 100 oraz w Pabianicach przy ul. Kilińskiego 1, i ul. Marchlewskiego 18.

- Patronaty czołowych firm przemysłu lekkiego, elektromechanicznego i metalowego.
- Szeroko prowadzone wymiany z ZSRR, ChRL, WRL, CSRS, NRD, Austrią, Holandią, RFN.
- Fachowa i kulturalna obsługa

GWARANTUJĄ UDANE ZAKUPY.

1769-k ZAPRASZAMY

OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO NR 3

w Łodzi, ul. Próchnika 42, tel. 33-16-09

organizuje kursy:

**kwalifikacyjne**

(wymagany staż pracy od 3 do 7 lat)

- mechanik samochodowy
- blacharz samochodowy
- lakiernik
- wulkanizator

**doskonalące**

- przepisy transportowe dla pracowników służb transportowych
- instruktaż „taxi"
- transport ciężarowy
- przewóz materiałów niebezpiecznych

Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje Sekretariat Ośrodka.

2443-k

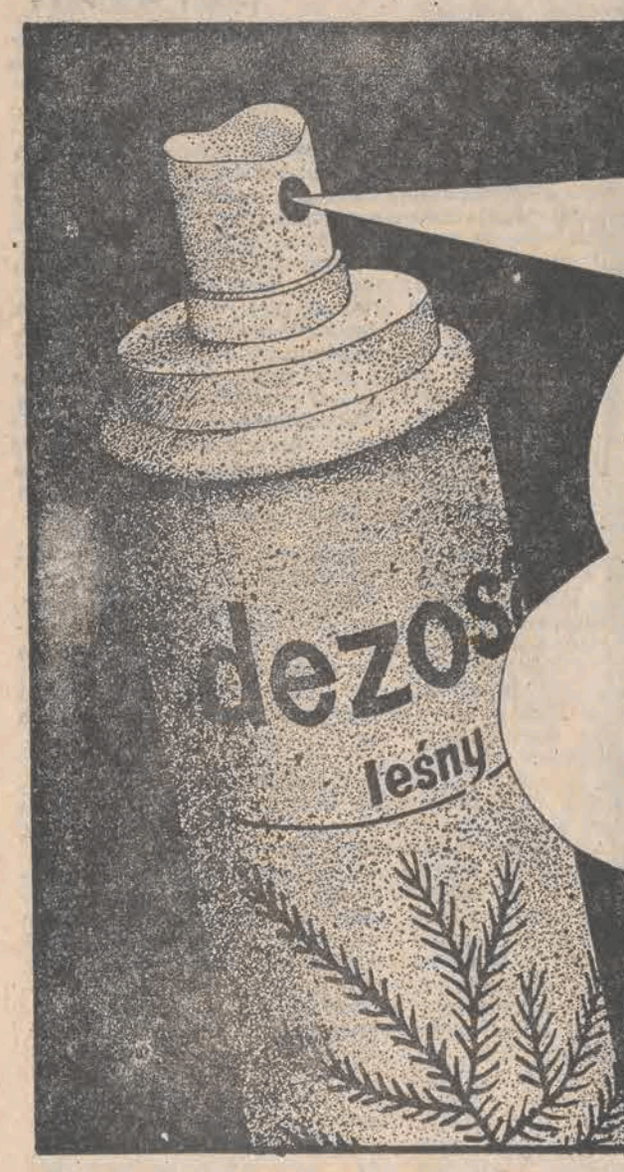


Dezosan leśny

Produkcji ŁÓDZKICH ZAKŁADÓW CHEMICZNYCH „ORGANIKA"

to znakomity odświeżacz powietrza już do nabycia w sklepach

2453-k

(...) Z całego serca gratulowałem Tengizowi Abuładze, kiedy na festiwalu filmowym w Cannes „Pokuta" otrzymała specjalną Wielką Nagrodę jury. Jest to szczególnie zaszczytne wyróżnienie — niedawno otrzymał je Tarkowski, przedtem Bergman, Bresson. A ponadto wyróżniony został nagrodą FIPRESCI — międzynarodowej organizacji dziennikarzy filmowych. I jeszcze nagroda Kościoła Zjednoczonego, szczególnie popularnego w Europie Zachodniej.

Pytam reżysera, jak zachowywała się podczas projekcji „Pokuty" niełatwa publiczność festiwalowa.

— Podobnie jak i radziecka. Śmiała się w tych samych miejscach, i w tych samych biła brawa. Zapewne dowcipy odbierane były mniej łatwo. Podobnie jak i fabuła. Wszystko jednak koniec końców zostało właściwie zrozumiane. Tak mi się wydawało.

Zmierzał do tego filmu logika całej swej twórczości. Poczynając od 1956 roku, kiedy studenci Instytutu Kinematografii wbijali sobie w pamięć obco brzmiący tytuł filmu „Lundża Magdany" („Osiołek Magdany") i nowe nazwiska „Czcheidzie" i „Abuładze", młodych bohaterów dnia, którzy niemal ze studenckiej ławy, debiutem sięgnęli po Główną Nagrodę festiwalu w Cannes w dziedzinie filmu krótkometrażowego.

Upłynęło trzydzieści lat, byli debiutanci od dawna już stali się dyktatorami mody w sztuce filmowej. Wszyscy pamiętają niedawne ataki na „marszałków" kina, dziedziczność „epoletów" w sztuce, na wygodne spoczywanie na laurach. Jednakże Tengiz Abuładze i Rezo Czcheidzie proponują nam inne dziedzictwo — zadziwienia, poszukiwań, nieustannego ruchu.

Obaj rozpoczęli jako zwolennicy kinematografii literackiej, aktorskiej, pełnej wyrazu plastycznego. Obaj w rezultacie obrali każdy swą własną drogę, tak że dziś nie podobna pomylić ich z kimkolwiek. I nie ma znaczenia to, że krytycy odnajdowali w „Cudzych Dzieciach" naśladownictwo maniery neorealizmu, a jego film „Ja, babcia, Iliko i Iłlarion" nazywano to dramatem narodowym, to tragikomedią, to z kolei zbiorem lirycznych nowel. Nie wszyscy potrafili dostrzec, że prawdziwym tematem artysty, tematem który przewija się przez całą jego twórczość — jest odpowiedzialność. Odpowiedzialność wobec sumienia, pokoleń, wobec ojczyzny, narodu, wobec własnego czasu. Niedawno odsłonięto kompleks poświęcny pamięci Chodara Dumbadze. Ożywione w kamieniu ręką wybitnego rzeźbiarza Berdzeniszwili,

# Kto to taki: Tengiz Abuładze?

zobaczyliśmy dokładnie przeniesione z filmu postaci i przebiegłej babci, i uszczypliwego Iliko, i zawziętego Iłłariona, a nawet psa. Czym tłumaczyć ten rzadki w sztuce przypadek? Jedynie tym, że obraz filmowy wytrzymał próbę trwałego pozostawania w pamięci widzów.

Potem był jeszcze przekorny, śmiały, otwarty film „Naszyjnik dla mojej ukochanej". Była pełna patosu „Modlitwa" i urzekające „Drzewo pożądania", uhonorowane licznymi nagrodami, chyba na wszystkich kontynentach. „Pokutę" odbieramy jako wieńczącą te filmy część. Nie w sensie fabularnym, a jako konsekwentne rozwinięcie tego samego tematu artystycznego.

Ale wydarzyło się coś jeszcze, co również byłoby dobrze wziąć pod uwagę. Powracając do Tbilisi z Erewania Abuładze uległ katastrofie samochodowej: w nadjeżdżającej na górskiej drodze koparce zaciął się hamulec. Będąc jedynym pasażerem samochodu — Abuładze wypadł przez drzwi, które otworzyły się pod uderzeniem. Doszedł do siebie po dwu operacjach, trzydzieści godzin później. I zapewne pomyślał wtedy: co sprawiło, że pozostałem przy życiu? Dlaczego wyroki losu pozwoliły mi wyjść cało z tej opresji?

I wtedy, u progu jesieni życia, człowiek, który jeszcze nie podniósł się ze szpitalnego łoża, rozpoczyna pracę nad przyszłą „Pokutą". Tworzy szkic scenariusza i wysyła go do oceny partyjnej z prośbą o radę i pomoc. Odpowiedź była jednoznaczna. Film taki należy stworzyć. Dziś jeszcze, powiedziano wtedy, filmu takiego wyświetlić nie będzie można, ale już jutro stanie się on pilnie potrzebny.

Nie wątpię, że ktoś napisze książkę o tym, jak to od pomysłu, w zarysie ściśle dokumentalnego, Tengiz Abuładze i jego scenarzyści Nana Dżanelidze i Rezo Kweseliwa doszli do nieograniczonych żadnymi konsekwencjami alegorii, w jaki sposób film o mechanizmach społeczno-produkcyjnych nagle rozrósł się do rozmiarów moralitetu.

Skromnie zapytuję reżysera, czy była to nieprawdopodobnie ciężka, męcząca praca, nieporównywalna z niczym. Tengiz Abuładze skromnie odpowiada, że nic podobnego. Zespół pracował z zamiłowaniem, wszystko przychodziło łatwo. Wyprzedzano wszystkie wyznaczone terminy.

Pytam o aktora Awtandiła Macharadze, wykonawcę obu głównych ról. Czy był on z góry upatrzony do tej roli.

— Nic podobnego — odpowiada Tengiz Abuładze. — Znajdował się on w grupie pretendentów do tej roli, na równych prawach z innymi. Przyszedł na próbne zdjęcia do roli Abla. Jednakże szczerze powiedział, że rola taka wydaje mu się nie najbardziej ciekawa, natomiast jeżeli chodzi o Warłama, to wydaje mu się, że wie jak ją należy zagrać. Zrobiliśmy próby i jednej i drugiej roli. Starałem się, jak mogłem ukryć swoje zdumienie — czułem, że szukając igły w stogu siana znalazłem fantastyczny klejnot w drogocennej oprawie. Wydawało się niewiarygodnie zwyczajne takie odkrycie, nie zwiastowały go ani gromy, ani błyskawice, a na liście kandydatów do roli widniało jeszcze wielu artystów. I mimo wszystko w głębi byłem przeświadczony, że drugiego takiego odkrycia nie będzie. Spędziłem bezsenną noc, a rano zadzwoniłem do Awtandiła i powiedziałem mu, że powierzone mu będą obie role.

Na Ogólnozwiązkowym Festiwalu w Tbilisi obok jury działał „areopag" składający się z trzydziestu krytyków filmowych. Filmy oceniali posługując się dziewięciopunktową skalą. „Pokuta" otrzymała ponad dziewięć punktów. Następny film miał „siedem i ćwierć punkta". Niektórzy oponenci wśród krytyków rozumowali w następujący sposób: Chwała filmowi, że powiedział nam głośno o tym, co i tak już nam wszystkim było wiadome. Jeżeli natomiast chodzi o jego język filmowy, odwołujący się do nawarstwień historycznych i odległych kultur, to jednym może się to podobać, a innym mniej.

Dokończmy tego sporu po upływie ćwierćwiecza. Opowiadam się po stronie tych, którzy nie doszukują się w „Pokucie" ocen o charakterze „abstrakcyjnym". Ukazując tyrana, który nie jest ani zezwierzeciały, ani diaboliczny, a przedstawiony jest jako istota bezbarwna, pozbawiona talentów, o nadmiernie rozbudzonych ambicjach film adresowany jest do każdego z nas: a ty — czy nie jesteś kandydatem na Warłama, czy choćby tylko Abla, gdyby podobnie potoczyły się twoje losy. A jeżeli chodzi o język filmowy, to ekran przedstawić może nie tylko to co realnie się wydarzyło, jak to wynika z jego fotograficznej natury, ale może zobrazować również to co jest możliwe, wyobrażalne. A film ten, przy swojej całej wybujałej, przerysowanej fantasmagorii charakteryzuje się surową dyscypliną, dostojeństwem, filozoficznym uduchowieniem i otwartością, co powoduje, że wyznanie, spowiedź przerasta w przepowiednię. „Od pokuty zaczyna się moralne odrodzenie" — taki tytuł nosiła recenzja w tbiliskiej gazecie „Kommunist".

Tengiz Abuładze, Zasłużony Artysta ZSRR, ostatnio coraz częściej wspomina o swej przyszłej pracy. Będzie to ekranizacja starej powieści Ilji Czawczawadze. Wydarzenia będą ściśle odpowiadały oryginałowi, natomiast środki ich artystycznego przeniesienia na ekran będą najzupełniej dowolne.

Jedno jest tu niewątpliwe: Tengiz Abuładze zawsze pozostaje sam sobą.

W. DEMIN
„TRUD"

## 1 Pod prąd

# Chłop zredukowany

Dobrze, że to nie ja powiedziałem. Mnie mogłyby nie uwierzyć. Cioci Anieli nikt nie próbował nawet przerywać, choć zauważyłem, że nie wszyscy podzielają jej punkt widzenia:

— Ciągle narzekacie na waszych mężów — zaczęła. — Skarżycie się, że was nie rozumieją, nie pomagają wam w kuchni, za mało zajmują się dziećmi, nie piorą sobie skarpetek, no i — za mało przynoszą pieniędzy. Mówicie o powtarzających się kłótniach, cichych dniach, a jedna z was stwierdziła przed chwilą, iż wszystko to jest przejawem kryzysu, jaki przeżywa dziś instytucja małżeństwa, rodziny. Możliwe. Mnie się jednak zdaje, że za ten kryzys ponosicie odpowiedzialność nie mniejszą od waszych mężów. Tak, tak, wiem, co mówię, choć sama jestem babą i spotkałam w życiu wielu mężczyzn, których należałoby wysłać na jakąś bezludną wyspę, żeby się tam wzajemnie pozabijali. Co innego jednak przypadki skrajne, a co innego tak zwana szara rzeczywistość.

— Pewno was to zaskoczy, ale w młodości byłam wojująca feministka. Domagałam się równych praw dla obu płci, gardziłam każdą istotą noszącą spodnie (panie wówczas jeszcze ich nie nosiły!) i obiecywałam sobie, że nigdy, przenigdy nie zwiążę się z żadnym chłopem na stałe, gdyż żaden z nich nie jest tego godzien. Krótko mówiąc, byłam niedoświadczoną, naiwną dziewczyną, której wydawało się, że można bezkarnie ingerować w odwieczny porządek rzeczy. Ale to już na szczęście minęło.

— Oczywiście dziś również jestem za równouprawnieniem. Nie mogę jednak spokojnie patrzeć, jak współczesne kobiety z wolna przestają być kobietami. A tak, niestety, coraz częściej bywa. Od lat obserwuję, jak stają się coraz bardziej wygodne i leniwe, jak szybko zapominają, na czym polega rola żony i matki, i że dom, to nie tylko mieszkanie, ale przede wszystkim — panująca w nim atmosfera, na którą to one mają przecież największy wpływ.

— Moje drogie, w wielu dziedzinach nigdy nie zrównamy się z mężczyznami, tak jak oni nie zastąpią nas w innych. Dlatego nie powinniśmy pozbawiać mężczyzn tego, co męskie — nawet jeśli czujemy się przez to w pewien sposób pokrzywdzone. Cóż, tak jest już urządzony ten świat i nic nie poradzimy na to, że to nam przypadło w udziale na przykład rodzić dzieci. A cóż znaczy chłop zredukowany do roli popychadła, niańki, pomocy kuchennej? Nic nie znaczy — i to przede wszystkim dla nas. Czy będziemy miały w takim mężu oparcie? Czy będziemy go szanowały? Czy będziemy szanowały same siebie za to, iż dokonałyśmy takiego, a nie innego wyboru? Bo nie oszukujmy się, to my teraz częściej wybieramy sobie mężów niż panowie — żony.

— Przywiązujemy też wielką wagę do drobiazgów, do spraw codziennych — może i trochę nudnych, ale — zapewniam was — niezwykle ważnych. Wbrew pozorom mężczyźni są na nie czuli. Wielu młodym żonom i matkom nie chce się na przykład gotować w domu obiadów, wolą jeść w zakładowej stołówce, męża wysłać do baru, a dziećmi niech zajmie się w szkole świetlica. Niby nic takiego, a przecież często wspólny obiad, kolacja, to jedyne chwile w ciągu dnia, kiedy cała rodzina może być razem, porozmawiać, popatrzeć sobie w oczy. Myślicie, że to mało? Zwróćcie uwagę, iż w starych kulturach wspólny posiłek, to była nienaruszalna świętość.

— Naturalnie zdaję sobie sprawę, jak jest wam ciężko, ile macie obowiązków, że praca, gotowanie, kolejki... Wiem, że bywacie przemęczone. Czy sądzicie jednak, że kiedyś kobiecie było łatwiej? Zapewniam was, że nie, jeśli nie liczyć tych lepiej urodzonych. Bo choć mniej na pewno pracowało zawodowo, to przecież nie było lodówek, odkurzaczy, mikserów, pralek automatycznych. Dzieci nie oddawało się tak do żłobków i przedszkoli, nie wyjeżdżało tak na wczasy...

— Pamiętajcie, że nie ma wcale znaku równości między życiem wygodnym a szczęśliwym. Pamiętajcie też, że patrzą na was wasze dzieci. Możecie wierzyć starej ciotce, która przeżyła już swoje. A że trochę nudzi...

Istotnie, ciotunia zaczęła nudzić, jakkolwiek prawie w stu procentach skłonny byłem przyznać jej rację — tyle że powiedziałbym to wszystko inaczej, użył innych argumentów. Generalnie jednak... A wiecie, co mnie najbardziej przekonało? To, że pochowała aż trzech mężów, i o żadnym za życia nie powiedziała dobrego słowa. Każdy był jej zdaniem łajdus, nygus i pasożyt. Dopiero na starość tak się jej pozmieniało.

JÓZEF RETMAN

## 2 Lewym okiem

# Kilo bez kości

Podobno pewien Amerykanin dążąc do znalezienia się na łamach księgi Guinessa postanowił wyhodować największego w świecie ślimaka. Ślimak osiągnął już ponad kilogram wagi i rośnie dalej. Wiadomość tę usłyszałem w przyśpieszonym dzienniku telewizyjnym i jeśli to nie jest michałek czyli taka, nie wiadomo po co, wymyślona dziennikarska bzdurka, to możemy w tym niezwykłym wydarzeniu widzieć symptom zbliżającego się przełomu epok.

Bo tak: ślimaki są we Francji jednym z największych przysmaków, luksusem zwożonym z całej Europy. A oto okazuje się, że można sobie taki luksus wyhodować i doczekać się kilograma luksusowego, ślimaczego mięska bez kości. Ślinka leci! Niewykluczone, że ktoś inny wyhoduje olbrzymią stonogę, pomyślcie sobie: będzie miał od razu sto nóżek na galaretkę! Można by jeszcze pomyśleć o kurczaku wielkości strusia, o łososiach hodowanych na sucho, powiedzmy w szufladzie i o robaczkach świętojańskich wielkości arbuza. To ostatnie z myślą o jakim takim oświetleniu naszego śródmieścia.

Może to być oczywiście horror. Już mi się nawet przyśniły dwa pięciokilogramowe ślimaczyska siedzące mi na kołdrze. Mieliśmy już filmy o ludożerczych roślinach, o wściekłych pszczołach, o strasznych morderczych ptakach, a oto jeszcze dochodzą ślimaki obśliniające cały świat. Ale przecież można, jak powiedziałem, dostrzec radosne strony problemu: możliwość zapewnienia ludzkości nowych ogromnych rezerw żywnościowych. Ale tu nasunęła mi się jeszcze jedna myśl. Ktoś hoduje ogromne ślimaki, ktoś już dawno wyhodował, manipulując genami, myszy wielkości szczurów, ktoś inny zaś biedzi się na tym, aby konia zmniejszyć do możliwie najmniejszych rozmiarów. Już nawet zdołał dojść do konika wielkości średniego psa. Może więc tu leży sposób na uniknięcie przeludnienia świata. Skoro zaczyna być na świecie za ciasno nam, zwyczajnym ludziom to może należałoby zrobić coś takiego jak ten robi z końmi — zmniejszyć człowieka! Jeżeli z konia można zrobić zwierzę wielkości pieska czyli zmniejszyć go dziesięciokrotnie, to pomyślcie jak luźno stałoby się na świecie, gdyby ludzie stali się dziesięć razy mniejsi. Ile zyskalibyśmy natychmiast powierzchni mieszkalnej dzieląc we wszystkich miastach świata każde piętro na połowę, jak szalenie wzrosłyby zapasy żywności w stosunku do tłumów czekających na wyżywienie. Jak luźno stałoby się w tramwajach, pociągach i na plaży w Świnoujściu.

Wielkie i coraz większe ślimaczyska musiałyby pożerać coraz więcej roślin a te są nam również potrzebne. Na pewno więc lepiej nie powiększać ślimaków a zmniejszyć ludzkie żołądeczki.

Myśl tę dedykuję autorom powieści fantastyczno-naukowych, niech rozpracują temat zamiast kręcić się wiecznie wokół gwiezdnych, kosmicznych wojen.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

## 3 Sport

# Bezlitosna prawda

Po meczu drużyn olimpijskich Polska — RFN w Osnabrueck w „Expressie Ilustrowanym" ukazało się sprawozdanie zatytułowane: „Rumieńce wstydu na twarzach kibiców". Tytuł ten mocno mnie zbulwersował. Dlaczego kibice mają się rumienić za nieudolność polskich piłkarzy? Przecież nieobecność kibiców na polskich stadionach podczas ligowych meczów najdobitniej świadczy o nich opinii na temat poziomu umiejętności naszych wspaniałych piłkarzy. I teraz, gdy te umiejętności pozwoliły całkowicie skompromitować polską piłkę nożną tak w Osnabrueck, jak i w Zabrzu, to kibice mają się rumienić? Oj, coś to nie tak. Dzięki takiemu rozumowaniu może się przecież okazać, że to... kibice są winni totalnej klęsce piłki nożnej w Polsce i temu, że stoczyła się ona na dno, a partnerzy naszych wspaniałych chłopców w Osnabrueck i w Zabrzu ujawnili bezlitosną prawdę o jej poziomie. A przecież kibice dawno o tym mówili, że jest źle, albo jeszcze gorzej.

Niektórzy mają żal do Wojciecha Łazarka za to, że nie wziął do reprezentacji Polski piłkarzy grających za granicą: Zbigniewa Bońka, Włodzimierza Smolarka, Romana Wójcickiego, Mirosława Okońskiego i Józefa Młynarczyka. A ja uważam, że dobrze zrobił. Wielokrotnie już pisałam, że ściąganie naszych piłkarzy z zagranicy i kazanie im grać z rodzimymi „gwiazdami piłkarstwa", choćby takim Dariuszem Dziekanowskim, którym na ogół zdaje się tylko, że są gwiazdami, to robienie krzywdy cenionym w Europie piłkarzom i żałosnego na stadionie widowiska. Później wszyscy mają pretensje do naszych zagranicznych znakomitości, że nie wygrali meczu za resztę, a oni nawet i chcieli, tylko nie mieli z kim grać. Teraz dzięki odwadze Wojciecha Łazarka nie możemy już mieć pretensji do nieobecnych, że nie strzelali bramek i mogliśmy wreszcie ujrzeć bezlitosną prawdę o poziomie polskiej piłki nożnej i dzięki odrobinie wyobraźni ujrzeć jej straszną przyszłość. Przyjdzie bowiem naszym wspaniałym chłopcom nosić czerwoną latarnię za najgorszymi piłkarzami Europy.

Przed meczem z Holandią Wojciech Łazarek opowiadał coś o przygotowaniach do mistrzostw świata, o honorze, prestiżu i swoich zamierzeniach, jaki to on uczyni „cud nad Wisłą" i zaprowadzi naszych wspaniałych piłkarzy na boiska świata. Myślę, że po meczach naszej znakomitej reprezentacji olimpijskiej w Osnabrueck i nieocenionych kandydatów do udziału w mistrzostwach Europy, którzy mieli okazję porównać się ze znakomitymi Holendrami w Zabrzu, ani Zdzisław Podedworny, ani tym bardziej Wojciech Łazarek nie powinni mówić o czymkolwiek tylko o... dymisji. W krakowskim „Tempie", przed meczem z Holandią, napisali, że Wojciech Łazarek szuka ludzi z charakterem. Ot i jest okazja samemu charakter ten pokazać!

Któryś z komentatorów powiedział, że nadszedł czas na „pieriestrojkę" w polskiej piłce nożnej. Ten czas nadszedł już dawno. Niedawno na łamach „Odgłosów" publikowałam cały cykl artykułów, w których próbowałam pokazać, jak daleko zaszła demoralizacja w polskiej piłce nożnej. Próbowałam też pokazać, że wszystkie dotychczasowe próby zmiany tej żałosnej — a być może i już tragicznej — sytuacji, dokonywane przez PZPN nie przyniosły żadnych zmian. Przede wszystkim nie ma kto... szkolić młodych. Nauka gry w piłkę nożną nie jest u nas w cenie. Trenerzy, którzy chcieliby poświęcić się tej trudnej, ale wdzięcznej pracy mieliby nieustanne kłopoty materialne, gdyż jest to praca bardzo źle opłacana. Nie ma więc kto uczyć młodych gry w piłkę i wchodzą oni na ligowe boiska już z brakami w wyszkoleniu.

Okazuje się jednak, że wystarczy chęć szczera, a nie techniczne umiejętności i do kieszeni takiego młodzika płyną wartkim strumieniem pieniądze, a nierzadko są wśród nich osławione „zielone", czy inna waluta wymienialna. Po cóż więc uczyć się piłkarskiego rzemiosła, kiedy starsi panowie zawsze są w pobliżu z teczkami pełnymi „szmalu" i talonami na samochody. Dziewczyny kleją się już same. Życie jest piękne, a że jakieś tam „pismaki" drą szaty i próbują przywoływać do rozsądku i porządku, to nikogo już nie obchodzi. No i wybiegają niedouczone „gwiazdy", „wybrańcy" trenera Wojciecha Łazarka lub Zdzisława Podedwornego i kompromitują już nie tylko siebie. Ale ja się za nich rumienić nie będę. Nic z tego!

Mam nadzieję, że również w PZPN włączą wreszcie „zimny prysznic" i do porządkowania piłki nożnej włączy się nowy Komitet Młodzieży i Kultury Fizycznej. Nie wierzę bowiem, że jakąkolwiek „pieriestrojkę" w polskiej piłce nożnej zdolni będą zrobić ludzie, którzy już dostatecznie skompromitowali się nieudolnością, brakiem silnej woli, zdecydowania, brakiem odwagi. Niech działanie zacznie się od góry i nie zatrzyma się póki nie osiągnie klubów. Inaczej przyjdzie nam zaorać boiska!

BOGDA MADEJ

# Dagome iudex

3

## Zbigniew Nienacki

**Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex", traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy" będą drukować w całości już wkrótce.**

**„Dagome iudex" to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzchłą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów, i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex" to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni".**

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Któregoś dnia ominęli bagniste brzegi wielkiego jeziora i natrafili na szeroką, rozjeżdżoną kołami wozów drogę. Ciągnęły po niej wolno zaprzężone w woły ogromne wozy o drewnianych skrzypiących przeraźliwie osiach. Wozom (przeważnie było ich kilka, z ładunkiem nakrytym lnianymi płachtami) towarzyszyli uzbrojeni jeźdźcy. Niekiedy za wozami szli niewolnicy o krótko przystrzyżonych włosach, ubrani w obszarpaną odzież. Od czasu do czasu wojownicy w skórach dzikich zwierząt i z krowimi czaszkami na głowach prowadzili gromadki wynędzniałych ludzi — mężczyzn i kobiet, których porwano gdzieś daleko stąd. Grupa, której przewodził Hurda niczym się od tamtych nie różniła, nikt z mijających ich wojowników lub jeńców nie zwracał na nich prawie żadnej uwagi. Nikogo także nie interesował syn Bozy, samotnie podążający w pewnej odległości za grupą Hurdy. Miasto — jak tego się można było łatwo domyślić — żyło z handlu niewolnikami, skórami i woskiem, z rabunku. Ciągnęli do niego nie tylko porywacze niewolników i rabusie, ale różnego rodzaju obieżyświaty, gotowi wynająć się do ochrony kupieckich karawan. To dopiero później dowiedział się syn Bozy, że w mieście znajdował się port i dziesiątki statków. Każdej wiosny ludzie zwani jarlami i posiadający okręty wojenne, ogłaszali nabór ochotników do swoich bojowych drużyn. Każdy, kto był wolny i miał tarczę oraz miecz, mógł po złożeniu przysięgi ruszyć po przygodę, po łupy. Nie miało znaczenia, że wyglądał jak obszarpaniec, miał podarte futro, dziurawe buty, spodnie tak porwane, że widziało się nagie kolana i uda. Najważniejsze, aby posiadał broń i umiał walczyć. Miasto żyło nie tylko z handlu, ale i z łupów, które na swoich okrętach wojennych przywozili ci obszarpańcy, sprzedawali za srebrne grzywny lub kufijskie monety Abbasydów i pili na umór w specjalnie na ten cel pobudowanych szopach i szałasach, zabawiali się ze sprzedajnymi kobietami. Miasto było czymś innym niż reszta świata, rządziło się własnymi prawami i miało własne drużyny do swej obrony, własnego wybieralnego władcę.

A gdy wreszcie syn Bozy ujrzał Miasto — doznał uczucia rozczarowania. Zely powtarzała, co mówili Spalowie po powrocie ze swych wypraw na południe. Widzieli ogromne mury z kamienia, a na murach przechadzających się wojowników w błyszczących pancerzach. Do miasta prowadziły bramy o wysokich wierzejach. Za murami ciągnęły się wybrukowane kamieniami ulice i stały jeden obok drugiego murowane domy kryte drewnianymi deseczkami lub prostokącikami z wypalonej gliny. Na ulicach kłębił się tłum ludzi odzianych w złote szaty, pachniało wonnościami i dobrym jedzeniem. W kącinach tak wielkich, że mogły pomieścić tysiące ludzi, z każdej ściany patrzyło na człowieka piękno — tak nazywali to zjawisko Spalowie. I dlatego nawet, gdy wracali z łupami, tęsknili za wyprawami i znowu szli pod Wielkie Mury.

To miasto nie miało żadnych murów. Nad brzegiem rzeki uchodzącej z zarastającego trzcinami jeziora, na rozmiękłej od wiosennego błota ziemi stały setki szałasów z trzciny lub żerdzi pokrytych słomą. Między szałasami tu i ówdzie widziało się długie szopy zbudowane z plecionki utwardzonej gliną, zapewne składowiska towarów, bo obok nich znajdowały się puste place, gdzie prowadzono handel pod gołym niebem. Z szałasów dobywał się dym, a gdy zagladało się do któregoś z nich, widziało się ludzi szyjących buty, pracujących przy krosnach lub dochodził stamtąd łoskot młotów kowalskich. Między szałasami kłębił się tłum przeróżnie ubranych ludzi, mówiących także w wielu językach. Powietrze przesycał zapach dymu, fetor gnijącego mięsa, smród ludzkich i zwierzęcych odchodów; tu i ówdzie w zagrodach z żerdzi czekały na ubój woły, barany, cielęta i świnie. Wszędzie grzęzło się w błocie, w ściekach spływających do rzeki. Dopiero gdzieś dalej, za dachami setek szałasów i szop, widziało się niewysoki wał ziemny i kilka bram zrobionych z drewnianych dyłów. Zza wałów sterczały strome dachy domów podobne do tych, które były w dworze Spalów, zbudowanych z przepołowionych bali. Domy były różnej wysokości, przeważnie szczytem zwrócone ku ulicy wyłożonej darnicami. Domy bliżej rzeki — tak samo jak domy w dworze Spalów — stały na palach, te dalej od rzeki — miały malutkie zagrody ograniczone płotami z plecionki. Ulice były wąskie, z trudem mogły się na nich minąć dwa wozy. Tych domów też były setki, choć stłoczone zostały w pewnym porządku wyznaczonym przez wyłożone darnicami ulice.

Na prawym brzegu rzeki znajdował się port pokryty teraz lodem — drewniane pomosty wchodziły w rzekę, a przy nich wyciągnięte na brzeg widniały statki swoim kształtem przypominające ogromne łodzie. Niektóre były wąskie i bardzo długie, inne krótsze, ale szerokie. Każdy statek miał wysoki maszt i z daleka port przypominał las ogołoconych z gałęzi drzew.

Rzekę przegradzała drewniana palisada z wielką bramą pośrodku. Dzięki niej, gdy rzeka była wolna od lodu i wejście do portu stało otworem, nikt nie mógł wpłynąć lub wypłynąć bez zezwolenia wojowników, czuwających na dwóch wieżach z obydwu stron portowej bramy. Zresztą, tuż obok wznosił się bardzo wysoki nasyp z palisadą pochylonych i zaostrzonych na końcach bali, sterczały wysoko ku górze cztery drewniane wieże, skąd roztaczał się widok na rzekę i na całą okolicę. To tutaj mieszkał książę, który rządził miastem i to tutaj, na wypadek napaści, mogli się schronić co znaczniejsi mieszkańcy miasta. Później, gdy wypadło mu tu żyć, odkrył porządek miasta, a w wojownikach maszerujących jego ulicami lub przejeżdżających konno nauczył się odróżniać tych, którzy pilnowali porządku i za każde przewinienie mogli wolnego człowieka uczynić niewolnikiem. Poznał zakątki, gdzie mieszkali kupcy: Hebrajczycy i Chazarowie, Jutowie, Normanowie, Frankowie i Ascomanowie, Abbasydzi i Omajadowie, Estowie i dziesiątki innych, najróżniejszych ludów i plemion. Poznał zakątki, gdzie czekały na chętnych rozpustne kobiety, miejsca, gdzie piło się wino, miód sycony i piwo, sprzedawano udźce baranie, kapłony i pachnące dziwnie korzenie oraz owoce o dziwnym smaku. (...)

Jedno od razu rzuciło mu się w oczy i nauczyło czujności. Kto chodził bez broni, temu towarzyszył jeden lub dwóch zbrojnych; nawet kobiety nosiły noże u pasa. Syn Bozy nie pojmował słów wypowiadanych przez mieszkańców miasta, ponieważ mówili w wielu językach, lecz mowa ich ciała zdradzała uczucia: każdy myślał o bogactwie, każdego przepełniała chciwość.

Hurda znał miasto i pośród szałasów pewnie prowadził swych wojowników oraz gromadę niewolnych kobiet i mężczyzn. Syn Bozy niemal dołączył do nich. Ani Hurda, ani nikt z niewolnych nie potrafiłby w tym obszarpańcu rozpoznać kogoś, kto szedł za nimi aż z kraju Spalów, okradał ich z żywności, podpatrywał nocami, a niekiedy nawet zabijał. Mowa ciała Hurdy mówiła synowi Bozy, że tamten jest zmęczony zimową wyprawą, pragnie jak najszybciej pozbyć się łupu i posiąść bogactwo.

Zatrzymali się obok długiej szopy tuż przy pierwszym, niskim nasypie ziemnym. Wiał od północy zimny wiatr i niósł z sobą jakiś dziwny, słony zapach. Z szopy wyszedł mężczyzna z szeroką, czarną brodą i w białej aż do ziemi szacie. Miał na głowie dziwną, białą czapkę z połyskującym nad czołem drogocennym kamieniem. Towarzyszyło mu dwóch ludzi w błyszczących pancerzach, okrytych płaszczami utkanymi z małych kłaczków wełny. Nosili wysokie buty z miękkiej skóry i wełniane obcisłe spodnie. U pasa mieli długie miecze w ozdobnych pochwach.

Hurda mówił coś tym wojownikom w języku Estów, a oni jego słowa tłumaczyli człowiekowi w białej szacie. Ten kiwał wolno głową a potem dał Hurdzie zezwolenie, aby wniósł do szopy dużo drewna i rozpalił ognisko. Nie chciał, aby niewolnicy pozaziębiali się od chłodnego wiatru i zachorowali. Następnie z szopy wyszły jakieś kobiety, także chyba niewolnice, i między niewolnikami Hurdy zaczęły rozdawać jedzenie. Syn Bozy nie jadł od wczoraj i uczucie głodu odczuwał w sobie jak połknięty cierń. Ukrył się jednak za rogiem szopy i obserwował sprzedaż niewolników.

Zely mówiła mu jak wygląda handel niewolnikami, bo to widzieli Spalowie, gdy czynili wyprawy aż pod Wielkie Mury. Nagiego niewolnika i niewolnicę wprowadzano na podwyższenie, a licznie zebrani kupcy mówili jeden przez drugiego, ile każdy z nich jest gotów zapłacić. Lecz Hurda śpieszył się. Wybrał na kupca człowieka w białej szacie, jemu — a nie innym — zaproponował swój łup.

Na czas jakiś zniknął jeden z wojowników i powrócił w towarzystwie kobiety okrytej puszystą ciemnozieloną opończą z kapturem. Pod opończą miała ona długą suknię, ujętą w talii ozdobnym pasem z pochwą na nóż. Na piersiach widziało się aż trzy duże brosze, po jednej na każdej piersi i jedną pośrodku, choć nieco niżej. Postawa tej kobiety, sposób chodzenia i strój sprawiały wrażenie, że jest osobą mającą znaczenie.

Znała chyba wiele języków. W jakiejś nieznanej mowie odezwał się do niej człowiek w białej szacie, wręczył kawałek metalu jako zapłatę, a potem ona podchodziła kolejno do każdego z przyprowadzonych przez Hurdę niewolników i jeśli to był Est, pytała go w języku Estów, a jeśli Sklavin, pytała w języku Sklavinów. Ile ma lat? Czy potrafi uprawiać jakieś rzemiosło? Czy — jeśli to była kobieta — już miała mężczyznę lub rodziła dziecko? Ile razy rodziła?

Kiedy kobieta skończyła wypytywanie, skłoniła się człowiekowi w białej szacie i odeszła w stronę miasta. Wtedy syn Bozy poszedł za nią i przyspieszywszy kroku, dopędził ją tuż koło dużego domu na wysokim brzegu rzeki.

— Zatrzymaj się, pani — powiedział błagalnie w mowie Spalów. — Jestem tu obcy, a ty, jak słyszałem władasz językiem Sklavinów.

Przyłożyła dłoń do rękojeści noża, ale spojrzawszy na jego dziecinną twarz i rozwiewające się na wietrze niemal białe włosy, odrzekła:

— Czego chcesz, chłopcze?

— Przybyłem z kraju Spalów, bo gna mną żądza czynów. Powiedz mi, gdzie się znalazłem? Co to za miasto?

Roześmiała się.

— Nawet nie wiesz dokąd przybyłeś? To miasto nazywa się Druzo.

Zauważył, że jej twarz jest jak gdyby pomazana popiołem, przez co wyglądała na starą. Ale oczy nie mogły okłamać syna Bozy — ona była młoda.

— Doradź mi pani, co powinienem tutaj robić, skoro nawet nie znam innej mowy, poza mową Spalów.

— Za tydzień lub dwa, gdy spłyną lody, jarlowie ogłoszą pobór na swoje okręty. Będą szukać drengów, którzy mają broń i umieją walczyć. Na statkach i okrętach jarlów jest miejsce dla tych, których gna żądza czynów. Również kupcy będą potrzebowali wojowników, aby ich towary chronili przed rabusiami morskimi. Nie wiem, czy zgodzą się ciebie wynająć, ponieważ im są potrzebni wprawni w boju wojownicy, a ty wyglądasz na chłopca.

— Dziękuję, pani, za radę. Ale gdzie mam mieszkać i kto mi da jeść przez czas oczekiwania na wezwanie jarlów lub kupców?

Wzruszyła ramionami.

— Tu trzeba mieć pieniądze, chłopcze. Czy nie mówiono ci o tym, zanim skierowałeś swoje kroki do Druzo? Tu nawet człowiek wolny, jeśli nie ma pieniędzy, oddaje się w niewolę innym.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał lichą tarczę i miecz w deszczułkach z lipowego drewna. Jedyną wartościową rzeczą, jaką u niego widziała, to była misterna kolczuga. Futrzana peleryna miała pełno dziur, tak samo dziurawe nosił buty i spodnie. Twarz chłopca wyglądała na piękną. Ale ona nie pragnęła miłości.

— Sprzedaj swoją kolczugę i sprzedaj swój miecz — doradziła. — Tylko że wówczas nie weźmie cię do swej drużyny żaden jarl ani nie wynajmie cię żaden kupiec.

— A ty, pani, nie potrzebujesz wojownika?

— Nie. Jestem prawie tak uboga jak ty. Do jesieni miałam czterech niewolników i trzy niewolnice oraz męża, który zajmował się handlem skórami kun i wydr. Czy słyszałeś, że jesienią napadli na miasto Ascomańscy rabusie? Wówczas zginął mój mąż i zostałam wdową. Musiałam sprzedać niewolników. Został mi tylko dom. Utrzymuję się z tego, że znam język Sklavinów i język Estów, potrafię leczyć rany, a także uprawiam seidr, to jest sztukę czarów.

— Ja też znam sztukę czarów — pochwalił się syn Bozy.

— Może twoja sztuka potrafi wyczarować mieszek kufijskich monet Abbasydów — wzruszyła ramionami. — Jeśli tego dokonasz, przyjdź do mojego domu i zapukaj do drzwi trzy razy. Nazywam się Astrid. A ty?

— Nie mam imienia — odparł z powagą.

— W takim razie pomyliłam się, biorąc cię za chłopca. Jesteś dzieckiem. Opuść Druzo jeszcze dzisiaj, bo jutro być może spotkam cię w szopie, gdzie trzyma się niewolników.

To mówiąc odeszła. A syn Bozy zobaczył, że otwiera kluczem drzwi i znika w mrocznej izbie. Wtedy niemal biegiem ruszył w stronę szopy i placu, gdzie Hurda sprzedawał niewolników. Żałował, że tyle czasu stracił na rozmowę z obcą kobietą. Czy nie uczyła go Zely, jak się powinno zachować w mieście, jakie rządzą w nim prawa i jakie stwarza ono pułapki na ludzi, którzy przybywają z odległych puszcz? Znowu skrył się za rogiem szopy, zadowolony, że targ między Hurdą i człowiekiem w białych szatach jeszcze się nie skończył. Dwaj ludzie towarzyszący kupcowi ciągle oglądali poszczególnych niewolników, sprawdzali siłę mężczyzn, zaglądali im w usta i dotykali palcami uzębienia. Kobietom obnażali piersi i brzuch, aby sprawdzić czy już rodziły, wsadzali palce między nogi, aby się upewnić czy miały mężczyzn. Nie rozumiał języka, jakim posługiwał się kupiec w rozmowie z Hurdą, lecz mowa ciała kupca była dla syna Bozy całkowicie zrozumiała. Hurda był głupcem — przyprowadził niewolników wychudzonych głodem i wynędzniałych od długiej drogi. On sam i jego ludzie używali sobie z niewolnicami, zapominając, że za dziewice otrzymuje się najwyższą cenę. Ani jednej dziewczynie nie darowali cnoty. Co warta jest przechodzona kurtka czy wyszczerbiony miecz? Człowiek w białych szatach potrząsał małym mieszkiem i pogardliwie pokazywał Hurdzie jego niewolników. Jedynie mały mieszek miał otrzymać Hurda za tygodnie trudów, za tyle niebezpieczeństw, za dziesiątki zabitych. W jednej chwili syn Bozy pojął istotę handlu: Hurda powinien najpierw niewolników wykąpać, odżywić, a dopiero potem rozmawiać z kupcami. Czy w tym wielkim mieście był tylko jeden człowiek w białych szatach? Ale Hurdzie się śpieszyło do jakichś swoich spraw. Pośpiech był złą sprawą w handlu. Jeśli syn Bozy zechce stać się bogatym, chwytając i handlując niewolnikami, zrobi to inaczej niż Hurda.

W końcu, gdy już zmrok się zbliżał, człowiek w białych szatach z kieszeni ukrytej w fałdach białego płaszcza wyciągnął drugi mieszek. Wtedy Hurda kazał swoim ludziom, aby złożyli w jednym miejscu swoją broń. Nadeszło skądś kilku uzbrojonych wojowników w błyszczących pancerzach i nagle zaczęli wiązać ludzi Hurdy. Syn Bozy nagle uświadomił sobie, że Hurda sprzedał w niewolę własnych ludzi, tych, którzy z nim odbyli wyprawę łupieżczą. Oto jak wygląda zdrada. Zrozumiał też ostrzeżenie Astrid, że tutaj każdy łatwo może stać się niewolnikiem. Granicy między człowiekiem wolnym i niewolnikiem nie wyznaczały żadne prawa, nawet długie lub krótkie włosy, ale broń i pełen mieszek.

O zmroku niewolników zapędzono do szopy, a Hurda z dwoma mieszkami u pasa ruszył między szopy i szałasy (...).

Hurda zatrzymał się przy jakiejś szopie i mężczyźnie, który dokładał drew do ogniska, dał błyszczącą monetę. Po chwili wyniesiono mu dzban piwa i Hurda pił długo i chciwie. Potem ruszył przed siebie, chyba do jakiejś znajomej szopy, gdzie bywał wiele razy i syn Bozy pomyślał, że jeśli tam pozwoli mu trafić, straci Hurdę. Dlatego, gdy na krótką chwilę Hurda znalazł się w miejscu, dokąd nie *sięgał blask* żadnego ogniska, bezszelestnie dopędził go, wyjął Tyrfinga i jednym uderzeniem uciął mu głowę. Pochylił się nad drgającym w agonii ciałem Hurdy i od pasa odwiązał mu dwa mieszki.

Nikt nie zauważył tego, co się stało, choć o kilkadziesiąt kroków dalej płonęło ognisko i siedziało przy nim kilku uzbrojonych Estów, śpiewających jakąś pieśń. Syn Bozy zawrócił i poszedł w kierunku domu Astrid, omijając ogniska, szopy i szałasy. Przelazł przez nasyp obronny, nigdzie nie strzeżony. Wojownicy pilnowali tylko bram do obwarowanego grodu, gdzie mieszkał władca miasta.

Jak mu kazała — trzy razy głośno uderzył pięścią w drzwi. Otworzyła natychmiast i zobaczył zdumienie w jej oczach. Ujrzał też dużą, mroczną izbę, nieco rozświetloną palącym się na kominie żywym ogniem i blaskiem steatytowej lampy wypełnionej olejem i ustawionej na drewnianym stole.

Astrid była w długiej aż do kostek lnianej koszuli, włosy miała rozpuszczone, jej twarz — umyta z popiołu — była młoda i ładna.

— Czego chcesz? — burknęła.

Zbliżył się do stołu, otworzył mieszki i z kufijskich monet Abbasydów usypał mały stożek.

— Czego chcesz? — powtórzyła w języku Sklavinów.

— Wyczarowałem te monety — powiedział. — Chcę za nie tutaj mieszkać, nauczyć się języka tutejszych ludów i tutejszych obyczajów. Jestem głodny — dodał.

W milczeniu podeszła do komina i zdjęła z niego zawieszony nad ogniem nieduży sagan pełen kaszy z tłuszczem. Nałożyła mu kaszy do steatytowej misy i podała drewnianą łyżkę.

C.D.N.